

KUSZENIE SZATANA

JERZY ŻUŁAWSKI

KUSZENIE SZATANA

(OPOWIADANIA PROZA)

WSZELKIE PRAWA AUTORSKIE ZASTRZEŻONE.

WYDANIE TRZECIE (5 I 6 TYSIĄC)



NAKŁAD I Druk ZAKŁ. GRAF. TOW. AKC. S. ORGELBRANDA S-ÓW,

SKŁADY GŁÓWNE:
E. WENDE I SPÓŁKA, WARSZAWA,
H. ALTENBERG, G. SEYFARTH, E. WENDE I S-KA, LWÓW.
1914.

✓
X



S

884-311.2

M



7905

YK.
B. 269
19/9. 45

1. KUSZENIE SZATANA.
2. MODLITWA.
3. PAX.
4. Z DOMU OJCÓW.
5. MATKA.
6. BIAŁY SZCZUR.
7. PO UCZCIE.
8. ROZMOWA Z DJABLEM.
9. Z PAPIERÓW PO NIEDOSZŁYM SAMOBÓJCY.
10. OKRUCHY.

KUSZENIE SZATANA



Szatan znużony pracą całodzienną szedł przez pusty wygon kamienisty ponad wielkiem miasmem, którego dalekie kopuły błyszczały jak złoto w promieniach zachodzącego słońca. Zdrożony był wielce i pot ściekał mu z oblicza, ale nie odpoczywał, dążąc naprzód, aby przed nocą pełnić jeszcze dzieło swoje odwieczne, na które był skazany, otrzymawszy na udział swój w stwarzaniu świata trud najuciążliwszy i nieustannej wymagający czujności. Szedł więc wielkimi krokami przez pole rozległe, potrącając nogą głazy, gęsto po niem rozsiane. Pięście utrudzone przycisnął do nagiej piersi włochatej;—pod nachmurzonemi brwiami błyszczały mu oczy krwawe, bezsenne, wieczyście w dal wytężone.

A zaszedł mu drogę człowiek niejaki, przybyły z miasta na wzgórze puste, aby się modlić wieczorną godziną do Boga swojego. A że był pogodny i spokojny, więc patrzył z podziwem

a litością na znój nieznanego spoczynku wędrowca, którego chód ciągły, do wysiłonego biegu podobny, mącił sam jeden nieruchomą ciszę odwieczera.

Wreszcie, gdy tamten był już blisko, zagadnął go znienacka:

— Dokąd idziesz tak spieszo?

Szatan przystanął i odparł, pot ocierając z czoła:

— Idę zawsze. Przed wieczorem muszę być w onem mieście, które widno tam w dole...

Człowiek patrzył nań w milczeniu chwilę niejaka, aż smutek przyćmił jasne jego źrenice.

— Ty jesteś Szatan? — rzekł wreszcie.

— Tak.

Rzekłszy to, chciał iść dalej, lecz Człowiek zastąpiwszy mu, ozwał się głosem smutnym lecz słodkim, jakoby wianie wiatru od morza w dzień upalny:

— Widzę, że jesteś znużony. Usiądź a odpocznij. I tobie się pokój należy.

Szatan się zdumiał.

— Nie mówił tak do mnie jeszcze nikt, — rzekł. — Ja nie wiem, co jest odpoczynek... Puść mnie, abych szedł dalej. Przecz mię zatrzymujesz?

Człowiek lepak, uniósłszy dłoń białą ku wie-

czornej zorzy, prawić jął z jasnym uśmiechem na ustach:

— Patrz! wieczór oto na niebie i odpoczynienia łaknie stworzenie wszelkie od trudu a mozołu dziennego! Godzina jest cicha i dobrze wesprzeć teraz skroń na rękach, poglądając na niebo ogromne i od zachodu złote! Chłód odwieczera idzie po nad łąny spalony upałem dziennym i rosa wnet pocznie padać na kwiaty pachnące. Wiatry nawet przycichły i zioła wonne modlą się do Boga i lilje polne otwierają wschodzącym gwiazdom nieruchome białe kielichy! Poco chcesz mącić ciszę bożą na ziemi? poco budzić ludzi, którzy w tem mieście kładą się już spać na dachach domów swoich? Strudzeni są i słodko im zasypiać! Ostaw ich w spokoju! — Ja ciszę i pokój w boże imię niosę na świat, a przeto mówię i tobie, jako wszystkim znużonym pracą dnia całego: spocznij!

Szatan potrząsnął głową,

— Nie można spoczywać. Jutrzejszy dzień nastanie i trzeba myśleć o nim jeszcze dzisiaj, przez całą noc owszem, aby nie spadł na śpiących rankiem bez troski i do przeżycia go nieprzygotowanych. Jam jest od tego, abym jutro ludziom przypominał!

To mówiąc, zwrócił się do dalszej drogi, lecz Człowiek zatrzymał go znowu, chwyciwszy za kraj pielgrzymiego płaszcza, po którym nie znać już było nawet, iż był niegdyś królewski.

— Spocznij,—rzekł zasię.—Dość-ci ma dzień dzisiejszy na swem utrapieniu, pocóż się jeszcze jutrem kłopotać? Oto ptacy niebiescy nie sieją nie orzą, a karmi je Ojciec, który jest na wysokości!

— Kto ciebie tych dziwnych słów nauczył?— rzekł Szatan, — kto włożył ci w usta tę mowę, co drogi moje krzyżuje?

— Niosę to poselstwo, — odparł tamtem, — od Boga, Ojca mego. który jest Ojcem wszystkich ludzi zarówno i pokój im daje przeze mnie.

— I moim ojcem jest Bóg,—rzekł Szatan,— lecz inne dzieło mnie pełnić przykazał od świata poczęcia. Jeśliś i ty jest przezeń posłany, konaj, coć zlecił, ale mnie nie zatrzymuj w drodze ku dziełu mojemu. Puść mnie!

Lecz Człowiek go nie popuszczał.

— Czasy są dokonane,—mówił.—Zbyt wiele trudu było na ziemi i nadto gorzkości. Ojciec niebieski ulitował się nędzy ludu swojego i nie masz ty już co robić na świecie! Oto znużony

jesteś trudem długim a próżnym, usiądź więc, jako ci mówię, a dziękuj Bogu, iż praca twoja skończona.

Szatan się zaśmiał.

— Nie kończy się nigdy dzieło moje i nigdy nie jest zbyteczne! Beze mnie na świat-by padła martwota i gwiazdy-by nawet stanęły na niebie! Najstarszym ja ci jestem synem Boga, Ojca mego, a chociaż jest wydziedziczony, On samby śmierci mojej nie przeżył!

— Bluźnisz, — rzekł Człowiek. — Nikt ciebie nie potrzebuje już i rosnać mogą ludzie bez ciebie, jak te lilje polne, które Ojciec niebieski w królewskie szaty odziewa!

— Wierzę, — odparł Szatan, — ale jam jest właśnie od tego, aby człowiek nie był jako kwiat bezrozumny i szybko pod kosą ginący!

To powiedziawszy, wyciągnął ręce ponad miasto, widne w dole, i wołać począł cały krwawy od ostatniej zorzy zachodzącego słońca:

— Idę wzbogacać ducha ludzkiego i uczyć go wszelkiej ciekawości i rozwiązywania wszelkich zagadek, choćby w nich było cierpienie.

„Idę uczyć wiecznego nieukoju i ruchu, ażeby świat snadź w ciszy nie zastygał.

„Idę mocnych uczyć radości, ponieważ w niej jest życie jedynie!

„Idę uczyć, jako zdobywać chleb i napój, nie oglądając się na nic i na nikogo.

„Idę przykazywać ludziom, iżby mieli serca twarde i dążąc ku celowi swemu nie zatrzymywali się nad cudzem nieszczęściem, które jest słabością i upadkiem.

„Idę grzechu wszelakiego nauczać i jako nie pochylać głowy pod równający strychulec.

„Wojny idę nauczać tych, którzy są synami bożymi!

„I zasię jeszcze idę uczyć dumy i niepodległości i dufania we własną moc, bo głowę schyloną do stóp każda stopa uderzy a czekającego cudzej pomocy nikt nie podźwignie!

„To jest poselstwo moje i praca, z którą na świat idę i od której znój czoło me opływa, albowiem jest ciężka. —

Człowiek uśmiechnął się smutno lecz dobrotnie i uniósłszy dłoń, dotknął nią brązowego ramienia Szatana.

— Spocznij, — rzekł, — i oszczędź sobie trudu bezużytecznego. Zaprawdę jeszcze raz powiadam tobie: nie jest to dobre ani potrzebne, co ludziom zanosisz! Oto co mówi owszem Syn

Boży w imię Ojca swojego, który jest na niebiesiach:

„Błogosławieni ubodzy duchem, albowiem ich jest królestwo niebieskie!

„błogosławieni cisi, albowiem oni osiedlą ziemię!

„błogosławieni, którzy płaczą, albowiem oni będą pocieszeni!

„błogosławieni, którzy łakną i pragną, albowiem oni będą nasyceni!

„błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią!

„błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądają!

„błogosławieni pokój czyniący, albowiem nazwani będą synami bożymi!

„błogosławieni, którzy cierpią prześladowanie, albowiem ich jest królestwo niebieskie! —

Zadumał się Szatan i zdziwił, słysząc te słowa, gdyż słyszał je po raz pierwszy, choć od czasu wygnania ludzi z raju krążył był wiecznie po świecie.

— Nowe to są słowa dla mnie, — rzekł, — i mogą być nawet boże, ale nie dla serca mojego i nie dla człowieka, którego obowiązkiem jest żyć!

Ale tamten począł go kusić i mówił:

— Spocznij! Tem słowem bożem będzie żył człowiek, kiedy mu chleba zabraknie!

A Szatan odpowiadając mu, rzekł:

— Zaprawdę, jeśli chleba zabraknie, nauczę człowieka, aby te kamienie raczej na chleb zamieniał, niżby miał ręce założyć bezczynnie!

Lecz ów nie ustał i kusił go dalej, mówiąc:

— Spocznij! To jest wyzywanie mocy Boga, który czyni sam jeno to, co zechce!

Odrzekł mu zasię Szatan:

— A ja wam powiadam, kto będzie mocy swej pewien, przyjdą na jego zawołanie anieli niebiescy i nosić go będą, iżby snadź o kamień nogi swej nie obraził!

Dobry kusiciel jednakowoż nie odstąpił jeszcze.

— Spocznij! — mówił. — Moc człowiekowi własna nie jest potrzebna; oto napisano: Bogu się pokłonisz i jemu samemu służyć będziesz!

Tedy rozgniewał się Szatan i zawołał:

— Pójdź precz, kusicielu! Kto mnie posłucha, kłaniać się będzie nikomu, owszem panem świata się stanie!

Odszedł tedy Człowiek od niego smutny, i patrząc nań z litością i poszedł, aby się modlić dalej w samotności i ciszy do Boga swoje-

go, albowiem widział, że w Szatanie jest duch nieukoju i niepodobna go odwieść od próżnego mokołu...

Szatan zasię zwrócił kroki utrudzone ku miastu wielkiemu, którego złote kopuły gasły już w ostatnich blaskach zachodzącej zorzy.



MODLITWA

1895.

Pamiętam, raz tylko w życiu modliłem się—
prawdziwie...

Byłem wtedy jeszcze bardzo mały, miałem
zaledwie siedm lat... Do szkoły nie chodziłem
jeszcze, uczyłem się w domu, na wsi.

Pan Andrzej z pod Nowego Targu, słuchacz
pierwszego roku praw, który z powodu „braku
funduszków“ studja przerwał i puścił się na „bel-
ferkę“, przygotowywał mnie zwolna do gimna-
zjum. Był bardzo dobry dla mnie i kochałem
go za to serdecznie. Po odbytej lekcji (przed
którą zazwyczaj oknem do ogrodu uciekałem),
wychodził ze mną i z moim o rok młodszym
bratem na przechadzkę i bawił się z nami, jak
gdyby sam był dzieckiem. Podziwiałem go ogro-
mnie, gdyż pływał doskonale i umiał chodzić na
rękach z nogami do góry. Być gimnazjalistą
i umieć chodzić na rękach—to było wtedy szczy-
tem moich marzeń. Wzdychałem do tego po-

kryjomu, a tymczasem starałem się ze swej strony pokazać panu Andrzejowi, co ja umiem. Drapałem się tedy na drzewa w ogrodzie, wychodziłem na strzechą pokrytą i bujnym zielskiem zarosły dach stodoły i — ku wielkiemu zdziwieniu mego młodszego i lęklivego brata—nie spadałem. Zachwyt mojego brata w tych wypadkach pochlebiał mi strasznie; wyobrażałem sobie, że imponuję mu tak swą zręcznością, jak mnie pan Andrzej. Swoją drogą za te sztuki gimnastyczne dostała mi się nieraz bura nie lada. Niepoprawny, uciekałem przed nią zwykle znowu na olbrzymi świerk, w ogrodzie rosnący.

Tuż pod ogrodem płynęła niewielka, ale bardzo bystra górską rzeczulka. W lecie — to była moja uciecha. Byłbym się chętnie cały dzień kąpał. Lubilem wodę, jak ryba.

Zaraz za rzeką wznosiła się wysoka góra a na niej szumiał czarny las jodłowy. Las ten miał dla mnie coś tajemniczego w sobie, coś, co przestraszało i dziwnie ku sobie pociągało. Wieczorami, gdy się cicho na świecie robiło, słychać było w ogrodzie szum tego lasu: jednostajny, wielki, ponury.

Słuchając tego szumu, zaludniałem las tworami dziecinnej wyobraźni. Nabierał on dla mnie

życia i znaczenia. Słyszałem wyraźnie, jak tam coś płacze, coś się skarży i woła. Wszystkie baśnie i gadki, które dziewczęta w kuchni zimowymi wieczorami opowiadały, stawały mi wtedy w pamięci. Zakłute księżniczki, smoki, pastuszek, który grając na fujarce, drogę w puszczy zagubił i z królem węzów się spotkał — i wiele, wiele innych rzeczy — wszystko to w tym lesie być musiało. Byłem o tem silnie przekonany, chociaż mnie wyśmiewano, gdy o tem mówiłem. Obiecywałem sobie w duchu, że gdy dorosnę, zgłębię te tajemnice i wsławię się ogromnie. Nawet dzieci pociąga tajemnica i sława... Ale nie zwierzają się z tego, tak samo, jak dorośli... I o mojej też ambitnej myśli dziecka nikt nie wiedział.

Ojciec brał mię z sobą czasem do lasu. Gdy tylko owiał mię cień odwiecznych jodeł i dziwnie upojny zapach boru, stawałem się naraz zadumanym i lęklwym i za żadne skarby świata nie byłbym puścił ręki ojca. Dziwno mi tylko czasem było, czemu nie spotykam tych widm i czarów, o których tyle myślałem? Mchy tylko a paprocie i jodły olbrzymie o dziwnie powykręcanych korzeniach, ale ani śladu królewien, pastuszków—zgoła nic z tego, coby tutaj być po-

winno. Tłómaczyłem to sobie jednakże, myśląc, że zaklęte duchy boją się ojca widocznie i dlatego się nie pokazują... Ale niechbym się tutaj tak sam znalazł!

Dziś jeszcze czuję, jak na myśl tę przechodził mnie dreszcz strachu i ogromnej ciekawości zarazem.

Po powrocie z takiej przechadzki wybiegałem zwykle do ogrodu i patrząc znowu na bór z daleka, dziwiłem się ogromnie, że ja tam byłem. W tym czarnym tajemniczym lesie byłem we własnej osobie! Upajałem się wtedy własną odwagą i czułem zarazem jakiś żal, że będąc w lesie, nie widziałem wszystkiego, co w nim jest. Bo że jest coś więcej, niż to, co ja widziałem, najmocniej byłem przekonany. Niech ja tylko dorosnę!—myślałem.

A tymczasem dorosłem i wiele takich borów przeszedłem, które z daleka wydawały się tajemniczymi, czarownymi i pełnymi życia, a w istocie były tylko drzew pełne o suchej korze i próchna w nocy świecącego i zeschłych badyli i szyszek próżnych i kamieni...

Drugą rzeczą, nadzwyczajny urok dla mnie mającą, był stary, drewniany młyn wśród wiklin nad rzeką. W każdym starym młynie musi być

młynarz czarownik i mieć trzy córki, z których dwie złe, a jedna dobra... Ta dobra może być także pasierbicą, ale to nie konieczne; jedne gadki wspominają o młynarce-macosze, inne nie. W naszym młynie był wprowadzie stary młynarz, wdowiec i trochę głuchy, ale córek ani śladu. A może, myślałem, on ma córki, tylko je ukrywa z jakichś niezbadanych i dziwnych powodów? Młyn jest tak pełen tajemniczych kątów i skrytek...

Marzyłem, spodziewałem się ciągle czegoś niezwykłego, a przytem uczyłem się z musu, z ochoty biegałem po łąkach, wychodziłem na drzewa i dachy, harcowałem na żrebcach po pastwisku—i tak słonecznie, rozkosznie płynął miesiąc po miesiącu.

Było to w czerwcu czy w lipcu — dnia już dokładnie nie pomnę. Pan Andrzej szedł do młyna z jakimś interesem do starego Jakóba. Uparłem się iść koniecznie z nim, kazano mi jednak zostać w domu i uczyć się. Zapłakany usiadłem w pokoju nad otwartą książką, ani mi jednak w myśli było czytać to, co mi zadano. Myślałem nad straszną niesprawiedliwością świata w ogólności, w szczególności zaś o nienawistnym losie, który mnie każe niesprawiedliwość tę znosić. Czułem się serdecznie nieszcze-

śliwym. Cóż komu mogło szkodzić, żebym był poszedł z panem Andrzejem do młyna? A może właśnie dzisiaj byłbym zobaczył którą z ukrytych czy zaklętych córek młynarza?

Myśląc o tem, z ogromnym żalem spoglądałem w okno.

Chmury fioletowe i skłębione nadciągały; zbliżała się burza. Co pewien czas słyhać było daleki grzmot, niby poryk niedźwiedzia, co się rusza z komyszy... Lubiłem, kochałem burzę, która z ogromną potęgą do bujnej fantazji dziecka przemawiała, zachwycałem się grzmotem, co olbrzymim głazem z niebios się staczał, łamał się po górach i parowach, aż tysiąckrotnie odbity, w gruz ponurych huków rozsypyany, konał gdzieś w wąwozach niewyraźnem echem,—lubiłem błyskawice, w których świetle świat rozjaśniał się na chwilę dziwnie, tajemniczo, zielono albo różowo... Gdy jednak byłem sam podczas burzy w pokoju, bałem się, jak wszystkie dzieci. To było zbyt wielkie...

I teraz strach mnie przejął. Ojca nie było w domu, matka wyszła gdzieś do ogrodu czy na drugą stronę dworu — a brat? — brat się nie liczył; wszak był młodszy ode mnie i lękliwy. Sam nieraz całą potęgą dziecięcej wymowy mu-

siałem go przekonywać, że nie powinien się bać portretu dziadka, który wszędzie za nami wodził oczyma. Co prawda, tego portretu sam się bałem, ale przed bratem przyznać się nie godziło.

Nie wiem dlaczego, uroiliśmy sobie z bratem, że gdy się stoi pod zegarem, jest się zabezpieczonym od wszelkiej złej mocy duchów i strachów. Gdyśmy sami w pokoju zostawali a portret dziadka tak uporczywie i nieswojsko patrzył na nas ze ściany, sadowiliśmy się czempredzej pod zegarem.

I teraz zostawiony sam w pokoju półciemnym od nadciągających chmur, przysunąłem krzeselko do ulubionego kąta, gdzie zegar tak uspokajająco mruczał: tik, tak—tik, tak...

Brat przytulił się do mnie i głosem, w którym łzy drżały, zapytał, czy naprawdę będzie burza?

— Będzie,—odrzekłem z wielką powagą i pewnością siebie. W tej chwili jasność ogromna zalała pokój i zaraz prawie potężny huk wstrząsnął powietrzem. Piorun uderzył gdzieś blisko. Ledwie echo grzmotu przebrzmiało, usłyszałem tentent galopującego konia. Mimo, że mi zakazano wychodzić z pokoju póki się lekcji nie nauczę, wybiegłem na ganek. Ojciec powrócił z pola

i stał we drzwiach sieni, rozmawiając z matką. Służący odprowadzał spienionego konia do stajni.

— Czy pan Andrzej z młyna powrócił? — pytał ojciec.

— Zdaje mi się, że jeszcze nie, — odrzekła matka.

— Trzeba posłać po nich natychmiast; burza nadciąga ogromna; wody w górach tam już wezbrały — obawiam się, by powódź młyna nie dosięgła...

Mówiąc to, oglądał się za posłańcem.

W tej chwili zagrzmiało znowu i deszcz zaczął padać dużymi kroplami. Równocześnie szum jakiś niezwykle nas uderzył. Ojciec drgnął i szybko pobiegł do ogrodu nad wysoki brzeg rzeki. Poszedłem za nim.

Straszliwy widok...

Rzeka płynęła w szerokim wgłębieniu, tworzącym rodzaj płytkiego jaru, wyrzniętego na kraju obszernej doliny, utworzonej przez rozstępujące się w tym miejscu wzgórza. Do owego wgłębienia właśnie ogród przytykał. Dno jaru zieleniło się zazwyczaj bujną wikliną i pastwiskami, a nawet tu i ówdzie złościło się klinami zbóż, wsuniętymi między kamieniste łysiny i zadrzewione kępy. Na jednej takiej kępie stał

młyn, a rzeczka, przepływając tuż obok niego, wiła się srebrnem, krętem pasmem wśród tej zieleni, kryła się w zaroślach i wypływała znów wśród jałowych kamieńców...

Teraz — ani śladu tego wszystkiego! Dno jaru znikło jak sen, zalane wodą. Jak okiem zasięgnąć, żółte, rozwścieczone nurty rzeki, wzdymające się, rosące ciągle. Młyn widniał zdala, jak wyspa wśród tego morza. O dostaniu się do niego teraz nie mogło być mowy; woda oblewała go ze wszech stron.

Kto nie zna górskich strumieni, w czasie ulewy w przeciągu kilku sekund zmieniających się w huczące morza,—kto nie widział górskich powodzi, wyrrywających drzewa z korzeniami, walących i unoszących chaty, urągających wszelkiemu oporowi człowieka, ten nie ma wyobrażenia o podobnym widoku. Wszelki opis jest tu bezsilny.

Jodły ogromne i buki, wykarczowane uderzeniem fali, dachy całe i belki domów, trumny porozbijane o kamienie, gdzieś z nadbrzeżnego cmentarza wygrzebane—wszystko to niosła woda żółta, wściekła, bryzgająca pianą. Niekiedy słyść się dawał bek lub ryk żalosny i owca wełnista lub rogaty łeb krowy ukazywał się nad

wodą, nierzadko jeszcze łańcuchem do uniesionego żłobu przywiązany... Z szumem rozszalałej wody mieszał się co chwilę głuchy łoskot obsuwającej się ziemi z brzegu falą podmytego. Zagony całe, kępy drzew nadbrzeżnych nikły w mgnieniu oka. W głowie się kręciło, gdy było spojrzeć w tę otchłań wirów i piany.

Grzmot za grzmotem ryczał na niebie; już nie plusk kropel deszczowych, lecz suchy łomot tęgiego gradu słychać było dokoła. Burza rozszalała się na dobre.

Strach mię przejmował, tembardziej, że widziałem wyraźnie, jak ojciec pobladł. Pan Andrzej i stary Jakób znajdowali się w zatopionym młynie, który lada chwila woda mogła zabrać..

— Konie!—zawołał ojciec, — konie może jeszcze dojdą! Trzeba ich ratować...

Sprzągnięto razem cztery najsilniejsze konie i w miejscu, gdzie brzeg najbliżej pod młyn dochodził, wpędzono je w wodę. Tęgi parobczak, jeden z tych zaciętych, podgórskich chłopów polskich, dla których niebezpieczeństwo nie istnieje, siedział na grzbiecie jednego z nich. Pamiętam go, jak dzisiaj. Z odwiniętymi rękawami koszuli, bosi i bez kapelusza, ścisnął konia kolanami i wołał, wywijając biczem:

— Wio, małuśkie, wio!

Przed nami huczał potop...

Konie w wodę iść nie chciały. Stawały dęba i rzucały się gwałtownie w tył, przestraszone spienioną, żółtą falą. Parobczak porządkował wtedy spokojnie rzemienie uprząży, zaganiał je znowu i znowu wywijając batem, powtarzał;

— Wio!

Ojciec wszedł po pas w wodę i chwycił jednego konia za uzdę.

— Wio!

Konie rzuciły się naprzód i w jednej chwili zapadły w toń po uszy. Przez jakiś czas walczyły jeszcze z prądem, który je unosił, aż nagle zwróciły się w bok i targając uprzęż, poczęły na brzeg w nieładzie się wydostawać. Parobek, przemoczony do nitki, rozłożył ręce z ruchem zwątpienia.

— Nijak, panie, nie poradził — odezwał się do ojca,—woda okrutna, konie się boją—a i tak by wodzie nie wydołały...

Tymczasem woda rosła i rosła. Młynarz i pan Andrzej siedzieli już na dachu i widziałem, jak dawali rozpaczliwe znaki. Pamiętam, że jeszcze parę razy próbowano wpędzić konie, zawsze jednak na próżno. Wspominano coś o tra-

twie, ale okazało się to niepodobieństwem. Żadna siła ludzka nie potrafiłaby przemóc tego prądu.

Kazano mi iść do domu. Przyszedłem zziębnięty, przemoczony, drżący ze strachu i wzruszenia. Matka przebrała mnie zaraz w suche sukienki, kazała się napić gorącej herbaty i zawołała do siebie.

— Pójdźcie, dzieci,—mówiła,—będziemy się modlić.

Klękaliśmy z bratem obok matki i powtarzali słowa litanji:

„Boże, zmiłuj się nad nimi...”

Dziwna rzecz, pamiętam doskonale te wszystkie szczegóły i pamiętam, o czym myślałem, powtarzając za matką słowa modlitwy. Przedstawiałem sobie, w jaki sposób Pan Bóg ich może wyratować. Czy ześle anioła, który ich przez wodę przeniesie? Czy może na jakiej rybie ogromnej przepłyną? Rozmyślałem nawet, co się dzieje z owymi domniemanymi córkami młynarza? Nie mogłem się modlić; przerywałem matce ciągłymi zapytaniami.

Wreszcie nadchodził już wieczór. Burza przeminęła, ale woda wzrastała jeszcze bez przestanku. Co chwila przychodził ktoś z wieściami:

— Zbudowali tratwę w młynie,—mówiono,—zaledwie ją jednak na wodę spuścili, prąd tratwę przewrócił, a oni z wielkim trudem tylko na powrót do młyna się dostali.

— Proszę pani, Grzesiową chałupę z tamtej strony wody zabrało! szopa jacy ostała...

— Pan kazał wyprowadzać bydło z tej stajni, co nad brzegiem, bo ją właśnie woda zabierze...

Te i tym podobne wieści hjobowe donoszono ciągle. Matka siedziała blada, szepcząc modlitwę, a ja przytulałem się do jej kolan. Woda szumiała ciągle i wieczór już zapadał,—a mnie przychodziły do głowy rozmaite dziecinne myśli. Księżyc świecił jasno, przez otwarte okno teraz wpływało wilgotne, wonne, burzą odświeżone powietrze. Gdy podniosłem nieco głowę, widziałem przez okno olbrzymią, miesięcznem światłem posrebrzoną wodę i młyn czerniejący na miejscu, jak skała, lub potwór bajeczny. Podmyty widocznie musiał już być z jednego boku, gdyż dach przechylił się na jedną stronę i w środku załamał... Przyszedł mi na myśl Robinzon i jego wyspa bezludna, do której młyn mi się teraz wydał podobnym. Porównywałem w duchu pana Andrzeja z bohaterem książki i zazdrościłem mu trochę tej awantury. Właściwie nie mogłem so-

bie przedstawić, żeby mu się naprawdę miało stać co złego. A nawet wzdychałem po cichu do tego, aby ta woda nie tak prędko opadła (wszak pan Andrzej, myślałem, mógł ryby łapać i z głoduby nie umarł!), gdyż w ten sposób przez parę dni byłbym wolny od lekcji.

Nagle gwar jakiś i zawodzenie doleciały z podwórza. Podniosłem ciekawie głowę, a wtem drzwi rozwarły się z łoskotem i młoda pokojówka z krzykiem wbiegła do pokoju.

— Pani! — wołała, przypadając do kolan matki, — pani! o rety! Młyn się wali, woda go bierze! Utonie, utonie! o Jezu! utonie!

Było coś strasznego w tym krzyku dziewczyny, rozlegającym się nagle w woni letniego wieczoru, przy groźnym szumie wezbranej wody. Dzisiaj, po latach wielu, przypominam go sobie i wiem, że ta dziewczyna musiała bardzo chyba kochać tego, co tam tonął...

Matka zerwała się na równe nogi — a ja? Spojrzałem przez okno: w miejscu, gdzie przed chwilą młyn było widno, sterczała już teraz tylko bezkształtna kupa gruzów i belek, o którą zwałona powódź z łoskotem się rozbijała... Stało się ze mną coś dziwnego, czego nigdy ani przedtem, ani potem nie doznałem. Dreszcz sza-

lonej, paraliżującej trwogi przeszedł mię od stóp do głowy: teraz dopiero rozumiałem grozę niebezpieczeństwa. Przed oczyma stanęły mi ich ciała nieżywe, oślizgłe, z otwartymi ustami, porzbijane o kamienie... Coś mi oddech zaparło. Nie! to nie może być! oni nie potoną! — a jeśli potonęli, to ożyją! Bóg łaskaw! Z ogromnem łkaniem rzuciłem się na kolana przed obrazem, wiszącym nad mem łóżeczkiem i wyciągając w górę dziecinne ręce, zacząłem wołać, nie! krzyczeć do Pana Boga, by ich ratował, bo oni nie mogą potonąć, na żaden sposób nie mogą! ja nie chcę tego! —

Jakiemi słowami się modliłem — nie pamiętam już, wiem jednak, że modliłem się wtedy prawdziwie, szczerze — jedyny raz w życiu...

Co dalej było, także już nie pomnę. Przypominam sobie tylko, że późną nocą doniesiono nam, iż woda opadła a resztki zwałonego młyna ostały się — prawie cudem. Pan Andrzej i stary Jakób ocaleli...

Wiele już od tego dnia upłynęło czasu, a zawsze jeszcze z dziwną, tęskną słodyczą myślę o tej jedynej, prawdziwej, ufnej modlitwie...

PAX

1896



- A jaki koniec tego wszystkiego?
- Niema końca!
- Zgoda i na to. Dążąc, musimy jednakże wiedzieć, do czego dążymy, dokąd, jak?.. Kierunek, cel, o to mi chodzi.
- Niema celu!
- Jakżeż to więc?
- Postęp dla postępu! życie dla życia, dla ruchu, wiru...
- Śmieszne. Już lepiej było odpowiedzieć banalnem zdaniem o szczęściu ludzkości.
- Szczęście? Wiesz, boję się igrać z tem słowem. Wydaje mi się ono tajemniczem i wielkiem a tak często nadużywanem. Wolę raczej użyć wyrazu: zadowolenie.
- Szczęście czy zadowolenie... mniejsza o nazwę! Gdzie go jednak szukać. Czy w tym postępie bez końca i celu?

— Zapewne. A zresztą...

— Cóż?

— Ja go szukam w sztuce: na płótnie, które pod moimi palcami ożywia się i wypełnia snami ujętymi w ciało, w kształt, barwę... To moje życie.

— I znalazłeś je, to szczęście czy zadowolenie?

— Jeszcze nie, ale z czasem...

Urwał i po chwili zaczął znowu:

— Inni go szukają po innych drogach, inaczej. Ale zawsze w życiu, bo to podstawa. Mówią: wolność, mówią: poznanie, wiedza, doskonałość...

Do rozmowy wmieszał się trzeci głos, starszy od obydwu poprzednich:

— A spokój? How do you think? Czy on nie jest szczęściem?

Słowa te, rzucone niespodziewanie tonem zapytania, nie znalazły na razie odpowiedzi. Głębokie milczenie zapanowało w gronie trzech przyjaciół.

Siedzieli oni dokoła małego stolika na werandzie restauracji, postawionej tuż nad brzegiem jednego ze szwajcarskich jezior. Widok stąd roztaczał się cudowny i szeroki: na wodę,

na góry i na wielkie lazurowe niebo. Tuż u podnóża werandy biegło jezioro szklącą i olbrzymią płaszczyzną, u brzegów powiewem wiatru zmarszczone nieco i po żwirze i głazach szemrzące melodję jakąś monotonną; dalej, na środku, spokojne i błękitne odbiciem nieba i zachodzącym słońcem złote.

Setki łódek małych i większych, o białych żaglach, roily się w otchłani wody i światła, obrabionej stokami wzgórz zielonych, rozkosznych, pełnych winnic i ogrodów z białymi willami pośrodku.

Był maj.

Wonie kwitnących róż, bzu i jaśminów snuły się w powietrzu, mocne, leniwe, ciche i upajające nadmiarę...

W dali widniały śnieżne Alpy, które zachodzące słońce zamieniało teraz w jakąś powiewną koronkę, utkaną z nici białych i złotych, z purpury i fioleto.

A nad tem wszystkim, nad symfonią barw lodowców, rozgorzałych w promieniu konającego słońca i nad symfonią niewyraźnych a słodkich szmerów jeziora, rozpościerało się niebo czyste i jasne, tchnące tym powiewem rozkosznym, co jednych usposabia do marzeń i snów o tem, co

piękne i nieuchwytnie, a innym szepce: *carpe diem*...

Trzej przyjaciele jednakże nie zachwycali się w tej chwili cudnym majowym wieczorem. Władysław, młody artysta, i Zygmunt, o cel postępu i szczęście ludzkości pytający, siedzieli cicho ze spuszczonej głowami i w myślach zatopieni.

Trzeci z nich, Kamil, patrzył wprawdzie przed siebie, gdzieś na szczyty Alp—czy wyżej, w błękit—wątpić jednak należy, czy co widział. Na bladej, ściągłej twarzy, okolonej jasnym zarostem na angielski sposób utrzymywanym, siadła zaduma i tęsknota, ponad ściągniętymi brwiami zarysowała się głęboka zmarszczka a około ust błędził dziwny i smutny uśmiech.

Po chwili ocknął się pierwszy. Przetarł czoło białą, troskliwie pielęgnowaną dłonią i powiódł okiem po towarzyszach, starając się odzyskać swobodny wyraz twarzy.

Towarzysze jego milczeli...

Sięgnął ręką po stojący przed nim kieliszek, spojrzał nań pod światło, przyłożył do ust i szybko napowrót na stole postawił.

— Nie smakuje mi dzisiaj burgund—szepnął. Obejrzał się i zadzwonił.

Przybiegła uśmiechnięta kelnerka w białym fartuszk i przebierając palcami w zawieszanej u pasa torebce z monetą, zapytała, czego sobie życzy?

— Bordeaux!

Kelnerka rzuciwszy stereotypowe: *Gleich!* wraz z zalotnym, także stereotypowym uśmiechem, znikła, by spełnić życzenie bladego pana, którego znała już z hojności.

Kamil spojrzał uważnie na milczących wciąż towarzyszy i coś, jakby cień litości, przebiegło po jego twarzy.

— A pretty girl! Did you see? Ma ładne oczy...—wyrzekł, chcąc widocznie na innetory zwrócić myśli swych przyjaciół.

Usiłowanie to jednak nie odniosło skutku.

Gdy wreszcie rubinowe *bordeaux* stanęło na stole, Władysław podniósł głowę i rzekł z przyciskiem, patrząc na Kamila.

— Spokój—to śmierć.

— Nie!—to szczęście!—odparł Kamil z mocą, poważniejąc znowu.

— Nigdy! Szczęście leży gdzieindziej, nie w martwości, oh, nie! Czuję to: szczęśliwym można być tylko, kochając życie i nie pojmem nigdy, jak można spokój szczęściem nazywać!

— Pojmiesz! Jest on szczęściem naprawdę!
Zygmunt patrzył na Kamila w milczeniu, zdziwiony i jakby niepewny. Wreszcie zapytał:

— Ty to mówisz na serjo?

Kamil skinął głową powoli i poważnie.

— Dziwna! Gdy pierwszy raz wspomniałeś o spokoju, sądziłem, że szydzisz. Spokój! I ty, szalony duch, jak cię wszędzie nazywają, ty wiecznie gnany po świecie gorączkowym pragnieniem nowych wrażeń i przygód, ty sławisz spokój?

— Tak—i pragnę go. Pragnę go tak, jak każdy człowiek szczęścia pragnie... Czy go jednak znajdę?

Teraz Władysław podniósł zdziwiony wzrok na mówiącego. I nagle zdało mu się, że ta twarz ściąga i biała, której nie zdołało opalić słońce równikowe ani smagające wiatry pustyń—te blade niebieskie oczy, uporczywie tak przed siebie patrzące — kryją w sobie jakąś zagadkę wielką i tajemniczą. Zdawało mu się, że patrzy na rzecz, którą widywał codziennie, nie wiedząc, że jest dziwna i pełna ukrytego znaczenia. Teraz dopiero spostrzegł w tej twarzy sieć drobnych żyłek, drżących na lekko pomarszczonych skroniach, — spostrzegł znużenie wielkie i smu-

tek dokoła młodych a zwiędłych już ust — i gorączkę niemocy wyzierającą z bladych oczu.

Kamil tymczasem powtórzył znowu:

— Czy go znajdę...?

— Na tej drodze, którą idziesz, z pewnością nie! — zawołał Zygmunt. — Wdzierając się na szczyty gór, szukając burz morskich lub gwaru stolic świata...

Po ustach Kamila przebiegł lekki uśmiech:

— Czy ty wiesz, czego ja na tych górach szukałem? Czy ty wiesz, przed czym ja uciekałem na bezgraniczne morza i w dziewicze puszcze Indyj? Czy ty wiesz, że czasem — aby być spokojnym—trzeba naprzód uciec przed samym sobą?

Zygmunt wzruszył ramionami:

— Nie rozumiem.

— Wspomnieliście rzecz niedobłą, — dodał Kamil po chwili, — nie lubię o niej mówić ani myśleć.

Władysławowi zdawało się, że zaczyna tego człowieka pojmosować. Wyobrażenia niejasne jeszcze i mętne nabierały w jego umyśle powoli kształtu i odbijały od szarego tła. Mimowoli, mechanicznie powtórzył ostatnie słowa Kamila:

— Uciec przed samym sobą...

— Tak,—szepnął Kamil i zamyślił się. Gdy po chwili podniósł głowę, drżała mu nerwowo jedna strona twarzy od kąta ust aż do oka i głos mu się łamał, gdy począł mówić:

— Uciec przed sobą, przed wspomnieniami, przed życiem — o-o! uciec chciałem i chcę, nadarmo, nadarmo! Nie opuszczają mnie!

Tyle było głębokiego bólu, tyle bezgranicznej tęsknoty i skargi w stłumionym jego głosie, iż Władysław uczuł wielką litość dla tego bogatego i młodego człowieka, który całą ziemię objechał w pogoni za nieuchwytną marą — spokojem.

— Raz tylko, raz...—szeptał Kamil i wyciągał rękę, wskazując Alpy, oblane złotem zachodzącego słońca.

— Jungfrau! — tam byłem spokojny... Wyszedłem na szczyt sam—bez przewodnika. Tam jest spokój: lody tylko a śniegi miękkie, białe, ciche. Cały świat był pode mną, a nade mną tylko—Bóg. Ległem twarzą na śniegu i czułem, że wszystko we mnie ucicha, że mi błogo, dobrze... Nie trwało to jednak długo: orły mnie zbudziły, kracząc nade mną. — Co tam! Teraz i tego nie będzie! Podobno kolej budują i hotel... Co tam!

Machnął ręką i pociągnął spory haust wina.

— I drugi raz nad Gangesem... W ciemną, podrównikową noc, kiedy księżyc świeci i gwiazdy i lotosy pachną... Ale nie! nie! Tam wspomnienie moje było ze mną, o było! było!...

Nalał kieliszek i wychylił go jednym tchem.

Następnie obejrzał się i zawołał krótko na przechodzącą kelnerkę:

— Absynt!

Władysław dotknął jego ramienia:

— Kamilu, nie pij...

Kamil zaśmiał się nerwowym, bezdźwięcznym śmiechem:

— Myślisz może, że się zapijam? Nerwy grają we mnie i drżą, muszę je uspokoić. Przekłęte nerwy! Zresztą jedną szklankę tylko.

— Wiesz, że ci to szkodzi, — odezwał się Zygmunt.

— Wszystko jedno!

Mówiąc to, wyglądał, jak obłąkany lub chory. Nerwowe drżenia przebiegały mu raz wraz po lewym policzku, z oczu wyzierała gorączka straszna, żrąca i ręka mu się trzęsła, gdy nalewał wody do szklanki, w której na dnie zieleń się parę kropel trucizny, zwanej absyntem.

Podniósł szklankę niepewną dłonią i wpa-

trzył się w płyn, który zmieszany z wodą, przybrał barwę opalowo-mleczną.

— La muse verte — szepnął — la muse verte...

Zwrócił się do Władysława.

— Znasz tegoroczny Salon paryski? — zapytał.

Władysław skinął głową milcząco.

— La muse verte!... Co za przepyszny obraz! Porozrzucane papiery i wypróżniona szklanka na podłodze—i on, wpółnieprzytomny, chwiejący się na nogach... Ze szklanki wysuwa się jakiś opar, wyziew—węzowym splotem wije się około stojącego, przybiera kształty kobiece, nachyla się nad nim, dotyka dłonią jego twarzy... La muse verte...

Oparł głowę o poręcz krzesła i przymknął oczy.

Władysław i Zygmunt milczeli obaj, przygnębienie ogromne przysiadło im piersi.

Po chwili Kamil podniósł się; był już nieco spokojniejszy.

— Darujcie mi, — zaczął, — darujcie! Rozdrażniony jestem dzisiaj, jak rzadko. Nie wiem sam, co mówię.

Władysław wyciągnął rękę i krótko, gorąco

uścisnął dłoń Kamila. Usta mu się przy tem poruszyły, coś jakby słowo: biedny ty! przebiegło po wargach.

— Widzicie, — ciągnął dalej, — ja przeżyłem wiele i jestem strasznie zmęczony. Staram się panować nad sobą, ale czasem nerwy biorą górę... nie mogę...

„Jestem szalony, a szukam wszędzie spokoju, zapomnienia—wszędzie... nawet tu w szklance, a znaleźć go nie mogę...

„Wy dopiero żyć zaczynacie, wy jeszcze nie wiecie, co to znaczy uciekać przed własnymi wspomnieniami, przed samym sobą, przed wyrzutem... ale...

Urwał i zwrócił się do Władysława:

— Ty artysta; życie przed tobą dzikie, szalone, pełne gorączkowych pragnień i nienasyconych tęsknot. Poznasz to życie, którego tak pragniesz, o! poznasz je, lepiej może, niżbyś chciał. Ale wierz mi, na dzień każdego kieliszka są męty. Wszystko jedno jakie wino... męty zawsze... Upijesz się — i co z tego?... Trzeba się wytrzeźwić... z bólem głowy. Będziesz pił, aż ci nektar obrzydnie. Przyjdzie czas, że zapagniesz pokoju, jak ja go dziś pragnę. Proś Boga, byś znalazł tę przystań.

Władysław wzniosł czoło.

— Tak—zawołał—życie przede mną dzikie i szalone! Lecz ja je kocham, kocham je właśnie za to, że takie szalone i dzikie, że się mieni, jak opal na słońcu, że gna, jak obłok po niebie. A są męty w tym puharze, powiadasz? Wszystko jedno! Będę pił wino, będę pił i męty, do dna, do ostatniej kropli, do ostatniej chwili życia! Nigdy tego puharu nie odepchnę, nigdy nie powiem: już dosyć.

— Daj ci Boże! Dziecię ty...

— Bóg mi już dał to, czego mi trzeba. Mam sztukę, to wino w puharze życia. Ona mnie nigdy nie zdradzi, nigdy nie opuści, ona mnie szczęśliwym uczyni. Dla niej życie, dla niej ruch i myśl, a ona sama dla siebie. *L'art pour l'art*. Precz ze spokojem!

Zygmunt poruszył się niecierpliwie na krześle.

— Frazes.

— Ciebie, Kamilu, pojmuję, — ciągnął dalej młody artysta, — pojmuję twoje pragnienie spokoju po burzy: ty nie miałeś sztuki, by się na niej oprzeć w chwili zwątpienia i upadku... Nie wiem wprowadzie, co za cios cię spotkał...

— Sztuki? A wiesz-że ty, czy ona potrafi utrzymać ciężar ludzkiego nieszczęścia?...

A co mnie spotkało? Stara rzecz. Stara jak świat a w dodatku głupia i banalna. *Cherchez la femme!*

Uśmiechnął się gorzko i powiódł ręką po czołe.

— Jak to było?... poco mam mówić. Weźcie w rękę pierwszy lepszy romans lub romansidło, a znajdziecie tam... banalne i głupie, a jednak boli.

„Jak wyglądała? cóż powiem? Dla was, jak tysiące innych, a dla mnie...

Urwał i zamilkł na chwilę.

— Dla mnie była całym światem, — dokończył głucho.

„Kto to wie, co w ludzkiej twarzy mieszka! Są takie, których się trzeba chronić. Spotyka się je wszędzie i często. Wyglądają, jak dzieci, a są złymi duchami, nie wiedząc nawet o tem... I one niewinne. Ci winni, co życie stawiają na kartę.

Westchnął i powiódł wzrokiem po werandzie. W tej chwili twarz zadrgała mu znowu nerwowo.

— Patrzcie, — rzekł zmienionym głosem, wskazując równocześnie ruchem głowy nieopodal siedzącą dziewczę.—Patrzcie! oto macie jed-

nę z takich zagadek przed sobą... Dziecię jeszcze, dziecko, kobieta, sfinks, natchnienie dla artysty i śmierć dla człowieka!

Umilkł, oddychając głęboko.

Zygmunt spojrzał przelotnie we wskazanym kierunku i wzruszył ramionami.

— Dziecię i nic więcej,—rzekł i począł bębnić palcami jakiegoś walczyka, wpatrując się w rzeźbiony gzems werandy.

Władysław natomiast, spojrzawszy raz, nie mógł już wzroku oderwać.

Na złotem tle ogromnej zorzy zachodzącego słońca rysował się przed nim delikatny profil dziewczęcy, niby ciemna sylwetka, rzucona w morze barw i światła.

Włosy jej przeświecone promieniami, tworzyły dookoła małej, kształtnej głowy jasną aureolę, do garści iskier rozsypanych podobną.

Patrzała przed siebie — na ciche jezioro — szeroko rozwartymi oczyma, a nozdrza jej lekko się rozdymały, wciągając wonie, kaskadami z ogrodów i pól bijące.

W rozchylonych nieco ustach igrał blask konającego słońca. Może je całował...

Władysław patrzył, pochłaniał ją oczyma.

— Madonna! — szepnął niemal bezwiednie.

— Madonna! — i złożył ręce jak do modlitwy.

W tej chwili ostry, przenikliwy śmiech obił się o jego uszy i równocześnie dłoń Kamila spadła mu na ramię.

Podniósł głowę zmieszany.

Kamil patrzył na niego przenikliwie. Koło ust drżał mu szyderczy uśmiech, ale w oczach miał wielką boleść i smutek.

— Madonna! — ozwał się — daj pokój! Nie bluźnij i — nie patrz! Po co patrzysz?

— Piękna jest!...

— Nie patrz! To nie dobrze — dzisiaj nie dobrze — teraz...

— Chciałbym tę twarz malować, — szepnął Władysław, jakby usprawiedliwiając się.

Kamil uśmiechnął się znowu wpół z szyderstwem a pół z litością:

— I te usta całować, nieprawdaż?

— Tak.

Kamil powstał szybko.

— Wiedziałem. Chodźmy już,—rzekł,—nie dobrze jest tutaj. Chłód wieczorny przejmuję.

Mówiąc to, wziął pled, na poręczy krzesła zwieszony i począł się nim otulać.

— Chodź, chodź! — powtórzył. — W złą godzinę zobaczyłeś tę twarz, w złą godzinę...

Władysław podniósł się powoli i niechętnie.

Chłód wieczorny rzeczywiście coraz silniej czuć się dawał. Słońce już zaszło; czerwona luna na Alpach dogorywała—stawiała się fioletową, popielatą, szarą. Dwurogi księżyc coraz wyraźniej występował na ciemnem tle błękitu. Dokoła ukazywały się gwiazdy...

I nad całym światem, nad jeziorem, nad górami, nad miastem pełnem ogrodów zawisła cisza bezgraniczna, wonna i rozkoszna bardzo.

I tylko gdzieś daleko, daleko nad tonią jeziora brzmiał niewyraźny i smętny śpiew.

Nagle wieczorne dzwony zabrzmiały nad miastem.

W tej chwili dziewczę podniosło się i zwróciło głowę. Oczy jej wielkie, spokojne, tajemnicze oczy dziecka spotkały się z gorącym wzrokiem artysty.

Trwało to jedną, krótką chwilę.

Fala ciepłej krwi uderzyła Władysławowi do mózgu, nogi pod nim zadrżały i wszystko mgłą się przed oczami zasnuło.

Chwycił dłonią za poręcz krzesła i spuścił wzrok.

Gdy twarz znów podniósł, jej już nie było —

II.

Jasne popołudniowe słońce wpadło złotą kaskadą przez otwarte okno do wnętrza małej klasztornej celi.

Zaciszenie tu było i spokojnie.

W kącie stał tapczan, czarną derą przykryty, obok klęcznik drewniany i krzyż nad nim. Dalej cokolwiek stolik a na nim pośród ksiąg i papierów dzban gliniany, pełen polnych, wonnych kwiatów.

Jedyną rzeczą, wyróżniającą tę celę od innych, były sztalugi z naciągniętym płótnem, z którego wśród ciemnego tła wyzierała jasna postać Chrystusa na krzyżu. Na ziemi i na małym stołeczku obok leżały porozrzucane pendzle i farby.

Przy oknie w szerokim krześle dębowym siedział zakonnik.

Twarz o wyrazistych i inteligentnych rysach wsparł na dłoni a wzrokiem błdził po małym klasztornym ogródku.

Kilka starych, rozłożystych lip o liściach od słońca złotych i kilka ciemnych, wysmukłych jodeł chwiało się tutaj z wiatrem, szumiąc cicho i melodyjnie. Zapach rezedy, tuż pod oknami rosnącej, mieszał się z zapachem świeżo skoszonej trawy i wchodził swobodnie przez otwarte okna do klasztornych cel.

Zakonnik, siedzący przy oknie, napawał się tą wonią, patrzył na sylwetki drzew, ostro się w błękicie odrzynające, na grządki pełne rezedy, na ścieżki białym piaskiem wysypane i na stary, czerwony, tu i ówdzie popękany mur, który ogródek klasztorny od gwarne go świata oddzielał.

Patrzył—i na twarzy nie starej jeszcze, a już pooranej zmarszczkami i życiem zmęczonej, rozlewała się łagodna i słodka błogość. Przymknął oczy, głowę wtył odrzucił i pił letnie, ciepłe słońce, pełnym blaskiem mu się na twarz rzucające, pił spokój, którym tchnęła cela klasztorna i ogródek mały, i lipy i jodły i mur czerwony, popękany, od świata go oddzielający. Kaptur zsunął mu się z głowy, suche, białe dłonie bezwładnie opadły na kolana, a twarz chuda, opa-

lona, o rysach wyrazistych i ostrych, zastygła się stała i wyglądała, jak martwa. Od ogorzałości lic odbijało tylko wysokie białe czoło, po którym teraz złote słońce igrało.

Siedział tak długo, milczący, cichy, bez westchnienia, bez ruchu...

Słońce już chyliło się powoli ku zachodowi, już zeszło mu z lica i drżało na białych dłoniach, złożonych na kolanach, zsuwało się z nich na podłogę i pęzało złote ku sztalugom, pod stopy Chrystusa na krzyżu.

Było bardzo cicho.

Wtem dało się słyszeć pukanie i niemal równocześnie drzwi celi otworzyły się z łoskotem.

Zakonnik drgnął, uniósł się nieco i skierował oczy ku drzwiom. Na progu stał braciszek niski, szpakowaty, o rumianych policzkach i śmiejącem się oku.

— Pax tecum, carissime frater! — ozwał się przybyły.

— Pax...

— Ojciec Przełożony przysyła mnie do was, bracie Brunonie. Przyszedł list dla was, gdzieś ze świata...

Brat Bruno poruszył się żywo, w tej chwili

jednak, jakby zawstydzony, opuścił się znowu na krzesło i z tęsknym uśmiechem powtórzył:

— Gdzieś ze świata...

— Tak. Ojciec Przełożony pozwolił go wam oddać. Oto jest.

Mówiąc to, wyciągnął rękę z listem i otwartą kopertą.

Brat Bruno sięgnął poń i nie patrząc nawet położył obok siebie na oknie:

— Gratias...

Przybyły braciszek miał ogromną ochotę rozpocząć pogawędkę. Rozejrzał się po celi, chrząknął i wydobył z rękawa wielką, brzozową tabakierkę.

— Pozwolicie? — zapytał, podając ją bratu Brunonowi.

Bruno odsunął ją lekko dłonią:

— Gratias! nie zażywam...

— Nie zażywacie? hm! To czasem dobrze robi...

I jakby na dowód tego ogromny niuch tabaki wpakował do nosa.

— Tak, tak! to dobrze robi na oczy, — dodał i kichnął potężnie raz, drugi i trzeci.

— Piękną nam Pan Bóg dał pogodę, — rzekł następnie, zbliżając się do okna.

Brat Bruno nie odzywał się, gość jednak widocznie nie miał ochoty dać za wygraną. Podszedł ku sztalugom i patrzył:

— Mój Boże! jak wy pięknie malujecie, carissime frater! Wasz obraz znacznie ładniejszy od tego, co w wielkim ołtarzu...

Zagadnął jeszcze parę razy, lecz wkońcu widząc, że brat Bruno milczy uporczywie, chrząknął niezadowolony, obejrzał się jeszcze raz i wyszedł, kłapiąc trepkami po kamiennej posadzce korytarza.

Brat Bruno został sam.

Chwilę siedział bez ruchu, następnie sięgnął wolno i jakby leniwie po otwarty list i podniósł go do oczu.

— Gdzieś ze świata... — szepnął.

Spojrzał na tytuł.

„Drogi Władysławie!”

Władysławie?... Co to jest? Ach! tak, prawda! Niegdyś nazywał się Władysławem. Ale to już dawno temu, może rok, może dzieś sięć lat, a może sto?... Nie pamięta już... Tutaj czas płynie tak jednostajnie, bez rachuby, dzień do dnia podobny...

Obracał list w ręku prawie bez myśli. Na-

reszcie w głowie powstało mu pytanie, kto to może pisać do niego?

Odwrócił kartkę i spojrzał na podpis.

„Twój Zygmunt“...

Zygmunt, Zygmunt? Kto to może być? Aha! już wie! To ten, ten... Tak, pamięta. Szwajcarya, jezioro, Paryż... i ten drugi. Jak mu to było na imię? Kamil?

Drgnął. Wszak on to pamięta! wszak to nie tak dawno temu! Wspomnienia, które siłą woli przytłumił w sobie i zagasił, obudziły się i poczęły krzyczeć, dopominając się o swe prawa. Cała przeszłość ze swemi łzami i śmiechami, cała młodość: wszystko, co przeżył i przeboleł, o czym wierzył, że już zapomniał, stanęło mu teraz przed oczyma, wywołane jednym imieniem, dolatującym go jak echo dawnych czasów.

Martwa maska jego twarzy, którą przed chwilą słońce całowało, pękła—bezbarwne oczy nabrały życia, wargi drżeć poczęły.

Nachylił się i począł czytać chciwie.

„Drogi Władysławie! — pisał towarzysz dni minionych,—zginąłeś mi z oczu tak nagle i niespodziewanie... Teraz dopiero dowiedziałem się przypadkiem o miejscu Twego pobytu i piszę,

by Ci przypomnieć przyjaciela i te lata, co jak motyle uciekły gdzieś bez śladu.

„Wszystko mija, a na świecie coraz smutniej i puściej.

„Nie uwierzysz, jak mi tęskno, gdy mi czasem w myśli staną wspomnienia blade już i zartarte, wspomnienia chwil szczęśliwych, młodości, łez — wspomnienia drogich twarzy, których już dzisiaj nie widzę. I czasem pytam się, pociągając daleko?

„Lat tak niewiele, a tyle w nich już żalu i rozczarowań, tyle straconych twarzy i chwil niepowrotnych, których wspomnienie przejmuję bólem i tłoczy.

„To, co mi wczoraj było drogie i jasne, dziś mgłą się okrywa i uśmiech jakiejś tęsknoty na usta wywołuje. Zapominam sam wiele, a smutno mi, gdy myślę, że i inni zapominają.

„Zdaje mi się, że codziennie pęka jedna z tych nici, któremi w wielką maszynę świata jestem wwiązany — a czuję, że nadarmo starałbym się nawiązać ją na nowo. I zazdroszczę Ci, myśląc o tem, boś je Ty sam wszystkie od razu pozrywał i nie potrzebujesz patrzeć, jak się rozluźniają—jedna po drugiej — wolno a ciągle. Zazdroszczę Ci, a jednak przyznam, że nie miał-

bym odwagi pójść za Twoim przykładem. Żal-by mi było słońca, które nademną świeci, ludzi, którzy się śmieją, ruchu, życia...

„Może to wszystko komedia, ale cóż robić! Za kulisami tej wielkiej sceny, którą światem zowią, jeszcze smutniej być musi: tam człowiek zostaje sam. Czuje, że jestem kółkiem w maszynie, z ogromnym pędem lecące; gniotą mnie wprawdzie inne kółka i tryby, ocierają i szarpią, ale pędzą przynajmniej — i poruszam się, żyję. Lepiej może tak, niż leżeć gdzieś w prochu pomiędzy zardzewiałymi rzeczami.

„Z czasem pęknie kółko i będzie mu koniec...

„Ot widzisz, stary przyjacielu: marudzę i nie jestem wesoły. Zobaczywszy mój list, pomyślałeś zapewne, że przyniesie Ci on trochę tego powietrza świeżego, które ponad ruchliwym światem wieje—a tymczasem nic z tego! I cóż Ci zresztą mam pisać? Drobne, codzienne sprawy, które tu życie nasze wypełniają, nie obchodzą Cię zapewne. A zresztą nie obchodziły Cię nigdy. Tyś latał na skrzydłach, ja pcham taczkę. Bolą ręce...

„Ożeniłem się i mam syna. Rozkoszne dziecko! Szkoda, że go widzieć nie możesz. Dałem mu Władysław na imię.

„Przed paru tygodniami byłem z żoną w Paryżu. Opowiadałem jej o Tobie i pokazywałem dom, w którym niegdyś miałeś pracownię. Mój Boże! ileż to chwil swobodnych i szczęśliwych spędziłeś tutaj!

„Poszedłem potem do Muzeum i widziałem Twój obraz. Wisi na tem samym miejscu i tłumy publiczności stają przed nim — całkiem jak dawniej. Imię Twoje żyje tu jeszcze na ustach, a mnie smutno, bo myśląc o Tobie, myślę, że to wszystko należy już do przeszłości.

„Wracając z Paryża, zatrzymałem się w Zurychu. Poszliśmy z żoną na Zürichhorn do tej restauracji z werandą nad brzegiem jeziora, kędy to siadaliśmy wieczorami we trzech — pamiętasz? Siadłem znowu przy naszym dawnym ulubionym stoliku i myślałem o was.

„Mój Boże! Mój Boże! — Co się z nami stało!

„Ja pcham taczkę, a coraz ciężiej idzie, bo sił ubywa, Ty w klasztorze, a Kamil...!

„Biedny Kamil. Wróciwszy z Brazylii, pojechał do Egiptu, a przed miesiącem czytałem w Timesie, że się zastrzelił pod piramidą. Może tam na żółtym piasku pustyni znalazł wreszcie spokój, którego nadarmo całe życie pragnął.

„Sit ei humus levis! Modlisz się teraz często, módl się i za niego“...

Brat Bruno opuścił list na kolana; po policzkach spływały mu wolno dwie łzy.

— Zabił się! zabił... — wyszeptał.

Przed oczyma stanął mu pusty, gorącym, żółtym piaskiem zasypany brzeg nilowy z rzadkimi palmami tu i ówdzie. Niebo ciemne, szafirowe, a słońce płynie po niem samotne, palące, jak oko wielkie i otwarte wiecznie.

A pod słońcem piramidy wpół zagrzebane w piasek. Tyle wieków, tyle wieków patrzy na nie to oko! A one, grobowce mumji, spokojne, poważne... Sfinks położył się przy nich na straży duma... Sfinks!

I zdało mu się, że między piramidami a sfinseksem, na żółtym piasku i pod słońcem bezsenem widzi zwłoki blade z rozstrzaskaną skronią...

Drgnął i westchnął głęboko.

Słońce zbliżało się coraz więcej ku zachodowi.

Podniósł list i przy blasku ukośnych promieni począł znowu czytać.

„Pamiętasz,—pisał przyjaciel,—jak siadywaliśmy razem nad jeziorem, rozmawiając i patrząc na Alpy? Tak mi dziwno i smutno, gdy

pomyślę, że on dzisiaj nie żyje, a Ty, który ruchu i życia pragnąłeś, zagrzebałeś się w murach klasztoru. Zdaje mi się, że wy obaj nie żyjecie, a ja sam zostałem. I tak mi dziwno, tak dziwno!“

Brat Bruno rozwarł szeroko oczy i wpatrzył się gdzieś w głąb celi, kędy już cienie wieczorne kłaść się zaczynały—czy też na sztalugi i Chrystusa białego, wyzierającego z nich.

I zdało mu się, że wstaje przed nim mgła jakaś złotawa i niejasna, snuje się, rozszerza, a w mgle tej rodzą się postacie zapomniane, których dawno nie widział.

Spuścił głowę i dumał.

Biedny Kamil!

Oto widzi go! Zachód słońca — Alpy mienią się i płoną, jezioro szumi jakieś pacierze, a wonie leją się z ogrodów... tyle woni! tyle woni...

Jak on to pamięta, jak on to dobrze pamięta teraz!

Rozmawiał z Zygmuntem. O czym? Aha!—o życiu, o szczęściu. Hej! szczęście!...

„A spokój? How think you?“ — słyszy te słowa tak wyraźnie i widzi bladą, zmęczoną twarz.

Ktoś na to odpowiedział: Spokój—to śmierć! Kto? on? on sam? Tak. Ale wtedy... wtedy był inny... Dziś żadnej cząstki w nim tej samej nie ma. Więc cóż? to nie on był zatem? On? Jakie to dziwne, jakie dziwne!

Spokój! Ileż on to musiał przeżyć, ile doświadczyć, nim poznał czar i świętość tego słowa!

Jak to dziwno! Zaczął pracować ciężko myślą, chcąc ująć związek między swym życiem dawniejszem a dniem dzisiejszym. Myśli jednak rwały mu się, jak nici i wikłały tak, że po chwili uczuł się niemi zmęczony. Jeden tylko fakt, jak powtarzający się wciąż motyw fugi potężnej wracał mu uporczywie do głowy:

— Kamil nie żyje, a ja jestem w klasztorze...
A więc?...

Uczuł, że powinien się modlić za zmarłego towarzysza. Sięgnął ręką po różaniec, usta mu się poruszyły:

„...i w godzinę śmierci naszej. Amen. Wieczne odpoczywanie“...

Wymawiał mechanicznie wyrazy, lecz ducha nie mógł zmusić do prawdziwej modlitwy.

W miarę, jak ziarna różańca przesuwiał, dziwne jakieś obrazy stawały mu w pamięci.

Błysnął w niej najpierw delikatny profil dziewczęcy, sylwetka rzucona w morze barw i światła... Błyskał i ukazywał się i znikał znowu.

Przymknął oczy, myśląc, że widmo odejdzie.

Tutaj jednak zaczęły się zjawiać nowe obrazy.

Oto widzi swą pracownię. Płótno rozpięte na sztalugach. Na dole obrazu chmury ciemne i skłębione i ziemia pod nimi, a tam u góry niebo i jasność na niem mistyczna.

A między ziemią a niebem postać kobieca o znanym mu profilu, z rękami wzniesionymi, unosząca się w górę, wyżej i wyżej...

Obok niej, niżej nieco, wpół jeszcze w cieniu schowany, on, z twarzą, po której blask już igra, ku niej zwróconą, dłońmi jej szaty ucze-piony... on...

A potem, potem?

Zdawało mu się, że widzi Salon na Polach Marsowych. Tłumy ludu przed obrazem młodego polskiego malarza. Falują, jak morze, przypływają i odpływają ciągle, a on słyszy w szumie fal głów ludzkich swoje imię...

Puścił różaniec i podniósł rękę do skroni:

Vanitas vanitatum et omnia vanitas...

Ostatnie słowo odbiło się już tylko lekkim poruszeniem warg.

Widzenie powróciło znowu.

Lecz teraz widzi w tem morzu głów ludzkich tylko jedną głowę, piękną jak marzenie, jak światło...

Ona!

Stoi i patrzy na jego obraz.

Kolana zaczynają pod nim drzeć, chciałby uklęknąć, chciałby wołać: o stella maris!

A ona zwraca się ku niemu, spojrzenie jej wielkich, dziecięcych oczu zawisa na chwilę na jego twarzy, na chwilę... I wszystko niknie przed nim: obraz, i ludzie, i wszystko, wszystko! ją tylko widzi, ją jedną!

— Vanitas vani... — nie dokończył.

Oto jest znowu w swojej pracowni. Gałązki kwitnących akacyi zaglądają przez okna i przeszkadzają złotemu słońcu wejść do środka. A tu w środku, pomiędzy obrazami i rzeźbami zaczętemi, które wszystkie, jak zwierciadła, jedną twarz odbijają, stoi... ona!

O stella maris! o regina coeli!

Chce się modlić, chce czołem bić o ziemię, lecz ona zarzuca mu ręce na szyję i rozwartemi do pocałunku ustami szepce: kocham... ja twoja!

Wypuszczony z rąk różaniec zsunął się na ziemię; głowa mu w tył opadła, pierś oddychała szybko i głęboko. Zapomniał, gdzie jest i czym jest: minione młode lata wróciły.

I jak w kalejdoskopie przewijały się obrazy w jego pamięci, coraz szybciej, szalenię, migotliwiej.—Łąki i pola, tajemnicze wnętrza starych świątyń gotyckich, góry śnieżne i lasy i ciche ustronne domki wśród winnic, morskie brzegi, pełne słońca i kolorowych muszel, dzwonki sanek po śniegowych płaszczyznach, majowe wieczory i noce letnie gwiazdziste, poranki ciepłe, lśniące rosą i kwiatami, dni jesienne, kiedy deszcz na dworze pluszcze a w domu tak słodko przy kominku siedzieć we dwoje, godziny motyle i słowicze godziny pędziły przed jego oczyma, a wszędzie ona, wszędzie jej usta przy jego ustach, jej dłoń w jego dłoni.—Wszystko to splatało mu się w pieśń jakąś dziwną i słodką, starą już, ale jak stare wina upajającą i namiętną.

I słuchał tej pieśni wspomnień, a tętna biły mu na skroniach coraz żywiej, goręcej.

I nagle—co to? Dźwięk jakiś fałszywy, jak żółta plama na błękitnym obrazie—dźwięk szdny i zimny — rośnie, potężnieje, mąci pieśń, gwiżdże, zgrzyta... O, ten dźwięk! Wdziera mu

się do piersi, targa struny, żre serce, wyjada mózg... wszystko blednie, wszystko się wali... O!

„Banalne i głupie, a jednak boli...”

Zerwał się gwałtownie: wyraz strasznego bólu odbił się na twarzy. Przez chwilę błędnie oczyma patrzył przed siebie i wyciągał ręce, jakby odpychając marę, która przyszła go prześladować znowu w cichej klasztornej celi. W całej postaci widać było strach.

— Boże!—jęknął—Boże! miłosierdzia!

Ciężko dysząc, upadł na krzesło. Zęby błyszczały mu z pośród rozchylonych warg, palce zaciskały się kurczowo. Uczuł, że mu brak oddechu. Szybkim ruchem rozerwał habit pod szyją i przycisnął dłońią falującą pierś.

Pod palcami zaszeleściło coś...

Maleńka koperta, poślódkła już i wytarta.

Wydobył ją, otworzył. Wyleciała z niej wiązka włosów złotych i miękkich, jak jedwab, listek wawrzynu złamany i dwa zeschnięte fijołki.

Oto wszystko!

Oczy zaszczyły mu łzami.

Ileż to już lat nosi te pamiątki ne sercu! Nie może się z niemi rozstać, nie może! Wie, że to nie wolno, że to niedobrze, a przecież zabrał je z sobą pokryjomu do klasztoru. Nie mógł ina-

czej, nie... I gdy kiedyś w trumnę..., to te pamiątki... z sobą...

Pochylił się nad dłońią, w której trzymał te rzeczy zwiędłe i suche. I nastała chwila, kiedy znowu nic dla niego nie istniało pod słońcem i na ziemi prócz tej wiązki włosów złotych i miękkich, jak jedwab, tego złamanego listka wawrzynu, fijołków dwóch zeschniętych i wspomnienia dawnego...

Doznawał wrażenia, jakby się znajdował na pustyni wielkiej. Zdawało mu się, że o wschodzie słońca wstał z pod głazu, kędy ani źródła nie było, ani trawy—i poszedł przed siebie prosto, szukając oazy. Szedł przez cały dzień, kalcząc stopy o ostre kamienie, palony słońcem i od promieni słonecznych gorętszem pragnieniem. Pustynne widziadła palm i źródeł migotały przed nim zwodniczo, a on je gonił, póki nie znikły. — Lecz oto zachód jest i spodziewa się odpocząć. Coś przed nim majaczy: oaza? Nie! To ten sam martwy głaz, z pod którego wstał rankiem. Łudził się zatem!

Ogarnęła go dzika, bezradna rozpacz. Zimny pot dużymi kroplami wystąpił mu na czoło,—ogromny ciężar przywalał mu piersi, — dłoń, gniotąc zeschnięte listki i włosy złote, zaciskała

się kurczowo, coraz silniej, aż ból poczuł w stawach. W gardle go coś dławiło i paliło w ustach. Zamknął oczy.

Co robić? co robić?... Wszystkie podpory pękły mu w ręku i jest sam, tak strasznie sam i tak bezlitośnie na pastwę rozpaczyny oddany. Chciał się wesprzeć na sztuce, lecz ona, ta ubóstwiana Sztuka, nie uniosła ciężaru jednego, lichego życia ludzkiego. A tak jej niegdyś wierzył! O, nie trzeba wierzyć, nigdy wierzyć nie trzeba! Oto później uwierzył znowu, że ciche mury klasztorne dadzą mu wytchnienie i spoczynek po burzy; zamknął się w nich, oddzielił się nimi od świata i już sądził, że znalazł tak gorąco upragniony spokój, już zaczynał zapominać o tem, co było, co bolało i boli—już... i jedna chwila i wszystko na nic! Łudził się zatem.

Co robić?... Jest jak ptak nad morzem, któremu brak sił do dalszego lotu na wicherze i w burzy, który już skrzydła opuszcza i spocząć pragnie, lecz wkoło woda tylko i spienione bałwany i nigdzie, nigdzie miejsca, gdzieby mógł usiąść... Więc cóż? zwinąć skrzydła i wpaść w te fale, jak tamten, co pod piramidami leży z rozstraskaną skronią?...

Jad strasznej myśli począł mu się sączyć

w duszę. Zdawało mu się, że widzi jakąś otchłań przed sobą, która go wabi i ciągnie i woła: pójdz, pójdz... Przestał myśleć; sen go jakiś przedśmiertny opadał, ból tylko czuł ogromny, nieuciszony niczem...

Chwile płynęły powoli i głucho. Słońce było już czerwone i drzewa się w niem złociły, wonie stawały się przed zachodem silniejsze, czystsze, świeższe, powietrze łagodniejsze i pierśiom miłsze. Ptaki poczynają śpiewać pieśń wieczorną, pszczoły powracały do ulów, zdala słychać było głosy i śmiechy robotników, schodzących już z pola...

I naprzód gdzieś daleko, daleko ozwał się najwcześniejszy dzwonek wiejskiego kościółka, później przyłączyły się do niego inne, bliższe, po miejskich wieżach—aż nareszcie zabrzmiały i dzwony klasztorne w pieśń srebrną, wielką i szeroką...

Anioł Pański zwiastował...

Stare lipy i wysokie jodły zaszumiały w klasztornym ogródku, a ponad niemi gdzieś wysoko, wysoko, płynęły poważne, uroczyście, święte głosy dzwonów. Napełniały sobą powietrze i srebrną kaskadą wpadały do celi...

Anioł Pański zwiastował...

Brat Bruno usłyszał dzwony i ocknął się, lecz w pierwszej chwili nie mógł sobie zdać sprawy, co to jest? Rozwarł oczy i zląkł się. Przed nim stoi biała jakaś postać—co to jest?

Wpatrzył się w to dziwne zjawisko, nie śmiejąc prawie oddychać. I powoli, powoli zaczął rozpoznawać białą postać Chrystusa, odbijającą od ciemnego tła obrazu, oświetloną ostatnimi promieniami zachodzącego słońca.

— Chrystus!

— Chrystus—i dzwony huczą nad ziemią...

Odetchnął głęboko; zdawało mu się, że rosa odwilża jego spieczoną wargi.

Jak te dzwony huczą! jak huczą.

A przed nim Chrystus na krzyżu, z twarzą pełną boleści, a tak spokojną, tak świętą. I zdało mu się, że postać ta mówi do niego w jęku dzwonów—ogromnie dobra, ogromnie litościwa i przebacząca:

— Błogosławieni cisi, błogosławieni spragnieni, błogosławieni, którzy cierpią...

Patrzył i uczył, że postać ta jest mu droższa i świętsza nad wszystko, nad świat cały, bo w niej jest spokój i przystań cicha i szczęście. Zaczynał pojmywać. Miał tę przystań tak blisko,

a nie mógł jej odnaleźć, nie mógł zrozumieć. Ale teraz rozumie, o! rozumie...

Oaza! wyspa na morzu!

Rysy twarzy, przed cdwilą jeszcze kurczem bólu ściągnięte, wyglądały się zwolna; dłoń zacisnięta otworzyła się, a wiatr wieczorny przyszedł i wziął z niej wiązkę włosów złotych i miękkich, jak jedwab, i listek wawrzynu złamany, i dwa zeschłe fijołki i poniósł je pod mur klasztorny, na kwiaty pachnące i zioła... Jeden tylko włoszek mały, uczepiony u rękawa, błyszczał jeszcze i złocił się i chwiał. Wreszcie i on poleciał.

A razem z temi rzeczami dawnymi i zwiędłymi uleciało wspomnienie z serca, które już rozpałało inną miłością, czystsza, większą, wieczną.

Błądą twarz i złożone ręce wyciągnął ku Chrystusowi na krzyżu i począł się modlić:

— O, Panie! O, Panie dobry i litościwy!

— Oto wszystkie dni moje i ból ich Tobie na ofiarę!

— Oto wszystko, co przecierpiałem, co przeżyłem, niechaj będzie na Twoją chwałę!

— O, Panie mój! Ucieczko moja! Mój Zba-

wicielu! — Zerwał się ze stolka i z jękiem ogromnym rzucił się do stóp krzyża:

— Chryste! Chryste!

Łkanie gwałtowne wznosiło piersi i coraz lżej mu było, coraz lepiej...

A dzwony tymczasem huczały po świecie:
Pax tecum! pax tecum!

Nareszcie dzwony umilkły i słońce zachodziło. Wązkim, ostatnim promieniem złotym zajaśniało raz jeszcze do celi i oświeciło blaskiem postać Chrystusa litościwą ogromnie i u stóp jej schylonego zakonnika.

Cień padał wieczorny...

Z DOMU OJCÓW

1897

I.

Monachjum, dnia 2. czerwca.

Opuściłem już, mój kolego, jak widzisz z daty listu, Szwajcarję, Zurych, profesora Avenariususa, jezioro, „Krytykę czystego doświadczenia“, pannę Mizi, ławy uniwersyteckie, moje ulubione mieszkanie na Hottingen i moją gospodynię, chlubiącą się niepomiernym talentem wyłudzenia pieniędzy z kieszeni swych lokatorów!

Felix qui procul — et caetera. Nie mam egzemplarza pod ręką, a z pamięci boję się cytować, abym wiersza nie popsuł.

Jadę do kraju, do rodzinnego gniazda, w którym ośm lat już nie byłem.

Nie dziw się, żem na listy, w ostatnim czasie pisane, nie odpowiadał.

Ty, szczęśliwcze, uwinąłeś się prędzej z egza-

minami i umknąłeś do Berlina, a nie mając tam widocznie nic lepszego do roboty nad pisanie listów (zwykły los „świeżo upieczonego“ doktora filozofji), obrałeś mnie za cel swych pocisków.

Synu Abrahama! Ja musiałem jeszcze przez sześć tygodni ślęczyć nad księgami mędrców Indji i Palestyny, Grecji i Romy, Germanji, Galji, Albjonu i t. d. i wysysać z nich słodycz mądrości ku następnemu zbudowaniu moich profesorów i egzaminatorów.

Finita la comedia! profesorowie są zbudowani, a ja jestem doktorem filozofji—*summa cum laude!*

A wiesz, czasami przychodzi mi na myśl, że to jednak wszystko głupstwo...

Cały dzień bywam w dobrym humorze i mięwam nawet ochotę do błazeństw, rzecz u mnie niebywała, ale wieczorem dziwię się, z czego ja się cieszę właściwie?

Wiedziałem, że egzamin zdam i że go zdam tak, jak go zdałem; wiem, że nie jestem ani mądrzejszy ani lepszy przez to, że mam wyrok egzaminatorów już poza sobą i dwie litery: „dr“ na kartkach wizytowych, a więc...

Wiem, że wielu na mojem miejscu nie sta-

wiałoby sobie tych pytań, ale ja zanadto przywykłem do refleksji, bym się mógł wesołości bodaj swobodnie oddawać.

Ot i ten list! Zacząłem go pisać w humorze ucznia gimnazjalnego podczas pierwszych dni wakacji—i...

I nudzę swoim zwyczajem.

Zazdroszczę ci czasem, że ciebie krytyka nie zjadła, że umiesz jeszcze czuć niepodzielnie i oddawać się cały chwilowemu uczuciu, a czasem lituję się nad tobą, bo widzę, że jesteś jak pełny żagiel, który bierze wiatr w siebie i poddaje mu się, nie pytając, skąd wieje ani z jaką siłą uderza.

Prawdę powiedziawszy, dziwi mnie trochę to twoje usposobienie; wy żydzi bowiem, rasa stara i wiekowem doświadczeniem mądra, zwykle od nas rozsądniejsi bywacie i więcej krytyczni.

Ty jednak rozsądny nie jesteś. W kółku naszym, w kółku ludzi ogromnie rozsądnych i przeobrażająco krytycznych, chwaliłeś się tem nieraz głośno i szczerze, a myśmy się z ciebie śmiali. Teraz widzę, że śmiać się nie było z czego.

Ach! jakżebym pragnął teraz naprzykład być nierozsądnym, tak dziecinnie nierozsądnym i cie-

szyc się, żem zdał egzamina, że jadę do domu, którego tyle lat nie widziałem!

Wiesz, mówię dzisiaj szczerze z tobą: zdaje mi się, że to usposobienie, które mam, nie jest właściwie moje. Przyszło może ono do mnie z wychowania, ze studjów, z tego, com przeżył, z tego, na co patrzyłem,—ale nie jest moje.

Czasem odzywają się z najgłębszego wnętrza duszy mojej struny, o których istnieniu sam się dopiero w chwili ich zadrgania ze zdziwieniem dowiaduję. Może się one we mnie z dzieciństwa jeszcze przechowały, może z krwią przeszły...

Wiesz, że pochodzę ze starej rodziny, której burzliwa historia nie jest historją ludzi rozsądnych... A dzieciństwo spędziłem w starym, omszałym dworze, słuchając opowieści o przodkach i skazek na przemian, patrząc na stare, dziwne portrety...

Portretów tych i dworu tego ośm lat już nie widziałem. Zobaczę je znowu.

W ostatnim czasie ojciec mój naglił kilkakrotnie przez listy, bym powrót przyspieszał. Chce zdać na mnie interesa majątkowe, które podobno nieświeźnie stoją. Jadę więc.

Interesa! Nie bardzo to dla mnie pożąta

rzecz! O majątek mi nie chodzi. Mam wykształcenie i wiem, że mogę sobie niem zdobyć stanowisko. Plany moje i ambicje daleko wprawdzie sięgają, ale czuję się na siłach podołania im. Byle się tylko z interesami jak najprędzej uwinąć.

Jeżeli będzie potrzeba, sprzedam majątek. Sądzę, że mi to przyjdzie z łatwością, obawiam się tylko, by ojciec nie miał co przeciw temu.

Mnie ze starym dworem naszym nic prawie nie wiąże. Dzieciństwa zapomniałem, pamiątki tamte mnie nie nęcą, bo ich nie rozumiem; inne było moje wychowanie, inne życie, inne są też poglądy i przekonania.

Zdaje mi się, że będę obcy w moim domu. A jednak, mimo to, czasem, coś ciągnie mnie w tamtą stronę... Może prosta ciekawość, a może resztki wspomnień dzieciństwa...

Rozpisałem się, a tu właśnie hotelowy przyszedł mi przypomnieć, że czas już na pociąg się zbierać.

Bywaj zdrów zatem! Wkrótce odbierzesz odemnie list z domu. Doniosę ci w nim, jak długo przypuszczalnie w kraju zabawię i podam adres.

Twój Tadeusz.

II.

Boryniec, dnia 12. czerwca,

Niecierpliwiłeś się zapewne, oczekując listu, a zdziwisz się, otrzymawszy kartkę, pisaną hebrajskimi literami.

Nie chcę jednak, aby ją na poczcie naszej ciekawej miejsciny czytano, a na list brak mi czasu, ochoty, myśli, wszystkiego. Nie wiem, co się ze mną dzieje.

Tu inny świat, tu inny świat! tak odmienny od tego, do którego przez tyle lat przywykał—i przywykł.

Tu przeszłość wyziera na mnie z każdego kamienia, z każdej szczerby, z portretu każdego. Nie rozumiem jej, nie chcę jej rozumieć, a ona patrzy na mnie ciągle blademi, przenikliwymi oczyma...

Chwilami zdaje mi się, że jestem pijany.

Pierwszego dnia chciałem stąd zaraz uciec, dzisiaj zdaje mi się, że bym tego nie potrafił. A może będę musiał...

Głupstwo! chcę myśleć o czym innym, o czymkolwiek, tylko nie o tem, co mnie otacza.

Proszę cię, donieś mi, czy artykuł mój o „psy-

chologicznych zasadach spostrzegania“ wyszedł w ostatnim numerze Revue... Karta się kończy, bądź zdrow. A pisz wkrótce i wiele o sobie.

Twój

Dr. T. Boryniecki.

III.

Boryniec, dnia 21. czerwca.

„Przeklęty! czemu ty się tak wspaniale stroisz!“—to były pierwsze słowa twego listu. Nie dodawałeś do nich żadnych objaśnień, ja je jednak zrozumiałem...

Pamiętam, gdym w Zurychu chodził z tobą nad brzegami jeziora w czarnym kapeluszu o szerokich skrzydłach i czarnym, szerokim płaszczu hiszpańskim z czerwoną podszewką, ty, zazdroszcząc mi spojrzeń kobiet, oglądających się za... moim płaszczem, mówiłeś: „Przeklęty! czemu ty się tak stroisz!“

I dziś napisałeś mi znów te słowa, odebrawszy odemnie list, pisany hebrajskimi literami.

O tak! czemu ja się tak stroję?...

Wszakże to nie mój strój.

Płaszcz szerokie z czerwoną podszewką i czarne kapelusze z szerokimi kresami roznieśli z Hiszpanji po świecie ludzie, z którymi ja nic nie mam wspólnego, a literami, któremi ostatni list napisałem, piszecie wy, żydzi.

A ja? wszakże nie jestem ani płytkim demagogiem, co płaszcz swój na okaz czerwono podszywa, ani żydem.

W żyłach moich płynie stara krew; nazywają ją krwią błękitną.

Dlaczego błękitną? — Wiesz, co to znaczy, kiedy się z rany krew błękitna sączy? Mówią, że to już gangrena...

Krew błękitna, krew zepsuta... A więc ja mam taką krew w sobie, co przez wieki się burzyła, aż wkońcu psuć się poczęła. I dziś krew ta uderza mi do głowy jakoś dziwnie, niezdrowo.

I wiesz ty, że ja bluźnię.

Gdyby mój pradziad te słowa czytał i strój mój widział i litery, któremi pisałem do ciebie, skonałby ze wstydu i oburzenia.

Ale on śpi już oddawna na starym cmentarzu pod staremi lipami.

A ja? ja jestem człowiek nowy.

Ja jestem człowiek nowy; ale tam w Szwaj-

carji między wami miewam inną duszę, a tutaj inną. Tu w siedzibie ojców moich wszystko jest pamiątką, wszystko echem dawnych czasów i wszystko—ruiną.

Nie myślałem o tem, gdym tu jechał i nie byłem przygotowany na to, co mnie spotyka. Zapomniałem, że trupy mają także swój język i groby swój głos i wczora swoje echo.

Sądziłem, że można koło nich przejść jak około rzeczy martwej zupełnie; nie wiedziałem, że zawołają i że jest w człowieku zmysł, który to wołanie usłyszy, mimowoli nawet.

Lecz dzisiaj widzę, że dusza ludzka nie jest cała w teraźniejszości.

Część jej należy do minionych czasów i do tych ludzi, co już pomarli i leżą w grobach.

Ale inna jej część żyje w przyszłości! Tak, tak! inna część jej żyje w przyszłości i ta część żyć powinna, ta część się powinna rozwijać! Co mnie obchodzi ta dusza stara, nie moja, tak jak przeszłość moja nie jest?

Śmiejesz się ze mnie? Inaczej pisałem o duszy w owym artykule w Revue... Wczoraj byłem jeszcze przekonany, że prawdę niezbitą napisał, a dzisiaj sam nie wiem.

Jestem okropnie zmęczony tem wszystkiem,

co mnie otacza, choć to przecież wszystko takie milczące, ciche i posępne...

Twój

Dr. Boryniecki.

IV.

Boryniec, dnia 1. lipca.

Skarżysz się, mój drogi, że nie donoszę ci tego, co chciałeś wiedzieć.

A coś ty chciał wiedzieć? Pytałeś, co ze mną słyszać.

Ja ci powiedziałem więcej, powiedziałem, co we mnie słyszać.

Ale nie wszystko. Są we mnie dźwięki dziwne i skomplikowane bardzo. Zanalizować ich nie można a tem mniej mówić o nich, bo przestaną być tem, czem są dla mnie, to jest duszą mej duszy, a staną się tem, czem dla świata być muszą, martwymi dźwiękami.

O nich mówić nie można, można tylko mówić niemi...

Proszę cię, nie szukaj związku w moim liście, gdyż wątpię, czybyś go znalazł.

Tam w Szwajcarii na ławie uniwersyteckiej chwaliliście, ty i inni koledzy, mą bystrość i logiczny umysł. Przyznaję—uznanie słusznie mi się należało. Ale to było tam.

Tutaj jest inaczej.

Tutaj nie myślę; nie myślę, bo czuję i — cierpię.

Czy ty wiesz, co jest we mnie!

Powiedziałem ci już, że część duszy ludzkiej jest w przeszłości. Ta część rośnie we mnie, olbrzymieje, potwornie wielką się staje! Straszno mi!

Słuchaj! w naszym starym nawpół rozwalonym dworze są wielkie kamienne korytarze, które głucho powtarzają krok idącego.

Mury te odbijały kroki moich ojców, dziadów i pradziadów.

Kiedy idę tamtędy i patrzę na portrety po ścianach rozwieszzone, zdaje mi się, że duchy tych postaci żyją we mnie.

Wszystkie! I tego duch, co z Jagiełłą walczył pod Grunwaldem i tego, co ze Zborowskim przeciw Batoremu się buntował... i tego, co zginął z dwoma synami na Woli w trzydziestym i pierwszym...

Oni wszyscy we mnie żyją, rozmawiają z sobą

w mej duszy, kłóćą się, przeklinają i płaczą sobie wzajemnie.

Gdy jest bardzo cicho, słyszę ich głosy wyraźnie.

Mówią tak, jak lipy na cmentarzu szumiące, jak ogień, który pryska na kominku w długie zimowe wieczory.

Czasami zdaje mi się, że dusza moja rozdzieli się i pocznie wyrzucać ze siebie te postacie jedną po drugiej, surowe, smętne, pełne cnót wielkich i zbrodni ogromnych, drapieżne a wielkoduszne.

Czuję ból ogromny i wiem, że te duchy żyją tam we mnie prawdziwie i że to one ból ten sprawiają.

Ale czy ty to rozumiesz, ty człowieku bez ojców.

Rzeczysz: mistyka!

Tak... zapewne... Takby rzekł mój profesor filozofji, takbym rzekł ja sam, tam—w Zurychu. Tutaj jednak jestem człowiek inny...

Ale prawda! ty chciałeś wiedzieć, co ze mną słychać?

A! ta proza życia!

Jutro nie będę miał domu.

Tutaj moi ojcowie rodzili się i marli, a ju-

tro będzie tutaj panował obcy człowiek i nawet te mury nie zawalą się nad jego głową!

Obcy człowiek w siedzibie przodków moich!

Żydzie, ty bezdomny ptaku, czy ty wiesz, co to dla mnie znaczy?

Nie, nie! ty tego wiedzieć nie możesz; ja sam tego nie wiedziałem, tak niedawno jeszcze!

Zresztą... przecież — ja jestem człowiek nowy. Muszę to sobie teraz często powtarzać, gdyż mógłbym łatwo zapomnieć.

A ci ojcowie w mej duszy—niech płaczą.

Tadeusz Boryniecki.

V.

Boryniec, dnia 16. lipca.

Piszesz o Machabeuszach i zburzonej świątyni Jerozolimskiej. Aleś ty ani ziemi nie widział, w którą krew Machabeuszów wsiąkła, ani też byłeś kiedy na syońskim wzgórzu...

Wiesz, że stary dwór ten i cała przeszłość mojej rodziny były dla mnie jakby snem.

Dzieckiem poszedłem między obcych ludzi, a potem w obce kraje, między ludy, które nie

wywołują z grobu cieniów swych przodków ani im każą iść przed sobą i patrzeć na cierń i kwiaty, wyrosłe na ich kurhanach.

I dobrze robią: ojcowie ich nie płaczą ani im grożą.

I ja nauczyłem się od tych ludów żyć duszą, która jest w teraźniejszości, a jeszcze więcej tą, która jest w przyszłości...

Ale miewałem sny. I w tych snach przeszłość dopominała się swych praw; stawała nademną z twarzą niemal groźną.

Wstając z łóżka, śmiałem się ze snów, a przecież trucizna ich pozostawała w mej krwi. Duma...

Ta duma nierozumna, która patrzy z góry na ludzi, a nie umie nawet powiedzieć, dlaczego to czyni.

Wyście ją czasem widzieli; a spoglądaliście wtedy na mnie zdziwionem okiem, gdyż rzadko byłem dumny, ale bardzo i nierozumnie dumny.

A wiesz ty, co to jest duma? Człowiek o wielkiej duszy nigdy nie jest dumny. Dumnym staje się ten, w czyją duszę wchodzi potężne rzeczy, których ona objąć nie zdoła.

Powiedziałem: potężne—lecz nie mówię koniecznie: wzniosłe.

Wszak mój profesor filozofji uczył mnie ścisłości w wyrażeniach!

O! on mnie wielu rzeczy uczył! Zaszczepił w duszy mojej raka, który mi spokoju nie daje i czuć mi nie dozwala.

Nauczył mnie refleksji i krytyki...

Przeklęty! W Zurychu byłbym powiedział: błogosławiony...

Przyjechałem do domu mego i wchodząc w kamienne korytarze, które krok przodków moich odbijały, powtarzałem w duchu: ten dom stary jest i zwali się.

I dodawałem zaraz: ale ja jestem człowiek nowy...

W wielkiej sali zastałem ojca.

Uniósł się nieco, witając się ze mną, a ja dostrzegłem, że pochylony był i siwe miał włosy. Nie widziałem go od ośmiu lat.

Wskazał mi ręką miejsce obok siebie przy stole i spytał, z czym przyjeżdżam?

Odpowiedziałem, że jestem doktorem filozofji.

Pokiwał głową i po chwili rzekł głucho:

„Żaden z twych przodków nie był doktorem filozofji... Ale oni mieli majątek, ty go zaś mieć nie będziesz“...

Powiedziałem, że majątku nie pragnę. Ojciec spojrział na mnie zdziwiony, a potem odezwał się z uśmiechem:

„Aha! rozumiem... Pieniędzy nie pragniesz. To dobrze. Żaden z Borynieckich pieniędzy nie pragnął. Ale majątek to co innego... Ziemia, święta ziemia... Na ziemi człowiek jest panem“.

Pochylił się i począł szeptać, jakby do siebie:

„Boryniec, Zakleszczyki, Kamienica leśna, Pańska Wola, Gozdów, Zajazdowice“...

Wymieniał nazwy dóbr, które moi przodkowie posiadali i potracili.

Było coś dziwnie nieestetycznego w tym starcu, dziedzicu ostatniej piędzi olbrzymiego niegdyś klucza, wyliczającym majątki swoich przodków... Gdyby bodaj hetmanów był wyliczał lub senatorów!

Duszno mi było.

Mury w naszym starym dworze są wilgotne. Patrzyłem na wilgoć tu i ówdzie plamami na spłowiałym obiciu występującą i dreszcz mię przechodził, bo te mury wydały mi się ogromnie zimne i stare i obce.

Poglądałem przez okno na zieleń drzew w ogrodzie i na promienie słońca, złotem na

liściach ich drżące i zachciało mi się uciec od ojca, którego ośm lat nie widziałem.

Ojciec tymczasem mówił dalej:

„Boryniec jeszcze został, ale dziś-jutro go zabiorą.“

„Ty mnie pochowaj w grób tu, w grobie moich ojców.“

„Ja wkrótce umrę.“

„Całe życie spędziłem tutaj, na tym kawałku ziemi, obok tego cmentarza. Kalendarz dla mnie kłamał, bo ja żyłem o całe sto lat wcześniej, niżli on mi pokazywał. Ty zato żyjesz dzisiaj... Tak chciałem.“

„Własność przepisałem na twoje imię, gdyż Boryniec musi być sprzedany, a ja nie chcę ostatniego zagonu ojcowizny sprzedawać.“

„Ty sprzedasz. Gdybyś nie sprzedał, wystawionoby na licytację.“

„Sprzedasz i pójdziesz w świat. Ja tu zostanę, na borynieckim cmentarzu“.

Potem mówił coś o pradziadu, którego Batory ściąć kazał, wołał ekonoma, by przyniósł papiery i pozwy sądowe i znów wspominał swych braci w powstaniu zabitych,

Duszno mi było.

Odetchnąłem dopiero, gdym się wydostał na słońce, na powietrze.

Jak szalony przebiegłem przez ogród i wpadłem na cmentarz między zielone lipy. Chciałem zaczerpnąć świeżego powietrza.

Ludziom się zdaje i—mnie się zdawało, że na cmentarzu jest takie samo powietrze jak gdzieindziej—świeże...

A to nieprawda. Na niektórych jest bardzo stare. Dziwne i odurzające.

Ale wtenczas szedłem przez cmentarz jak obcy jeszcze i nie patrzyłem na groby.

Słońce świeciło nademną i lipy pachniały, a ja nie umiałem wtedy jeszcze odróżnić blasku słońca na cmentarzu od blasku jego nad różami, co po ogrodach kwitną, ani zapachu starych lip od zapachu wzrastających dopiero. Dobrze mi było, żem się wyrwał z pomiędzy murów spleśniałych i rozpadających się. Całą pierśią wdychałem powietrze. Mimo upalnego poranku, rosa lśniła się jeszcze w cieniu lip, słońcem nie dojrzana, błyskotliwa, do łez podobna—na puszystej trawie... Bluszcze i powoje wili się około krzyży, a pąsowe goździki o błękitnawo-zielonych listkach odbijały od białego tła grobowców.

Szedłem między mogiłami, a idąc, myślałem o wielu rzeczach, ale były to wszystko rzeczy, które dopiero w przyszłości stać się miały.

Zatrzymałem się wreszcie na skraju cmentarza, nieopodal kościoła, przed zpiżową tarczą na grobie.

Był to grób tego przodka mojego, co z Jagiełłą pod Grunwaldem walczył...

Patrzyłem na niezgrabny, głęboko w spiż wryty napis łaciński, patrzyłem na herb i bawił mnie ten wąż, podkowę w pysku trzymający...

Uderzyłem w ową tarczę herbową palcami, a ona jękała głucho.

Czyżby tarcza mogła przeczuć, że ten, który ją bije, jest prawnukiem tego, co w grobie spoczywa?

Wtedy na myśl mi to nie przyszło...

Uderzyłem raz jeszcze i myślałem: oto rzecz martwa się skarży—a ja jestem człowiek nowy...

Wtem usłyszałem głos poza sobą: Czemu bijesz?

Odwróciłem się. Przede mną stał teraz ksiądz siwy i zwiędły i patrzył na mnie surowo.

„Czemu bijesz?” — powtórzył raz jeszcze, a potem rzekł:

„Chdź do kościoła. Jesteś dzisiaj dziedzicem... Wszyscy Borynieccy w dniu, w którym po raz pierwszy jako dziedzice na Boryńcu do dom zajeżdżali, wchodzili do kościoła”...

„Wszyscy Borynieccy!” — mówiąc to, wskazywał ręką na kamienie grobowe.

A mnie naprzód lęk zebrał, gdym spojrzał na groby, do których towarzystwa ten starzec mnie zaliczył.

Pojrzałem na groby—i wydały mi się inne, niż przed chwilą, poważne, smętne i groźne.

Zdało mi się, że tworzą one państwo dla siebie, świat jakiś oddzielny, że mogą mówić i rozkazywać, przeklinać albo błogosławić...

Wiatr poruszył szczytami lip — i wszystkie one stare lipy, jakby głos umarłym dając, zaszumiały w jeden płaczliwy chór nad moją głową: tak... tak...

Stałem tak chwilę zdumiały, patrząc na wyciągniętą rękę księdza i nie wiedziałem, co się ze mną dzieje.

Wkrótce jednak opamiętałem się i — oburzyłem.

Wszyscy Borynieccy!—czyż ja nie mogę być sobą?—I czyż koniecznie mam ten ciężar wieków dźwigać?

A nie rozumiałem wtedy, że ja tego ciężaru na sobie nie dźwigam,—bo on jest we mnie...

I nie mogę przed nim uciec, — bo on jest we mnie.

Nie poszedłem do kościoła.

Wieczorem idąc spać, powtarzałem: Wszyscy Borynieccy — a ja człowiek nowy, nie mam z nimi nic wspólnego... I nazajutrz i potem, gdym pisał do ciebie pierwszy list, byłem jeszcze inny, niż dzisiaj.

A jednak od tego to czasu poczęło się dźwigać we mnie coś dziwnego, od czasu odwiedzin na cmentarzu...

Plotyn powiada, że Bóg, jak rzeka wezbrana, spłynął falami stworzenia i zatonął pod rozlewem.

Ja nie wiem, jak Bóg świat stwarzał, — ale zdaje mi się, że ja tonę pod wylewem swej duszy...

Tadeusz
na Boryńcu Boryniecki.

VI.

Boryniec, dnia 1. sierpnia.

Powiadam ci, że wszystko jest głupstwo, a największym głupstwem jest człowiek, który to głupstwo zewnątrz i wewnątrz siebie spostrzega i czuje, oh! czuje...

Czy przypominasz sobie „Nie-boską“?

Pytam, gdyż wiem, że chętniej czytujesz Koheleth niż Anhellego, chętniej treny Jeremjasza, niż Księgi Pielgrzymstwa...

Ale to musisz pamiętać:

Kiedy hrabia Henryk z bólu się wije, kiedy piekło i niebo oskarża i pierś własną targa — słyszy głos poza sobą, czy w sobie: Dramat układasz? Wielu nie pojmuje, że w tem jest właśnie cały dramat i tragedia cała.

I dlaczego człowiek musi być jednocześnie aktorem i widzem, równocześnie natchnionym poetą i zimnym krytykiem?

Dlaczego! Jest to jedno z tych „dlaczego“, które się dzieckiem jeszcze po raz pierwszy wymawia, a powtarza raz ostatni na łożu śmierci.

Niektórzy filozofowie mówią, by nie stawiać

pytań, na które odpowiedzi być nie może... Ale na które odpowiedzi niema? i których tedy zadawać nie trzeba?

Zresztą ci filozofowie mają słuszość... dobrze radzą...

Gdy dusza pytań nie stawia, staje się ogromnie martwa, ale spokojna i choćby cierpiała — szczęśliwa.

Spytasz, czy to możliwe? Tak. Żyłem tak przez parę tygodni, od czasu, gdy wysłałem do ciebie ostatni list. Co się ze mną stało, nie wiem, ale działo się ze mną coś dziwnego.

Byłem pijany, odmieniony, senny...

Zgubiłem w sobie gdzieś zwykłego, dobrze mi znanego człowieka, który pytał, myślał, na zimno rzeczy roztrząsał. Cofnąłem się był duszą o sto, o dwieście, o trzysta lat wstecz, w czasy, o których mi z pyłu odgrzebane rodzinne kroniki tak wiele i tak barwnie mówiły...

Zapomniałem, gdzie jestem, nie wiedziałem, co robię...

Aż naraz drobny, marny, nic nie znaczący wypadek zbudził we mnie tego uśpionego człowieka, a on, zbudzony, mści się, że go tak dawno do głosu nie dopuszczałem.

Miałbym ochotę szydzić z samego siebie i ze słów, które napisałem i z serca, które boli jeszcze—bo nie wiem, gdzie się prawda kończy a zaczyna komedja—ba! nie wiem nawet, kiedy aktor jest człowiekiem, a widzom zdaje się tylko, że on gra jeszcze, a kiedy bierze na siebie tylko szychowy płaszcz królewski i łyzy pożyczane i wyuczone gromy w usta...

Chcę szydzić, a boję się, bym nie grał komedji, szydząc.

Jeżeli już ta dwoistość w człowieku jest konieczna, czemuż nie jest zupełna?... Jeżeli już dwie dusze w piersi nosić musimy, czemuż nie wiemy, która jest prawdziwie nasza?

Oto znowu jedno z tych pytań, których lepiej nie stawiać...

Bądź zdrów.

Twój

Tadeusz.

VII.

Boryniec, dnia 6. sierpnia.

Zdziwił cię ostatni mój list i pytasz, co go spowodowało, co mnie z równowagi wytrąciło,

czy też do równowagi zwróciło, — gdyż sam nie wiem, jak mam nazwać swój stan obecny...

Głupstwo, drobnostka, rzecz nie warta wspomnienia, — chcesz jednak wiedzieć, to ci opowiem. Pamiętam wszystko, jak gdyby dziś to było.

Była to niedziela.

Noc całą spędziłem na czytaniu starych kronik rodzinnych. W nocy tej przeżyłem kilkaset lat, czułem za kilkudziesięciu ludzi.

Słońce stało już wysoko, gdy rzuciwszy wreszcie zapylone papiery, wyszedłem na świat. Głowa mi jeszcze ciążyła, myśl dziwne napełniały obrazy. Idąc przez korytarz, patrzyłem na przodków moich, jak na dobrych znajomych, — zdawało mi się, żebym się był wcale nie zdziwił, gdyby który z nich z ram wystąpił i przemówił do mnie...

Wyszedłem do parku.

Świat był spokojniejszy jeszcze niż zazwyczaj; zdawało się, że cmentarz poza moim dworem wyszedł z ogrodzenia i rozsiadł się po całej okolicy.

Z kościoła rozlegał się głos dzwonów — zupełnie jak na cmentarzu, gdy umarłego chowają...

Siedząc w bibliotece, straciłem rachubę czasu. Było już blisko południa: — dzwoniono na sumę.

Gorąco było ogromne; błdziłem po parku bez myśli, bez czucia...

Dochodził mnie dźwięk organów, przytłumiony, poważny, mieszający się czasem ze śpiewem wiernych, tam — w kościele.

Nagle organy urwały i ozwał się głos sygnaturki: było podniesienie. Nie wiem dlaczego, miałem ochotę uklęknąć.

Jakaś wizja stanęła przed memi oczyma. Zdawało mi się, że jestem rycerzem i mam wyjeżdżać na wojnę — a teraz w zbroi od stóp do głów zakuty klęczę przed kościołem, trzymając konia za cugle...

Gorąco jest ogromne, a czasem tylko wiatr powieje i wzrusza kité mego hełmu, stojącego przede mną na ziemi, wzrusza pióra orle, tkwiące w żelaznej sztabie ponad memi barkami...

A tam w kościele modlą się: O, Panie!...

Organy tymczasem poczęły huczeć nisko, strasznie...

I znów mi się zdało, że siedzę na koniu, a koń w biegu szalonym kołysze mną; a tam — w dali, przede mną — odgłos walki.

Pędzę przez łany zbóż, kłosy falują przed koniem, dźwięczą cicho, rzewnie, uderzając o blachę na piersiach końskich, a za mną las kopji, szum skrzydeł, tentent rumaków...

Śniąc tak na jawie, począłem biec. Wybiegłem z parku i szedłem ścieżkami polnemi, wprost przed siebie.

Gorąco było ogromne... Przystawałem chwilkami i brałem bezwiednie w rękę dojrzałe kłosy na ścieżkę się chylące, szepcząc bez myśli: aha, owies... lub: patrzcie, pszenica...

I znów mi się zdało, że jestem rycerzem. Konia ubito, a ja idę przygnieciony ciężarem własnej zbroi, palony promieniami słońca.

Idę — i nie wiem dokąd, nie wiem po co... Znużenie tylko czuję ogromne i ogień jakiś pod powiekami, ogień na skroniach i żar w spiekłem gardle.

Łany zbóż skończyły się; wyszedłem na szerszą wiejską drogę.

Przystanąłem, oparłszy się plecami o płot i jałem patrzeć przed siebie.

Suma się już widocznie skończyła, ludzie wracali tłumnie z kościoła. A ja patrzyłem przed siebie i widziałem ich, ale za żadnym człowiekiem nie odwracałem głowy. Zjawiali

się przed memi oczyma i nikli, a ja nie pytałem skąd idą, ani dokąd.

Starcy odkrywali przede mną siwe głowy, ojcowie rodzin chylili się do moich kolan, hoże dziewczęta całowały mą rękę, niedbale na płocie wspartą.

Ja nie odpowiadałem na ukłon, ani pozdrowienie, ręka moja nie drgnęła ani razu pod dotknięciem młodych wiśniowych ust.

Stałem tak i zdawało mi się, że stoję w kościele przy wielkim filarze, wykuty z marmuru, a podemną gniją jakieś prochy, co w żelazo zakute chodziły po świecie.

Tak... stoję przy filarze, sam kamienny, ręce mam skrzyżowane na piersiach, złotą obrączkę nad czołem...

Poczęło mi się mieszać w głowie; nie wiedziałem już, czy ja rycerz, czy może jakiś święty... Ludzie przychodzą i schylają się kornie do moich nóg, ale ja kamiennych rąk nie ruszam ani im błogosławię.

Słyszę jakiś szept — pewnie się modlą.

Wtem... wtem... śmieję się razem ze mną, śmieję się, bo to bardzo zabawne!

Wtem—usłyszałem głos całkiem wyraźnie—

głos wieśniaka, który mówił: „Patrzcie, to młody dziedzic, ten, co go ze dworu wyrzucają“...

Zaśmiano się i ktoś rzekł znowu: „Żyd kupi, albo co?...”

Zwyczajne słowa, nic nie znaczące — nieprawdaż? a jednak jakby piorun uderzył we mnie! Wstrząsłem się na całym ciele: gdzie ja jestem? co ja robię? Ostatnie dni błyskawicą mi przeleciały przez myśl i zdało mi się, że coś woła za mną czy we mnie: Tragikomedję odgrywasz?

Zapomniany człowiek nowy zbudził się we mnie i począł śmiać się szyderczo a dziko, okropnie, szalenie.

Co ci powiem więcej? jeżeli mnie rozumiesz, to ci wystarczy, jeżeli zaś nie, darmobym więcej mówił.

Twój
T. B.

VIII.

Boryniec, dnia 11. sierpnia.

Starasz się psychologicznie wytłumaczyć mi rewolucję, czyli ewolucję, która się we mnie od-

bywa, a ja ci powiadam, że to wszystko jest głupstwo.

Jestem człowiek słaby—oto cała rzecz.

Widzę to jaśniej, niż kiedykolwiek, teraz, gdy siedzę z rękami założonemi na głowie i wodzę bezmyślnem okiem po suficie.

Ot co... ot co...

Mam wrażenie pijaka, który się budzi jeszcze nietrzeźwy i z bólem głowy. Niesmak mam w ustach — prawie fizyczny.

Boję się marzeń i otrząsam ze wstrętem, gdy się które do mnie zbliża. A jednak...

Wiesz, powiem ci coś; nie wiem, czy to będzie rozumne, ale prawdziwe jest w każdym razie.

My wszyscy, my myślący, mędrkujący, refleksujący, jesteśmy kiepskimi majstrami.

Pan Bóg świat stworzył, — ty możesz sobie zamiast „Pan Bóg“ powiedzieć: substancja, absolut zasada syntetyczna, rozum, materja i t. d., faktem jednak pozostaje, że świat jest.

Maszyna wcale niezła, mimo, że temu lub owemu kółku, tej lub owej śrubie zdaje się, żeby się może nie powinna tak prędko obracać, lub nie tak silnie przez inne być potrącaną, ale cóż to znaczy?

Otóż my, ludzie, stajemy przed tą maszyną, stoimy przed nią długo i początkowo właściwie nic nie wiemy.

Następnie zaczynamy się dziwić, że ta maszyna się porusza i uważamy to za swe wielkie odkrycie, że ona się porusza.

Otwieranie ust i kaleczenie sobie palców, to pierwsze następstwo tego zdziwienia i tego odkrycia.

Nareszcie zabieramy się do dzieła... Po długim czasie, po licznych a nieudanych próbach, udaje nam się nareszcie rozłożyć tę maszynę na poszczególne części; oglądamy po jednemu kółka, śrubki, czopki — i...

I nic.

Całkiem nic. Chwalimy, co prawda, ogromnie własną bystrość, własną zręczność, ale gdy przyjdzie napowrót złożyć porozkręcane śrubki, jakoś nie idzie... Mamy przed sobą kupę żelazta, z którym nie wiadomo, co robić.

Dostrzegamy wtedy po wielu trudach przez mgłę miłości własnej własną nieudolność, postanawiamy się zatem zbadać, no i naturalna rzecz — poprawić.

Tu powtarza się ta sama komedia.

Analizujemy, refleksujemy, badamy i kryty-

kujemy swe „ja“ nieszczęsne: z żywego człowieka otrzymujemy setki i tysiące aktów psychicznych, „komórek“ i lichu tam wie, czego jeszcze, a z tego wszystkiego — znowu nic.

Wiemy tyle, co i przedtem, to znaczy nic, a straciliśmy siłę żywą i bezpośrednią, jednolitość swej jaźni. Z maszyny, która mogła coś zdziałać, zrobiła się znowu kupa rupieci.

Ale kupa rupieci bardzo rozumnych, bośmy przecież rozumnie i z pewnym systemem a metodą tę maszynę popsuli!

Niektórzy mówią, że się ta maszyna z czasem złoży napowót, a wtedy będzie strasznie dobra, lepsza nawet, niż była poprzednio. Jak skrzypce rozbite i sklezione.

W tem sęk, żeby je skleić.

Może ktoś, kiedyś—za marny tysiąc, za marne dwa tysiące lat...

Dwa tysiące lat—głupstwo! Wszakże plazma potrzebowała prawdopodobnie dziesięćkroć dłuższego czasu co najmniej, aby jakiego lichego wymocznika utworzyć.

Tak, głupstwo, ale tymczasem ja i ty i my wszyscy dzisiaj nic nie jesteśmy warci.

Powiedziałem to sobie kiedyś—i staram się już o tem nie myśleć.

Wiem, że to źle tak beczynnienie ręce ducha zakładać — ale staram się o tem nie myśleć.

Natomiast studjuję z ekonomem rachunki i umawiam się z żydami o zapłatę mojej ojcowizny.

O zapłatę mojej ojcowizny... Prawda, że to brzmi bardzo poetycznie? Gdzieś czytałem podobny zwrot i spodobał mi się.

Bądź zdrów...

Dr. Boryniecki.

IX.

Boryniec, dnia 18. sierpnia.

Powinieneś był zostać rabinem. Masz zdolności i marnujesz się. Twój list ostatni przekonał mnie o tem ostatecznie: przysłałeś mi coś na kształt rozprawy filozoficznej w duchu scholastyka lub talmudysty.

Daj mi z tem pokój — to mnie nuży.

Czy ty myślisz, że ja jestem ten sam, który rozprawiałem z wami o możliwości syntetycznych pojęć *à priori* i cytowałem z pamięci Kanta, Platona i Spinozę? Ja jestem

człowiek, który rozmawia z ekonomem cały dzień, a w wolnych chwilach namyśla się, czyby nie warto było zacząć uczyć się grzeczności względem kupców, którzy po jego ziemię przyjeżdżają?

Namyślałam się nad tem głęboko; jeśli dojdę do jakiegoś wyniku, napiszę ci. Powiesz to znowu dzieciom, gdy im będziesz przekazywał majątek...

Ale prawda! ty majątku nie masz i nie zrobisz go.

Jesteś niedołęga, żydzie, jak ja, jak wielu innych, tak zwanych ludzi teorji.

Talmud powiada w jednym miejscu, że pewien rabin z Babilonu pościł dni czterdzieści, prosząc Boga o łaskę, aby Talmudu, nad którym życie spędził, mógł raz na zawsze zapomnieć.

Jabym może był gotów pościć całe życie, aby tylko...

Mniejsza o to.

Boryniecki.

X.

Boryniec, dnia 7. września.

A zatem wszystko już skończone...

Jestem dziś ptak bezdomny, jak ty, jak tyśiące innych.

Śmiej się ze mnie! dławi mnie coś w gardle i łyzy do ócz mi się cisną.

Biedny mój ojciec! Od kilku tygodni nie opuszcza pokoju i dziś nie wie nawet, że dach, który ma nad głową, już nie do mnie, nie do niego należy.

Zamknął się od czasu, gdy się kupcy zjeżdżać poczęli. Nie dopytuje o nic, nie chce wiedzieć o niczem.

Wieczorami czytuje biblję albo herbarz. Dawniej, dzieckiem, nigdy tych ksiąg w jego ręku nie widywałem.

Dziś je widuję codziennie, przy świetle późno w noc palącej się lampy, a nad niemi twarz suchą, pomarszczoną i coraz bledszą.

Czasami podnosi oczy od kart pożółkłych, patrzy na mnie długo, a potem mówi: wkrótce umrę.

I ja to widzę, że umrze.

Dzisiaj był bledszy i niespokojniejszy niż zwykle. Przerywał czytanie co chwila i zdawał się nadśłuchiwać; wreszcie rzekł: „Wołają mnie“.

„Kto?“ — zapytałem roztargniony.

Ojciec patrzył na mnie długo i smutno — a po chwili odpowiedział jednym słowem: „Ojcowie“...

Wyszedłem z sali. Gdym szedł przez korytarz, lęk mnie zbierał przed „ojcami“, z płócien na mnie poglądającymi.

Wszak i oni już w cudzym domu...

Dzisiaj rano dobiłem targu.

Przyjechał kupiec opasły, gruby, z pocziwą i dosyć bezmyślną twarzą. Oglądał on już Boryniec oddawna i dzisiaj nie targował się wiele.

Na cenę przeze mnie naznaczoną zgodził się po chwili wahania; cenę dosyć wysoką ze względu na zaniedbane grunta i wyrąbane lasy, — niską jednak, bardzo niską ze względu na wiekowe szczyrby w murach dworu i stare lipy i cmentarz pod lipami i portrety dziadów moich...

Sprzedalem wszystko — grunta i dwór, kreścencję, inwentarz — wszystko, nawet owe ciemne portrety w korytarzu...

Inwentarz—i portrety dziadów!...

Bo i po co miałem sobie zostawiać cośkolwiek?

Ojciec mój wkrótce nie będzie już niczego potrzebował... Za sześć tygodni mam się stąd wyprowadzić,—mam jakąś bolesną pewność, że się wyprowadzę sam... Ojciec mój zostanie tu, jak sam rzekł, jak codzień mówi — pod staremi lipami.

Wiem o tem, widzę to oddawna — a jednak ból czuję ogromny, gryzący, gdy myślę, że tak być musi.

A ja?—Ja pójdę w świat, tak, jak przyszedłem tutaj, jeno z pustką w sercu, które nauczyło się tutaj boleć i poza siebie się oglądać, mówić z tymi, co w grobach już leżą i kochać drzewa stare i krzyże pochylone.

Więcej się tu nauczyłem, niż tam między wami—na zurychskiej wszechnicy.

I pójdę teraz w świat... Portretów dziadów moich nie wezmę ze sobą. Gdzieżbym ja je umieścił, gdziebym znalazł dla nich taką muzykę lip, jak ta, do której tutaj przywykły? Lepiej im tu w ciemnym korytarzu na obcych ludzi patrzeć, niż ze mną tułać się po świecie.

A zresztą mam ich w sobie. Mam ich w sobie—żywych—i nic już na to nie poradzę...

Gwiazdy iskrzą się na niebie, przez otwarte okno zalatuje świeży, chłodny powiew wiatru, niesie mi płacz lip z nad cmentarza i wonie kwiatów po grobach kwitnących, kołysze płomieniem lampy i muska mi skroń, — a mnie chwilami się zdaje, że to dłoń matczyzna z mogiły przyszła do mnie i po włosach mnie gładzi, — zdaje mi się, że słyszę szept cichy, słodki: Cemu płaczesz, synku?..

Odwieczne, zawsze jednakie, matczyne: Ti klatejs, pajdi?

Skronie mi płoną, jak płonęły wówczas, gdy z ręki kupca brał zadatek za ziemię krwią i potem ojców moich przesiąkłą...

Nie myślałem nigdy, żeby ta chwila tak straszna mogła być dla mnie...

Mówcie co chcecie, stawiajcie, jakie się wam podoba teorie w zakres socjologii i ekonomji politycznej wchodzące, — ja czuję mimo wszystko w tej chwili, że ta ziemia moja była, bo tu każdy zagon, każdy kamień, drzewo każde zrosło się z przeszłością tych, co mi krew i życie dali, tych, których ducha w sobie noszę...

Była moja, a teraz moja już nie jest.

Wyteżam źrenice w noc, w ciemność, między te gwiazdy, co tak spokojnie lśnią w gó-

rze—i rzewno mi, rzewno, jak nigdy jeszcze dotąd nie było.

Nie jestem teraz pijany, jak wówczas, gdy mnie głos wieśniaka z marzeń niezdrowych obudził, owszem, jasno w mojej głowie i sercu mojem, ale to serce boli.

I dlaczego boli?...

Wszakże ta ziemia, za którą dzisiaj płacę, tak niedawno obca jeszcze dla mnie była, anim pracował na jej zagonach, ani nadzieje jakie na niej opierał — dlaczego więc?

Dlaczego? — ach, ona przemówiła do mnie grobami, wstrzymała mnie na chwilę potężną ręką na drodze życia i twarzą wstecz zwróciła, abym spojrzał, nim dalej pójdę, na dawno pomarłe pokolenia, do których i ja należę, do których z czasem i ja należeć będę.

Darmo szydziłem, darmo śmiałem się z własnych uczuć: — dziś czuję, że ja kocham tę ziemię...

Kocham ją za tę przeszłość, którą mi przed oczyma stawiała, kocham ją za to, że mnie nauczyła czuć swą łączność z przebrzmiałymi już wiekami, że zrozumiałem przez nią, iż w duszy i w czynach moich żyją dusze i czyny tych ludzi, co dawno przede mną po świecie chodzili, a po-

marli już, kromia tego, co z nich we mnie jest i przeze mnie w świat między nowych ludzi pójdzie.

Gdyby mnie inaczej chowano, możebym dziś pług w rękę wziął i rękoma chleb czarny z zagonów wygarniał; dzisiaj jednak nie potrafię tego, nie umiem, nie powinienem, nie wolno mi.

Inne zadania, inny cel być musi.

Jestem człowiek nowy. Powtarzam to teraz spokojnie, z całą trzeźwością umysłu, a nie wstydzę się tego ani się tem chełpię!

Tak być musi i tak dobrze jest.

Słyszałem, co groby mówią, teraz pójdę między ludzi żywych. Boli mnie serce, jakbym z nad trumny wstawał, ale jestem spokojny.

Ukaja mnie ta cisza bezbrzeżna, nad całym światem swe skrzydła rozpościerająca, ta woń, co gdzieś od sianozęci mnie zalata...

Lipy tylko szumią cicho na cmentarzu, a z przyległego pokoju dochodzi mnie ciężki i przerywany oddech ojca.

On tam siedzi jeszcze pewno, nad biblją o pożółkłych kartach schylony, a ja — patrzę w tej chwili przez okno na księżyc wschodzący właśnie poza cmentarzem. Wychodzi z za grobów, błyszczący, jasny, młody — sunie między

gałęziami starych lip i dąży w górę, coraz wyżej, coraz jaśniejszy i czystszy.

Zdaje mi się, że zrozumiałem dzisiaj rzecz, którą zrozumieć powinienem był już dawno.

Błogosławię przypadkowi, który mnie na ziemię ojców moich w ciężkiej chwili sprowadził, — i ojcom tym, którym w twarz spojrzałem, i losowi, który przez ból i przez groby przejść mi kazawszy, pędzi mię teraz w świat, na nowe życie...

Dr. Tadeusz Boryniecki.

MATKA

1898.

Wszyscy jej składali życzenia, ale ona nie była zadowolona... Wprawdzie Karol był młody i przystojny, majątny i zakochany, a nawet podobno sławny już tam gdzieś na tym świecie, co wiersze czytuje i zachwyca się niemi — ale mimo to wszystko ona nie była zadowolona. Przedewszystkiem tak ją to niespodziewanie zaszło... Chociaż właściwie powinna była od dawna spostrzec, na co się zanosi. Karol już od kilku miesięcy bywał w jej domu, ale ona nie myślała o tem. Dla niej, dla matki, była Stefa zawsze jeszcze dzieckiem, małą dziewczynką, jak wtedy, gdy czepiając się jej sukni, biegała za nią po domu, a oddawszy jaką drobną, dziecinną posługę, pytała: „Mamo, grzeczna ja?” — Takie to dobre było dziecko...

I pomyśleć, że dzisiaj należy już prawie do obcego człowieka, a człowiek ten za parę miesięcy nazwie ją swoją żoną! Stefę, jej małą

Stefę! — Tak jej się to nieprawdopodobnem wydawało... Dwa miesiące upłynęło już od dnia zaręczyn, a jeszcze nie mogła się z tą myślą oswoić. I siedziała teraz w smutnym mroku zimowego popołudnia, dumając z ogromnem zdziwieniem w prostej matczynej duszy nad tą rzeczą tak jasną i naturalną, a przecież tak nadzwyczajną dla niej.

Od śmierci nieboszczyka męża nie rozłączała się z córką ani na chwilę. Nawet do szkoły jej nie posyłała, aby tylko jak najwięcej mieć ją przy sobie. I spędzały tak całe lata razem w tym cichym, drewnianym dworku na przedmieściu, który obok skromnej pensyjki wdowiej cały jej majątek stanowił. Stefa rosła i rozkwitała — a ona chyliła się zwolna ku ziemi pod nawałem trosk codziennych tego szarego życia. Twarz jej stawała się coraz więcej żółtą i pomarszczoną, palce były coraz cieńsze i sztywniejsze, a serce, co od śmierci męża nieregularnie i boleśnie w piersi się tłukło, coraz częściej zatrzymywało się — na chwilę, jak wieczność długą, podczas której brakowało oddechu i ból ostry w łonie gdzieś wiercił. Lekarze zalecali spokój i ruszali ramionami, a jeden, dawny znajomy z lepszych czasów, napomknął, że trzebaby cór-

kę wydać za męża. Ona zrozumiała i drżała na myśl, że serce może tak kiedy stanąć, jak zepsuty zegarek i nie poruszyć się więcej... Cóżby się wtedy ze Stefą stało?!

Jakoś na wiosnę spotkały raz na spacerze Karola ze znajomymi. Karol przedstawił się im i wiele ze Stefą rozmawiał.—Patrzył na nią tak dziwnie, z wyrazem zachwytu w oczach, który jednak ją, matkę, aż bolał. Wiedziała dobrze, że tak się patrzeć nie powinno... Potem zaczął bywać w ich domu, zrazu rzadko, potem coraz częściej. Zwykła historia. Coraz dłużej prześiadywał w drewnianym dworku i coraz natarczywiej płomiennymi oczami w Stefę się wpatrywał. A Stefa? Stefa zawsze cicha i spokojna, teraz jeszcze cichszą się stała; jej duże błękitne oczy nabierały zamyślenia i smutku, a ożywiały się tylko niezwykle, gdy on przychodził...

Westchnęła: Bieda z temi dziewczętami.

I nareszcie oświadczył się. Naprzód córce, potem jej. Przyjął go, bo Stefa była zakonchana, a zresztą — cóż mu mogła zarzucić? Kochał Stefę, był młody i majątny. Powinna się była właściwie cieszyć, że córka jej w chwili, gdy jej coraz więcej zdrowia brakuje, znajduje

człowieka, który ją kocha i będzie dla niej opiekunem.—A jednak nie była zadowolona.

Karolowi nie można było nic zarzucić, ale jej się nie podobał. Był tak odmienny od ludzi, wśród których ona życie spędziła, do których się przyzwyczaiła. Podobno miał wielki talent i młodzi rokowali mu świetną przyszłość, sławę, czy coś tam podobnego... Ale ona się na tem nie znała. Czytała niektóre jego wiersze, ale jej się nie podobały. Były dziwne i nie naturalne, jak wszystko w nim, chaotyczne, niezrozumiałe dla niej i przesadne, a niektóre wydawały jej się nadto bezbożne i nieskromne. A przytem ta jego próżność, ta zarozumiałość! Mówił najczęściej i najchętniej o sobie. O innych ludziach, o ludziach zasług i obowiązków, o cichych pracownikach, uczciwych ojcach i dobrych mężach, których ona tak wysoko ceniła, odzywał się zawsze pogardliwie i z szyderstwem, jak gdyby on jeden tylko był wart coś na świecie. Według słów jego, oprócz niego i garstki „wybranych“, wszyscy inni byli „tłumem“, filiastami, niegodnymi wspomnienia. Mówił z wielką pewnością siebie, a Stefa słuchała go, jak objawienia, pochłaniając każde jego słowo.

Ale ona, matka, nie była zakochana i mo-

gła spokojnie oceniać to, co słyszała. Nie podobał jej się. Wogóle nie imponowała jej ta jego rzekoma wielkość. Byłaby wołała, gdyby przyszły mąż jej córki był zwykłym, uczciwym człowiekiem, takim, co wprowadzie na „wyżyny“ wznosić się nie umie, ale też nie wyszydza wszystkiego, co dla innych jest drogie i święte. Ale cóż miała robić! Stefa kochała tego człowieka.

Ona sama nie pojmowała, co się z jej córką stało. A nawet czasem, gdy widziała z boku, z jaką dziecięcą, nieświadomą pieśzczotą ręce około szyi jego owija, doznawała straszliwej, gryzącej zazdrości macierzyńskiej. Czuła, że jej córka nie należy już zupełnie do niej tak, jak przedtem, — że wziął ją sobie ten człowiek, dla niej tak niemiły i taki dziwny, wziął ją jak ptaka małego o bijącym sercu i trzepocących skrzydłach,—i powiedzie ze sobą na złe i dobre losy, a ona na to nic nie poradzi i sama musi pozostać na starość.

— Byle ją tylko kochał... — szeptała z nieokreślonym bólem i rezygnacją.

Do niedawna nie wątpiła o tem, ale w ostatnim czasie postępowanie Karola coraz więcej obaw w niej budziło. Przychodził coraz rzadziej, bywał niekiedy roztargniony i szorstki i co-

raz wcześniej odchodził. — Uderzyło ją to zwłaszcza od czasu, jak ta ruda śpiewaczka rozpoczęła gościnne występy...

— Boże! oddał tę myśl ode mnie! — powtarzała z lękiem.

I Stefa musiała coś spostrzec, bo płakała parę razy, choć się przed nią ze łzami tajiła. Lecz ona to zauważyła i pod brzemieniem tego nowego zmartwienia pochyliła się jeszcze więcej i wzdychała często i głęboko, a chore jej serce coraz częściej biło gwałtownie i nieregularnie... Co to będzie? — myślała.

Teraz już blisko tydzień Karol się nie pokazał. Codziennie oczekiwały go, z początku zdziwione, później zaniepokojone. Stefa nie dawała nic poznać po sobie, ale ona macierzyńskim okiem widziała, jak cierpi z powodu tego zaniedbania. Bładła i gasła w oczach.

— O! gdyby go tylko ona tak nie kochała, — myślała wdowa z zawziętością, — pokazałabym ja mu, gdzie pieprz rośnie! — Czuła, że zaczyna nienawidzić tego człowieka.

Stefa miała dzisiaj w nocy gorączkę i mąjaćzyła przez sen. Parę razy wymknęło jej się z ust imię: Karol... Ona siedziała z zapartym

oddechem przy łóżku córki i mimo cały żal, całą nienawiść no tego człowieka, prosiła Boga, aby przyszedł nareszcie, obiecując sobie w duchu przebaczyć mu wszystko, nie robić mu już wcale wyrzutów — byle przyszedł tylko! Znała Stefę i wiedziała, że kochać go nie przestanie i nie zapomni.

I oto znowu dzień przeszedł, a narzeczony jej córki nie pokazał się. Zato po południu przyniesiono jej z poczty list od niego do Stefy adresowany. Tknęło ją jakieś niedobre przecucie. List był w Wiedniu na pocztę oddany.

Śnieg padał wielkimi płatami i mimo dość wczesną godzinę mroczno się w pokojach robiło. Siny, stalowy, chłodny mrok dnia zimowego, bez półcieni i refleksów, rozsiadał się w pokoju, otulał skromne staroświeckie meble, pełzał po bielonych ścianach i czepiał się białych firanek. Wdowa drżała w tym mroku z chłodu i ze wzruszenia. Usiadła wreszcie w wysokim krześle w pobliżu okna, gdzie od śniegu jaśniej nieco było, i obracała list niespokojnie w drżących wychudłych palcach. Serce jej biło, jak u wystraszonego ptaka, — oddychała z trudnością.

Nie miała odwagi listu otworzyć, chociaż

czuła, że go sama musi pierwszej przeczytać, nim go odda córce.

— Co tam może być? — szeptała, wpatrując się w nierówny i z widocznym pośpiechem napisany adres. Wiedeński stempel pocztowy niepokoił ją. Więc Karol wyjechał do Wiednia, nic mi o tem nie mówiąc? kiedy?—i poco właściwie wyjechał? i co pisze? Wszystkie te pytania, na które list w eleganckiej, niedbale zaadresowanej kopercie miał odpowiedzieć, wprost ją przestraszały.

Chciała się napić wody, ale czuła, że powstanie trudność jej sprawi. Doznawała wrażenia dziwnego ścierpięcia w kolanach.

— Przeczytam,—szepnęła,—niech się dzieje wola boża!

I powoli wyjęła szpilkę z siwiejących włosów, wsunęła ją tępym koścem w niedoklejony rozek koperty i rozcięła papier. Ręce jej drżały gwałtownie.

List był krótki: kilka zdań tylko zawierał. Trzymała go w wyciągniętych, trzęsących się rękach w ten sposób, aby światło od okna nań padało—i zaczęła czytać:

„Panno Stefanjo! — pisał narzeczony jej córki, — chcę być uczciwym człowiekiem; poco

mamy się oszukiwać? Boleśnie mi, że to mówię,—ale nie jesteśmy dla siebie. Byłem przez pewien czas bardzo szczęśliwy przy Pani i dziękuję za to całym sercem. Ale nie jesteśmy dla siebie. Pani jest dobra, cicha, za dobra dla mnie, a ja jestem z ognia i siarki. Ogromna namiętna żądza życia pali się we mnie—u białych stóp Pani zaspokoić jej nie mogę. Ja się nie mogę wiązać, — nie bylibyśmy szczęśliwi... Niech mnie Pani nie przeklina... Spotkałem płomień i rzucam się weń na oślep, — całe życie stawiam na kartę za jedną chwilę... Choć wiem, że boleść Pani sprawiam, to jednak czuję, że mam prawo tak postąpić, jak postępuję, bo życie jest moje... Mam prawo: samo życie mi je daje“...

Wdowa z cichym jękiem opuściła list na kolana. Łzy jej zupełnie wzrok zasłoniły.

On ma do tego prawo! A przecież ona czuje, że to, co zrobił, jest podle, jest wprost potworne!

Więc on miał prawo, nieproszony, wedrzeć się do ich cichego domu, zabrać sobie na własność serce jej córki, świat cały sobą temu dziewczęciu tak zasłonić, że już poza nim nic widzieć nie była zdolna? Miał prawo wyzyski-

wać czyste, nieświadome, pierwsze dziewicze pieszczoty tego niewinnego dziecka, — miał prawo całować te usta nigdy nie całowane i te oczy, co z taką ufnością i zdziwieniem na życie patrzyły, — tulić te ręce przez matkę wypieszczane i wychuchane, — gładzić te włosy jasne, które ona codziennie czesała i plotła! On do tego wszystkiego miał prawo, a potem znowu miał prawo córkę jej, której ona, matka, przez całe życie od wszelkiej przykrości strzegła, do łez swem postępowaniem przyprowadzać, a wreszcie, gdy mu się już znudziła, rzucić ją, opuścić brutalnie dla jakiegoś „płomienia“, który już z pewnością nie na jednej piersi i nie w jednych objęciach się palił? — I wszystko dlatego, że jej córka była „cicha i dobra, za dobra dla niego!“

I co mu dało prawo do tego? Życie? — Ona jeszcze o takim życiu nie słyszała!

Oburzenie podnosiło jej wyschłą i zapadłą pierś; oczy błyszczały jej dziko.

Wzniosła w górę drżącą i chudą rękę i potrząsając nią nad głową, mówiła:

— Niech ci Pan Bóg... Niech ci Pan Bóg... Rozplakała się głośno.

I uczuła nagle, że byłaby teraz zdolna iść

do tego podłego i znenawidzonego człowieka i u nóg mu się włóczyć i stopy jego całować, byle tylko nie porzucił jej córki, byle ją tylko kochał... Życie! — A potem znowu oburzało się w niej dumne serce matczyne i żal ją targał straszny, bezbrzeżny.

Przymknęła oczy i oparła głowę o poręcz fotelu...

Co teraz będzie ze Stefą? Jak ona jej to powie? jak ją przekona, że nie powinna żałować tego człowieka, lecz pogardzać nim i — zapomnieć? Czuła, że daremne będą wszystkie przedstawienia, bo Stefa go kocha.

Zaco go kocha?

I zdawało jej się, że widzi Stefę nieśmiało, miękko otaczającą ramieniem jego szyję i z przechyloną główką, przymkniętymi oczyma podającą mu rozchylone nieco usta do pocałunku. Wzdrygnęła się ze wstrętem. A potem zdawało jej się, że Stefa jest znowu małą dziewczynką, biega za nią, czepia się jej sukni i pyta: Mamo, grzeczna ja?... Tak, grzeczna była zawsze i nikt jej przykrości nie robił, — nikt...

Ostry, przenikliwy ból przeszył jej chore serce. Co to teraz będzie?

Wszystkie obrazy zaczęły jej się mieszać

przed oczyma. Oto zdaje jej się znowu, że to ona sama jest młodą narzeczoną i czeka na swego ukochanego. Późno już — dlaczego nie przychodzi? Przyjdzie z pewnością i wszystko będzie dobrze, tylko nie wie, co to ma znaczyć, że taki przenikliwy ból w piersi czuje? — Mimowoli, automatycznym ruchem chciała dłoń do piersi podnieść, ale sił jej brakło i ręka bezwładnie opadła na kolana.

Stefa! — co ze Stefą będzie!?

Śnieg padał wielkimi płatami, w pokoju coraz ciemniej się robiło. Meble roztopiały się w niewyraźnych zarysach i tylko na jaśniejszym tle okna odrzynał się ostro boleśnie ściągnięty, nieruchomy profil wdowy. Długie chwile mijały; w ciszy słychać tylko było monotony chód starego zegara...

Nareszcie drzwi się otworzyły, na progu stała Stefa.

— Mamo,—zaczęła,—trzeba lampę zaświecić, Karol dziś pewnie przyjdzie...

Wdowa nie odzywała się.

— Włożyłam tę bluzkę, którą on lubi; ładnie mi w niej, prawda, mamo?

Mówiąc to, zbliżyła się cicho do milczącej

wciąż matki, a potem przyklękła i pochylając głowę na jej kolana, szeptała:

— Mamo, ja go tak kocham, tak bardzo kocham...

W tej chwili z krzykiem zerwała się z ziemi. Na kolanach złożone dłonie matczyne, o które czoło oparła, były zimne i sztywne...

BIAŁY SZCZUR

1898



Z łokciami wspartemi na stole, z twarzą na dłoniach—siedział już tak pół godziny i patrzył bezmyślnie na wąty, błękitnawy płomyk lampki gazowej, liżący w niespokojnych podskokach półokrągłe dno retorty. — Niewielka lampa, przytwierdzona do ściany, o którą się stolik opierał, rzucała z pod zielonej umbry jasny krąg światła na jego płowe, na szczycie głowy mocno przerzedzone włosy, na twarz młodą a zwiędłą, o wysokim czole, jasnych brwiach, wązkim a długim nosie i naprzód wysuniętej i śpiczastej brodzie. Blask pełzał po stole, odbijał się w porzucanych tu i ówdzie między papierami naczyń chemicznych, zaglądał do klatki z białym, niespokojnie tam i sam biegającym szczurem, zsuwał się na ziemię i dokąd mu dolny, nisko zwieszony brzeg umbry pozwalał, zataczał na podłodze żółte półkole, szerokim cieniem wysokiego drewnianego krzesła przerznięte. Reszta nie-

wielkiego pokoiku tonęła w półcieniu. Majaczyły w nim tylko wyraźniej rozchylone nieco szklane drzwi dużej szafy, pult jakiś wysoki, zarzucony książkami, wśród których stały opróżnione me-
n a żki restauracyjne, — a dalej jeszcze wyglądały z mroku kręcone schody żelazne, wprost na piętro wiodące. Przez otwarte drzwi w bocznej ścianie widać było szeroką, wagami zastawioną ladę i tonące w cieniu półki, pełne flaszek i słoików. Duszna, gryzącymi wyziewami aptecznymi i dymem tytoniowym przesycona atmosfera wypełniała cały pokój.

W ciszy słychać było miarowe tykotanie zegaru i syk lampki gazowej. Wtem rozległ się szybki stuk w okienicę i przytłumiony śmiech. Młody człowiek nie poruszył się; dopiero na dźwięk dzwonka aptecznego powstał szybko i przeszedł automatycznie do sklepu. W otwartych drzwiach stanął przed nim obdarty chłopak z terminu. Z poza ramion jego wyglądała z cienia druga śmiejąca się twarz urwisza.

— Czego?

— Pon majster prosi piknie proszku perskiego za centa.

— Wyoń się!

— Proszę pana japykorza, trza koniecznie

dać, bo pani majstrowa nie chcą spokojnie leżeć...

Ukryty w cieniu drugi chłopak wybuchnął przemocą powstrzymywanym śmiechem.

Młody człowiek zatrzasnął drzwi niecierpliwie i powrócił na dawne miejsce. Nim jeszcze usiadł, rozległo się gwałtowne uderzenie w okienicę i śmiech zadowolonych z figla uliczników:

— Ty! japykorz!...

On wsparł znowu głowę na dłoniach i patrzył bezmyślnie przed siebie. Na zegarze wybiła druga.

Nagle podniósł oczy, jakby ze snu ocknięty i szybkim ruchem wyrwał płonącą lampkę z pod retorty. Mały termometr w brązowym rozczynieniu zanurzony pokazywał o pół stopnia więcej, niż było potrzeba. Chemik z niezadowoleniem wziął retortę do ręki i przypatrywał się pod światło rozczynowi, z lekka co pewien czas naczyniem potrząsając. Białe, maleńkie bańki ukazywały się w cieczy i wznosiły się w górę, szybko na powierzchni pryskając.

— Jeszcze się nic nie stało—szepnął. Po chwili jednak opuścił ręce z wyrazem zniechęcenia:

— Po co to wszystko, szeptał, — jeżeli on ma słusność? jeżeli krew... nie zasymiluje?...

Oparł naczynie o stos zeszytów i przeszedł do drugiego pokoju. Po ciemku zbliżył się do jednej z szaf, schylił się i wyjął dużą flaszkę koniaku. Nalał szklanekę po brzegi i wypił szybko, chciwie. Wracając, chwiał się na nogach; krwawe rumieńce wystąpiły mu na żółtą, zwiedłą twarz.

Pracował już tak od kilku lat po nocach, a od paru już tak pił. Początkowo, aby pobudzić myśl i energię do pracy, później aby nie zasnąć ze znużenia, a teraz poprostu dlatego, że już nie mógł inaczej. Na trzeźwo pracować już nie umiał. Gdy się cały dzień stoi albo biega i przyrządza lekarstwa, to się jest wieczorem cołwiek zmęczonym. A wszakże kiedyindziej nie miał czasu na samodzielną pracę. Dopiero gdy Pryncypał opuszczał wieczorem aptekę, on zamykał drzwi i okiennice, wychylał parę szklanek koniaku i siadał przy retortach, lub kreślił długie szeregi znaków na papierze. Wiedział, że taką pracą zabija wąły swój organizm, że się zatruwa alkoholem, jasno sobie zdawał z tego sprawę, że parę lat jeszcze życia takiego—a bę-

dzie musiał w szpitalu kończyć na delirium — ale... cóż mu to znaczyło!

Co mu to znaczyło — aż do wczoraj!

Na wspomnienie tego dnia zatrzęsł się jak w febrze i pobladł. Pot wystąpił mu na czoło pod rzadkimi włosami. — A jeśli on ma słusność?... — szepnął.

A jednak myśl jego była taka wspaniała i tak bezwarunkowo wierzył w konieczność jej urzeczywistnienia! To znaczy, wierzył nie w to, że on sam ją koniecznie urzeczywistni, ale że wogóle urzeczywistniona być musi. Na to życie jednego człowieka nie wystarcza. On miał zrobić początek, a potem mieli przyjść inni pracownicy i znowu inni — aż do skutku.

A wtedy, gdyby ten skutek z czasem osiągnięto, czemu by byli wobec niego wszyscy dobroczyńcy ludzkości, których świat wielbi? — czemu wszystkie dobrodziejstwa wobec tego, które on światu wyświadczyć zamierzał: uwolnić ludzkość raz na zawsze od wszelkich najstraszniejszych chorób, dać jej w rękę niezawodną broń do walki z tym wrogiem, który ją dziesiątkuje i tyle nędzy sprowadza! Warto życie i siły i zdrowie poświęcić, aby to zrobić!

Aby to zrobić... Mój Boże!

A wszakże rzecz właściwie wydawała się taka prosta! — Lekarze wiedzą już dzisiaj, skąd choroby zakaźne pochodzą, ale nie umieją ich leczyć. Wiedzą, że w chorem ciele gnieźdzą się wtedy legjony całe mikrobów, miliony zarazków, które rozwijając się, wytwarzają w krwi pewien związek chemiczny, zatruwający organizm zupełnie tak samo, jak arszenik lub cyankali. I to zatrucie właśnie chorobę i śmierć powoduje. I jakże chorego ratować? Śmiać się musi, gdy myśli, jak niedołąźnie do tego czasu choroby te leczono! Otóż naprzód starano się te zarazki w krwi zabijać. To było trudno, ale choćby się też nawet udało — cóż komu z tego przyjdzie! Organizm raz zatruty choruje i niszczeje, chociaż się te mikroby, które go zatruły, usunie. Później starano się przez szczepienie surowicy uczynić człowieka na zatrucie niewrażliwym. Ale któż zaręczy, jak długo działanie surowicy będzie trwało i do jakiego stopnia organizm na truciznę znieczuli? Nie! jego teoria bezwarunkowo jest lepsza! A taka prosta! taka jasna. Organizm jest zatruty? Dobrze! Wszak na każdą truciznę można znaleźć teoretycznie antydotum, to znaczy takie ciało chemiczne, które się łączy z trucizną w krwi rozpuszczoną i tworzy razem

z nią związek w krwi już nierozpuszczalny, a zatem szkodzić nie mogący; tak się leczy wszystkie otrucia. Cóż zatem prostszego, jak zastosować tę samą metodę do chorób zakaźnych? Wtedy już cholera i dżuma nie byłyby niczem niebezpieczniejszem od lekkiego otrucia fosforem lub inną jaką powoli działającą trucizną. Z niemogącymi szkodzić już mikrobami organizm samby sobie dał radę!

W chwili, gdy mu pomysł ten po raz pierwszy przyszedł do głowy, o mało że nie oszalał z radości. Stłukł parę retort, rozbił słoik z drogiem lekarstwem i na całe pół dnia wydalil się bez pozwolenia z apteki. Biegał po lesie z odkrytą głową i krzyczał z uciechy. Opowiadał drzewom i ptakom, jak zamierza ludzkość uszczęśliwić.

Nie zwlekał też z wykonaniem pomysłu. Za parę dni wziął się do roboty. Co prawda, praca była ogromna, przechodząca nawet siły jednego człowieka. Trzeba było naprzód z krwi zatrutej zarazkami pewnej choroby, z pośród mnóstwa nieszkodliwych ten właśnie pierwiastek bez żadnych przymieszek wydzielić, który chorobę spowodza, a dopiero zizolowawszy go w ten sposób, wziąć się do oznaczenia jego składu

chemicznego, aby później na tej podstawie wynaleźć antydotum.

Potem należało zrobić to samo z drugą chorobą, trzecią, dziesiątą — i tak dalej. Jako chemik zawodowy, nie łudził się bynajmniej co do trudności, jakie będzie musiał napotkać. Wiedział, że jego życie i siły wszystkie zaledwie może na to wystarczą, żeby jeden jedyny pierwiastek chorobotwórczy wyszukać, a już w najlepszym razie i skład jego zbadać. Nie chodziło mu jednak o to. A gdy czasem — mimowoli — uczuwał żal do życia ludzkiego, że jest takie krótkie i że przez to inni będą musieli kończyć to, co on zaczął, — wyrzucał to sobie potem i mówił: Dlaczegoż być egoistą? Dlaczegoż ja mam koniecznie dzieła dokonać? Zacząłem — to dosyć. Skończą inni. Dla ludzkości to wszystko jedno, byle rzecz była kiedyś zrobiona. — I uczuwał ogromną błogość na myśl, że rzecz z czasem musi być zrobiona i że ludzkość będzie szczęśliwa — i z podwójną energią brał się do pracy.

We dniu nie miał czasu, pracował więc w nocy. Miał przedtem zamiar składać w krótkim czasie egzamina magistra farmacji — teraz jednak, przy tem zajęciu, nie mogło być nawet

mowy o przygotowaniu się. Niebogata rodzina za złe mu to opuszczenie miała i wyrzutami ze swej strony doprowadziła nawet do tego, że musiał się od niej odsunąć. Ale przebaczał im wszystko, bo cóż oni wiedzieli o jego pracy? Żyjąc na uboczu, ze szczupłej swej pensyjki kupował bardzo nieraz drogie chemikalja i przyrządy. Aby zaś wystarczyło, ograniczał się w wydatkach. Ubierał się bardzo lichy. Skromny obiad, przysyłany z restauracji, dzielił na dwie części i drugą połowę zjadał wieczorem, jako kolację. Wyczerpany był i zmęczony, zaczął się w aptecce zaniedbywać! Pryncypał groził mu już raz nawet utratą miejsca. We dniu więc przeemocą senność przewyciężał, a w nocy pił szklanekami koniak i czarną kawę, aby nie upaść ze znużenia. I pracował. Przyzwyczyił się już nawet tak do tego, że po wypiciu ilości koniaku, po której kto inny upadłby bez przytomności, on zupełnie pewnie pracował przy wagach chemicznych, które, jak wiadomo, setne części miligramu oznaczają i nadzwyczajnej wymagają uwagi. Nie mylił się nigdy. Za to, gdy był trzeźwy, ręce mu się trzęsły i robota nie szła.

Sześć lat już upłynęło. Zaczął pracować nad tyfusem. Hodował sztucznie zarazki, szcze-

pił je królikom, młodym świnkom morskim i białym szczurom, u których choroba szczególnie łatwo i pięknie się przyjmuje; krew zatrutych zwierząt badał potem i rozbierał i szukał, ale do żadnych dodatnich wyników jeszcze nie doszedł. Czasem parę miesięcy tracił, postępując drogą, która później okazała się fałszywą. Wracał się wtedy i rozpoczynał rzecz od początku. Raz stracił w ten sposób dwa lata. Po pewnym czasie spostrzegł, że brak mu wielu koniecznych do tego rodzaju badania wiadomości z wyższej chemji, medycyny i fizjologii. Sprowadzał więc dzieła, uczył się i pracował na nowo. W chwilach największego znużenia i wyczerpania, gdy mu już ręce opadały, dość mu było pomyśleć o szczęściu, jakie z jego trudów dla ludzkości wyniknie, a natychmiast dreszcz rozkoszy przechodził jego wątłe, wyniszczone ciało — i rzucał się z nowym zapałem do pracy. Koniak tylko musiał pić ciągle.

W niezawodność i nieomyłność swojej teorii wierzył niewzruszenie i to właśnie sprawiało, że największe nawet niepowodzenia nie zrażały go. Wszakże wszystkie trudności li tylko do wykonania się odnosiły, a doniosłości i prawdziwości samej zasady w niczem nie osłabiały. Do-

póki o teorii samej i skuteczności jej wyników nie wątpił, nic go do pracy zniechęcić nie mogło.

Tak było — aż do wczoraj...

Wczoraj w nocy, o tym czasie, a może wcześniej nieco, odwiedził go przyjaciel, którego dawno nie widział. Przyjechał skądś i wprost z dworca udał się do niego. Zapukał w okienicę, ale on, przyzwyczajony do figlów uliczników, którzy wiedząc, że nocami siaduje, w ten sposób go niepokoiłi, nie ruszał się. Dopiero gdy usłyszał znajomy głos, wstał i otworzył. Ucieszył się bardzo, bo rzadko ludzi widywał, z którymi mógłby szczerze serdecznie rozmawiać. Gawędzili dość długo. On naturalnie opowiadał przyjacielowi o swem odkryciu. Wpadał w zapał, a gość słuchał spokojnie, ale z widocznem zajęciem. Podobno kiedyś tam zajmował się i chemją — w ciągu swych długoletnich studjów — i rozumiał się na tem nieco. Gdy skończył, gość pokiwał głową i z jakimś dziwnym uśmiechem politowania nazwał go zapaleńcem i idealistą. Gdy on się zaś bronił, udowadniając realności swej teorii i wykonalności pomysłu, przyjaciel zerwał się, mówiąc:

— A wiesz ty, że ten piękny twój pomysł może być nic nie wart? W zasadzie nic nie wart!

Teraz on z kolei uśmiechnął się z politowaniem: widocznie nie rozumiano tego, co mówił o swej pracy. Gość ciągnął dalej:

— Pomijam już trudności w wyszukaniu i izolowaniu chorobotwórczego pierwiastka, w oznaczeniu jego składu chemicznego i w wyszukaniu teoretycznem neutralizującego antydotu, bo — lubo bardzo trudne — są to wszystko rzeczy możliwe...

— Naturalnie...

— Otóż dobrze. Słuchaj-że teraz. Znalazłeś antydotum, lekarstwo. To lekarstwo, aby truciznę z krwi wyłowiło, jak mówisz, musi się poprzednio samo w krwi rozpuścić, — prawda?

— A tak...

— No a co, jeżeli jedyne możliwe antydotum na truciznę danej choroby będzie samo ciałem chemicznem, w krwi nierozpuszczalnem? Gdzie się wtedy z tą w krwi rozpuszczoną trucizną spotka i jak ją zneutralizuje? he?

Jemu się nagle ciemno przed oczyma zrobiło. Istotnie, o tej możliwości nie pomyślał.

— Jakto?... — wybąknął prawie bez myśli.

— Ot, organizm poprostu nie przyjmie, nie zasymiluje twego lekarstwa, — wtedy co z całej twej pracy? Szkoda czasu i sił dla rzeczy

tak niepewnej! Ludzkość będzie chorowała tak jak dotąd, — ty idealisto!

Jakby piorun trzasnął u jego nóg. Szkoda czasu i sił... Zdawało mu się, że się gmach jakiś wali nad nim i przygniata go swym ciężarem. Płomyk lampki gazowej, retorty i klatka z białym szczurem zaczęły tańczyć przed jego oczyma. Nie mógł się na nogach utrzymać i musiał usiąść. Pobladł widocznie, gdyż nawet gość to zauważył.

— No, no, ostatecznie nie rób sobie nic z tego, co powiedziałem, — rzekł. — Przecież nie koniecznie musi być tak źle... Chciałem ci tylko oczy otworzyć... Zresztą — pracuj, szukaj, próbuj — a zobaczmy!

— A a! — ziewnął, — spać mi się chce! Pójdę do hotelu. Bądź zdrow, a najlepiej daj już pokój pracy na dzisiaj i połóż się także spać...

I poszedł.

Poszedł sobie, jakgdyby nigdy nic — i zostawił go z tą straszną wątpliwością, której się teraz nie mógł obronić.

— A jeżeli on ma słuszość? — powracało mu ciągle do głowy, — jeżeli moja praca istotnie do żadnego celu nie prowadzi! Jeżeli organizm nie zasymiluje?...

Wiedział, że jest to tylko przypuszczenie, że niekoniecznie ma być tak źle, — a jednak czuł, że cały zapal i wszystka energia bezpowrotnie uleciały. — Jeśli tak wogóle może być — po co pracować?

Przy innych okolicznościach cios możeby nie był dla niego tak straszny, — wszakże bądź co bądź widmo zupełnego niepowodzenia było tylko jedną z licznych możliwości, — teraz jednak była to ostatnia kropla dolana do czary...

Zaczął drzeć cały; policzki mu płonęły; od czasu do czasu dławila go czkawka. Patrzył teraz błędnem okiem na szkła i retorty, jakby nie rozumiejąc, po co on między nimi tyle lat młodego życia stracił.

Po raz pierwszy od długiego, długiego czasu zapragnął uciec z tej apteki — do ludzi. Duszno mu było i straszno.

Znał małą piwiarnię na przedmieściu, gdzie co noc zbierało się kółko jego znajomych... Bywał tam niegdyś... Zarzucił płaszcz i pobiegł tam prosto. Wchodząc do dymnej, gwarnej izby, zawahał się. Spostrzeżono go jednak zaraz i przywitano chórem zdziwienia i śmiechu, nie pozwalając się cofnąć. Szedł więc ku nim z bezmyślnym uśmiechem, chwiejąc się na nogach.

— Ależ ty już pijany przychodzisz, alchemiku! — zawołał jeden. — Wyznaj-no gdzie byłeś? — On sam czuł, że jest już pijany i dziwił się, gdyż tego dnia wypił znacznie mniej koniaku, niż zazwyczaj.

Co dalej było — już nie pamięta. Wie tylko, że nad ranem, gdy z knajpy wychodził, wszystko wydawało mu się ogromnem głupstwem. Wszystko! wszystkie choroby i chemja cała i szczęście ludzkości. Było mu strasznie wesoło i śmiał się wraz z innymi do rozpuku z jednego z towarzyszy, niskiego, wątlęgo, o suchotniczym wyglądzie chłopaka, który nie mógł iść już o własnej mocy, a bronił się chcącym mu dopomóc kolegom i usiłując się wyprostować, bełkotał z komiczną powagą:

„Precz odemnie, podły tłumie, bo będzie nieszczęście, Młody jestem, wściekły jestem i mam silne pięście...”

Było to nieskończenie zabawne! —

Wrócił do domu w chwili, gdy czas już było aptekę otwierać. Nie kładł się więc spać i znowu cały dzień był na nogach. Przyrządzał automatycznie lekarstwa i starał się nie myśleć o niczem. Raz tylko — około południa... Przyszła jakaś wiejska baba do apteki z płaczem po chi-

ninę. Jej mąż miał tyfus. Dawniej w takich okolicznościach myślał z rozkoszą, że kiedyś, dzięki jemu, tyfus będzie równie mało znaczącą chorobą, jak dzisiaj katar... Teraz na dźwięk tego wyrazu uczuł, jakgdyby zimne ostrze, prze-szywające mu na wskroś piersi. Łzy go paliły w oczach.

Nadszedł wreszcie czas zamknięcia apteki. Zasunął okiennice, zapalił lampę i z przyzwyczajenia zabrał się do pracy. Wypił koniaku więcej, niż kiedykolwiek, a jednak robota mu nie szła. Rozbił retortę z gotowym już preparatem, przekręcił śrubkę u mikroskopu i teraz o mało nie przegrzał rozczyntu, nad którego przyrządzeniem parę tygodni pracował.

Był bajecznie znużony, ale się nie kład, czując, że nie będzie mógł zasnąć.

— Poco to wszystko, poco?—szeptał. — Jeżeli organizm nie zasymiluje...

O czym innym nie mógł już dzisiaj myśleć.

Przechylił się w tył na wysoką poręcz drewnianego krzesła, zaplótł ręce na głowie,—blade zwiędłe usta, ocienione nikłym, spłowiałym wąsikiem, rozwarł nieco, ukazując rzadkie i spróchniałe zęby, a oddychając ciężko, patrzył z pod obrzękłych powiek przed siebie, na stół.

Płomyk lampki gazowej, wysuniętej z pod retorty, strzelał w górę błękitny, ruchliwy, drobny, złotawymi iskrami usiany. Biały szczur w klatce, zmęczony snadź ustawicznym bieganiem, przysiadł i wystawiwszy między preciki różowy nosek, obwąchiwał uważnie tuż obok leżącą, szczelnie zamkniętą szklaną epruwetkę, w której na galaretowatej masie szarzało kilka plamek ślicznie rozwiniętych, a specjalnie dla niego przeznaczonych zarązków tyfusowych.

Aptekarz myślał teraz o życiu swoim straconem, o zmarnowanej świetnej może przyszłości, o nadziejach, jakie mu niegdyś z powodu jego zdolności robiono, o nędzy i o tej pracy swej, w którą duszę i zdrowie włożył, i znowu o tem, co wczoraj usłyszał. Uczucie bezgranicznej rozpacz i pustki jakiejś niezmierzonej owładnęło nim, wierząc w mózgu i tamując oddech.—Nie! bezwarunkowo, nie może tutaj i dzisiaj wysiedzieć! — musi wyjść musi zaczerpnąć świeżego powietrza — Może się uspokoi...

Powstał, odtrącając krzesło gwałtownym ruchem, chwycił płaszcz, czapkę i nie gasząc światła, wybiegł w ciemną ulicę. Szczur przestraszony łoskotem rzucił się w kąt klatki i patrzył za nim zdziwiony...

Zaledwie ukazał się przed domem, gdy dwaj chłopcy, obrywający bez, który się wielkimi kłębami zwieszał przez mur sąsiedniego ogrodu, zobaczywszy przechodnia, ze strachu w bok uskoczyli. Poznali go jednak zaraz: tego „cudaka” nie było się co obawiać.

— Ty! japykorz, gdzie się po nocy włóczysz!—zabrzmiało za nim w zaułku...

Nie oglądał się; szedł przed siebie szybko, jakby uciekając od mary, która go tam między retortami dusiła.

Noc była majowa, ciepła. Idąc, spotkał dwóch czy trzech zapóźnionych, taczających się pijaków,—zresztą pusto było zupełnie. Tu i ówdzie z za spuszczonej rolety błyszczało mdłe światło nocnej lampki. Patrzył na te okna i myślał o szczęściu młodych, kochających się ludzi, którzy teraz obok siebie spoczywają. On takiego szczęścia nie zaznał nigdy.—I nagle przypomniał sobie, że także przy chorych nocne lampki się świecą. Na przykład przy chorych na tyfus... Wstrząsnął się i począł biec szybciej. Ogarniało go coś, jakby uczucie wstydu z nieznośnym bólem połączone.

Szybki chód męczył go jednak widocznie, gdyż po chwili zwolnił kroku, oddychając ciężko.

Wyszedł już ze śródmieścia i wchodził właśnie na most, olbrzymiem żelaznem żebrzem wyginający się ponad głębokim wąwozem, w którym na dnie bystra rzeka szumiała. W połowie mostu przystanął, i wsparłszy się plecami o żelazną balustradę, zdjął kapelusz i począł chustką czoło obcierać.

W powietrzu dawał się czuć lekki chłód nocny i rzeźwość wonna, niewypowiedziana. Głębokim wąwozem ponad szumiącą wodą płynął łagodny powiew nocny i chwiały słabemi płymykami rzadkich latarni gazowych. Księżyc wychodził właśnie w pełni z poza wysokiej wieży starego tumu i patrzył przez gotyckie okna na świat i na wodę, z jednej strony gwiazd pełną i lekko się pod światło iskrzącą, z drugiej przywaloną olbrzymim cieniem mostu i gotyckiej wieży.

Aptekarz patrzył na bzy w głębi wąwozu kwitnące, na księżyc, który kilka razy przez okna wieży błysnąwszy, zagasł na chwilę i teraz znowu u szczytu z pomiędzy kamiennych różyc gotyckich jak srebrna różyca wypłynął,—słuchał słowików ogromnym chórem zawodzących i myślał, że są przecież ludzie na świecie, którzy nie tracą życia w zamkniętej i dusznej aptece wśród retort i słoików,—dla których i słońce świeci i księż-

życ, i kwiaty pachną, i ptaki śpiewają... Dziecięce jakieś wspomnienie zabłąkało mu się w mózgu—i nagle taka go ogromna żalność zdjęła, że rozpłakał się, jak dziecko. Odwrócił się teraz i przechylony naprzód, wsparł łokcie na żelaznej poręczy, twarz ukrył w dłoniach i trząsł się wewnętrznym spazmatycznym łkaniem.

Długa chwila upłynęła, nim się uspokoił nieco i otworzył oczy... Księżyc zaszedł za chmury, a przed nim w dole szklila się niewyraźnie czarna otchłań wody... Myślał teraz znowu o sobie, o życiu swoim, zmarnowanych latach, zniszczonym zdrowiu, niepowodzeniach wszystkich i tym celu życia, w którego osiągnięcie od wczoraj już wierzyć przestał. Skronie na chwilę świeżym powiewem nocy ochłodzone, płonęły mu teraz na nowo; pod powiekami czuł gorący piasek. Wypity koniak zaczynał teraz dopiero działać, jak nigdy jeszcze. W głowie czuł szelest nieznośny: przed oczyma wszystko mu krążyło.

I powoli szum zrywającego się wiatru zaczął mu się zlewać z głuchym mruczeniem rzeki w dziką i okropną jakąś muzykę, w której słyszał ciągle powracającą szyderczą fugę:

— Nie zasymiluje... nie zasymiluje...

Strach go ogarniał. Zaczynał już tracić przy-

tomność. Palce zgiął kurczowo dokoła żelaznej poręczy i pochylał się coraz więcej naprzód. Nie wiedział już, gdzie jest i co robi. Widział tylko tę ogromną wabiącą toń wody pod sobą i słyszał szumiący wicher... Zawrót miał straszny. Zdawało mu się, że z mostem i całym światem razem ruchem zrazu powolnym, lecz wzmagającym się stale, kręci się, opadając przytem ciągle ku lewej stronie i coraz niżej. — Coraz silniej trzymał się poręczy, aby nie zlecieć w tę otchłań, w którą razem z mostem zdawał się posuwać...

Nużące wrażenie nieustannego ruchu ustąpiło wreszcie miejsca dziwnym halucynacjom.— Zdaje mu się, że siedzi w aptece i pracuje. Późno już jest i płomień gazowy syczy tak nieznośnie... Jest strasznie zmęczony, ale nie może się kłaść spać, bo dzisiaj robota ma być ukończona — dzisiaj wynaleść musi niezawodne lekarstwo na wszystkie choroby... A ten płomień gazowy tak syczy...

Nagle—retorta pęka i—zamiast upragnionego lekarstwa, wysypują się z niej miljarde tyfuszowych zarazków, rozlatują się po świecie; zaraza wszędzie; wszyscy chorują, wszyscy go przeklinają... Chciał krzyczeć, chciał się usprawiedliwiać, ale głos zamarł mu w piersi.

Ocknął się, — przed nim ciemna otchłań...

— Nie zasymilujel—śmiał się wiatr.

— Pójdź, pójdź, — szumiała woda.

Przechylił się jeszcze więcej. Już tylko kurczowo zaciśnięte dłonie i tarcie podeszew o kamienne płyty trotuaru utrzymywały go w równowadze.

— Pójdź — szumiała woda.

I nagle wszystko, wszystko wydało mu się takim ogromnem, niewartem wspomnienia głupstwem, — i życie, i praca, i zawody, wszystko... Ogromny spokój i błogość niewypowiedziana ogarnęły go,—uśmiechnął się, przymknął oczy i...

Drgnął i wyprostował się. Oprzytomniał. Szeroko otwartymi oczyma pojrzał dookoła. Latarnie pogaszono już wszędzie; wiatr zacinał drobnym, zimnym deszczem.

Przez chwilę stał niepewny, patrząc ze zdumieniem dokoła na ciemny świat i na wodę, która, jak mu się zdawało, przed chwilą tak blizka, teraz pogardliwie gdzieś daleko w dół z pod stóp mu się cofnęła...

Spojrzał jeszcze raz na niebo, na wodę, uśmiechnął się, machnął ręką, chrząknął i otulając się w wytarty płaszcz, ruszył prosto do nocnej knajpy, gdzie się wczoraj tak dobrze bawił...

Jasno już było, gdy wrócił do domu. Niezgaszona lampa paliła się jeszcze, a żółty jej blask kłócił się z błękitnym światem, wpadającym przez szpary okiennicy. Na stole stała próżna klatka. Biały szczur, pozostawiony sam, zdołał szczęśliwie przegryźć dwa słabsze prętki i umknął, straciwszy retortę ze stołu. Chemik kopnął ją nogą, aż szkło rozprysło się po podłodze i rzucał się w ubraniu na posłanie, mimo że była to godzina, o której należało otwierać aptekę.

PO UCZCIE

1900

Hałas odsuwanych stołków, brzęk talerzy i kieliszków, gwar rozmów, wybuchy śmiechu...

Pan radca, ósmy z kolei mówca, zakończył i wszyscy z kieliszkami w dłoniach podchodzili ku jubilatowi, trącali się z nim, ściskali go za ręce, niektórzy całowali go w ramiona lub wąsy, inni powtarzali ostatnie słowa mówcy: „Zdrowie życia, tego pięknego, pełnego, bujnego, nieokiełznanego życia, którego tyś nam jest rzeźnikiem i przedstawicielem, — zdrowie życia w twoje ręce i na twą cześć!...”

A on stał pochylony, nieco zakłopotany, ale zadowolony, niemal szczęśliwy i drżącą ręką ścisnął wyciągające się ku niemu dłonie, uśmiechem odpowiadał na uśmiechy, z rozrzewnieniem całował się z dawnymi przyjaciółmi... Ale w całej postaci jego, chudej i wysokiej, w ruchach, w ściągłej, siwiejącym zarostem okolonej twarzy, w dużych, przygasłych oczach, pod wy-

sokiem, łysiną aż do tyłu czaszki przedłużonem czołem — znać było znużenie obezwładniające a przemocą tylko powściągane. Uczta, wydana na jego cześć w pierwszorzędnym hotelu przez grono przyjaciół i wielbicieli, trwała już wzwyz czterech godzin i przez ten czas musiał wysłuchać ośmiu mów, na niektóre odpowiedzieć, musiał zjeść mnóstwo równie drogich jak niestrawnych potraw, wypić kilkanaście kieliszków różnych win, a nadewszystko musiał być ożywiony, przyjemny, wdzięczny, w miarę skromny i w miarę dumny... Wszyscy na niego patrzyli, nim się zajmowali, o nim mówili. Wszystko to razem nużyło go nad wszelki wyraz i teraz, gdy wybuch gwaru, zakończeniem ostatniej mowy spowodowany, uciszył się trochę, a w sali potworzyły się grupki rozmawiających i palących cygara, on, usunąwszy się w kąt olbrzymim oleandrem zacieniony, myślał już tylko o powrocie do domu... Podniecenie, sztucznie zapalę, wiwatami i winem wywołane, ustąpiło już. Patrzył obojętnym, prawie niechętnym wzrokiem na otaczających go ludzi, co go przez cztery godziny nudzili, a teraz zastępowali mu drogę ku drzwiom, o których z utęsknieniem myślał. Czekał tylko sposobności, aby się wymknąć.

Wreszcie udało mu się. Skorzystał z chwili, gdy redaktor poważnego miejscowego dziennika wyluszczeniem swych śmiałych poglądów na ostatnie wypadki we Włoszech zwrócił na siebie powszechną uwagę, i wymknął się po cichu, nie żegnając się z nikim. W garderobie chwycił płaszcz z rąk zadziwionego tak wczesnem odejściem lokaja, który go znał, (któż go nie znał w całym mieście! wszakże był sławny...) i zbiegł szybko po schodach. Owiało go rzeźwe, ostre powietrze pogodnej nocy jesiennej. Przystanął, — i w tej chwili, jakby z obawą, aby ucieczki jego tam na górze nie spostrzeżono, postąpił szybko parę kroków i skinąwszy na najbliższą dorożkę, których cały szereg czekał na ucztujących, skoczył na siedzenie, podając adres swego mieszkania.

Dorożkarz zawahał się.

— Wielmożny panie,—rzekł, uchylając czapki,—tam na wielmożnego pana czeka zamówiona kareta, która miała odwieść...

— Jedź! — zawołał...

Gospodyni widocznie nie spodziewała się go jeszcze, gdyż ze zdziwieniem spojrzała na niego, otwierając drzwi korytarza.

— A! pan już?...

— Już.

— No, no! Może herbaty z cytryną? Przygotowałam samowar. Zaraz będzie...

— Dajcie mi herbaty z cytryną... Nie... zresztą nie trzeba.

Mówiąc to, zdjął już płaszcz i wchodził do swego gabinetu. Gospodyni wsunęła się za nim, aby zapalać świece,—odprawił ją jednak niecierpliwym ruchem ręki.

Przez niezastłonięte okno wpadało do pokoju światło zachodzącego księżyca; jasną smugą przerzynało biurko, zastawione bogatymi brązowymi przyborami do pisania i biegło wzdłuż ściany, po półkach pełnych książek w pięknej oprawie, aż do portretu jakiegoś, co wisiał nad półkami i teraz, oświetlony do połowy, z dziwnym grymasem wyglądał z ciężkich złożonych ram. Atmosfera była duszna i ciężka. W piecu ogień niedawno snadź się wypalił; biło jeszcze od niego gorąco. Jubilat zrzucił frak, rozpiął krawat i koszulę pod szyją i nie zapalając światła, począł się przechadzać po pokoju. Znużenie, które go obezwładniało, ustąpiło po przejażdżce w otwartej doróżce na świeżem powietrzu, nawał chaotycznych myśli zato cisnął mu się do głowy.

Wracał do domu w dziwnem rozdrażnieniu, ale teraz na widok znajomych ścian i sprzętów, pod wrażeniem ciepła i swojskiej atmosfery, przepełnionej wonią kwiatów, których mu dzisiaj obficie ze wszech stron naznoszono, i zapachem, jaki stare książki i meble skórą obite wydają, rozdrażnienie znikło bez śladu, ustępując miejsca owemu błogiemu uczuciu zadowolenia, które się łączy z lekkim i miłym podnieceniem. Myśli, tłumnie cisnące mu się do głowy, utrwalały ten nastrój.

Chodził tak po pokoju, przecinając co chwila wysoką, czarną sylwetką pas księżycowego światła i uśmiechał się do swych myśli. Dwadzieścia pięć lat pracy! dwadzieścia pięć lat literackiej działalności, której owocem kilka dzieł treści naukowej, tomy poezji, powieści... Przystanął i spojrzał na półki, gdzie widniały kolorowe, skórzane grzbiety jego dzieł, rzędem poustawianych obok siebie. Księżyc doszedł właśnie do nich i sunął mdłe światło po złożonych napisach... Portret u góry prawie cały tonął już w mroku, kawałek ust tylko zeń się jeszcze szyderczo uśmiechał...

Literat usiadł w wygodnem krześle przed biurkiem i przesunął zwolna dłonią po łysiej-

cej głowie. Stanowczo, to jeden z najpiękniejszych dni jego życia. Jest zadowolony, jak rzadko. Nie pojmuje nawet w tej chwili, dlaczego tak wcześnie wyszedł stamtąd, od tych ludzi, którzy w imieniu całego narodu składali mu zasłużony hołd w dwudziestą piątą rocznicę... Pracował ciężko, pracował z zaparciem się siebie nieraz, ale nie może się skarżyć na niewdzięczność ani obojętność społeczeństwa... Tyle miał dowodów sympatji, uznania, czci...

Lekkie rozrzewnienie przeszło mu miłym dreszczykiem przez kości. Uśmiechnął się tedy z zadowoleniem i począł znowu myśleć o dniu ubiegłym... Dziwna rzecz, że te mowy tak go nużyły. Teraz z przyjemnością o nich myśli. Poczcivi ludzie! — prostemi, nieraz naiwnemi słowy wyrażali mu swą miłość i uznanie — jak umieli.

Przebiegał myślą postacie swych przyjaciół, przypominał sobie toasty, mowy, wyszukiwał w nich miłe dla siebie zwroty i wyrażenia...

A ten radca, — ten zacny radca, towarzysz z ławy szkolnej... Mówił o życiu... O bujnym, pełnym życiu, które on...

W tej chwili drgnął i gwałtownym ruchem ścisnął skronie obiema rękami. Zdawało mu

się, że się zbudził ze snu. Mowa, której szczególnie dopiero co z przyjemnością sobie przypominał, wydała mu się nagle strasznie, potwornie szyderstwem.

Wyprostował się na fotelu i rozwarł szeroko oczy... Jak on to mówił?... Życie, bujne życie, za którym tęsknimy...

O, tak! tęsknimy, tęsknimy...

Czuł, że budzi się w nim coś, co już dawno przezwyciężył, pokonał, zapomniał. Chciał odpędzić tę myśl; ale ona powracała ciągle wbrew jego woli...

Tęsknimy, tęsknimy, tęsknimy za życiem, — szumiało mu w głowie obłędnie, wciąż w koło... W piersiach uczuł bolesny a rozkoszny równocześnie ucisk, jakieś straszne, namiętne pragnienie oddechu, którego doznawał niegdyś, niegdyś, przed laty, gdy wichur pędził nad nim i szumiał i drzewa łamał i pożarem myśli i żądź w młodych włosach mu się palił, a on się nie mógł z nim zerwać i lecieć i pędzić i roztrącać po drodze...

Bujne, piękne życie — mówił pulchny, tak głupio zadowolony ze siebie radca we fraku, — bujne, piękne...

— Czy ja... żyłem? — wyrzekł głośno.

I uczył, jak w odpowiedzi na to pytanie gorący rumieniec wstydu rozlał mu się po twarzy, zmarszczkami pokrytej... Uczucie bezmiernego, fizycznego niemal wstrętu wypełniło całą jego istotę. Wstrząsnął się z odrazą.

— Wstręt i ohyda, ohyda wszędzie, wszystko... Dwadzieścia pięć lat pracy, to uznanie, ta uczta dzisiejsza i mowy... A nadewszystko to moje życie...

Zerwał się szybko i począł znów chodzić po ciemnym pokoju.

— Głupstwo, — szeptał, — głupstwo, — i próbował się uśmiechnąć z pobłażliwym lekceważeniem dla tych uczuć, które, spóźnione, przyszły doń znowu teraz, — „przyszły bez powodu“ myślał. Ale uśmiechał się nieszczerze i wiedział, że zmusza się w myślach do kłamstwa. Bo to nie było głupstwo; to była burza przemocą przytłumionych a niezaspokojonych żądz, porywów, namiętności, pragnień, które niegdyś jak tabun stepowy w piersi mu tętniły, wołając orkanowym głosem: Do życia! do życia.

Przeląkł się tego.

— Stary już jestem, — mówił do siebie, — stary... nie czas na podobne, głupie, dziecinne... Zresztą — żyłem, żyłem tak, jak chciałem, bom

pracował, bo... a wszystko inne, to głupstwo, śmieszne marzenie...

Spojrzał na półkę, gdzie stały pięknie oprawne tomy jego dzieł.

— To moje życie i jestem zeń dumny, jestem zadowolony...

I znowu czuł, że kłamie przed sobą. Bo w istocie te książki mądre i piękne, z których jedno podziwiano w świecie, drugimi się zachwycano, — ta praca cała, to uznanie, sława, spokój, dobrobyt—to wszystko było mu niczem, wobec pragnienia tego czegoś nieokreślonego, nieznanego a przeczuwanego tylko, do czego się modlił, gdy był młody, o czym myślał z żalem, gdy się postarzał, co się w snach jego ognistymi zgłoskami na błękicie niebios pisało i czytało: Życie!

— Za wiele wina widocznie wypilem dzisiaj, — szepnął i podszedł ku oknu. Stał tak, oparty o framugę i czuł, że musi doprowadzić myśli do porządku.

— Bądźmy logiczni, — myślał. — Większa część pragnień naszych jest śmieszna, bo nie wiemy, czego pragniemy. Przedmiot należy ściśle określić... W młodym wieku są czasem pragnienia nieokreślne, pochodzące z nadmiaru sił...

fizycznych, tak jest! fizycznych przedewszyst-
kiem, — ale ja mam już lat pięćdziesiąt parę
i śmiesznym być nie chcę...

Snuł te myśli na przekór całej swej we-
wnętrznej istocie. Wiedział, że zmusza się do
sofisterji, ale usiłował wmówić w siebie, że tak
nie jest...

— A zatem, cóż to jest życie?...

Spojrzał znowu na półki. Tam leżała gru-
ba książka, która mu niegdyś wyrobiła sławę
i podbiła wszystkich młodych... Książka o ży-
ciu. Tam już zadał sobie to pytanie, rozklasy-
fikował je, rozwiązał, wyczerpał wszystkie od-
powiedzi. Tak mu się przynajmniej zdawało...
Chociaż właściwie... nie! — to nie jemu, to się
tak zdawało tym, co książkę czytali... On czuł
zawsze i w głębi duszy przyznawał się do tego,
że nie wie, co to jest owo życie, ów tajemniczy
bóg, którego obecność czuł wszędzie, ponad so-
bą, około siebie, tylko nie w sobie...

Gwałtownym wysiłkiem woli przerwał pa-
smo snujących się myśli. Za wszelką cenę pra-
gnął się uwolnić od myśli o życiu, tej dręczą-
cej zmory, która mu się aż nadto śmieszną wy-
dawała.

— Czyby się nie położyć spać?—błysło mu

w głowie, ale w tej samej chwili uczuł, że toby
było jeszcze gorzej. Będzie leżał, — bo wie, że
nie zaśnie, — i będzie myślał w dalszym ciągu
o tej dziwnej rzeczy, której nazwać nawet nie
umiał.

— Życie... cóż mówi ten wyraz? — myślał
znowu pomimowoli,—życie... przemiana nieorga-
nicznej materji w organiczną, zawiązywanie pe-
wnych syntez... Ach! jakże to wszystko głupie
i płytkie! — A jednak jest poza tem głębia jakaś!
w tem pojęciu tkwi coś nieuchwytnego, co jest
jego treścią istotną...

Wstrząsnął się, podszedł do biurka i zapalił
świecę.

— To do niczego nie prowadzi, — myślał,
rzucając się w fotel,—męczę mnie tylko. Trze-
ba się otrząsnąć, zająć czemś...

Wyciągnął rękę i wziął książkę, która otwarta
leżała na biurku. Była to ewangelja silnych,
książka dla wszystkich i nikogo. Prze-
glądał ją właśnie wczoraj i pozostawił tak otwar-
tą. Pisał artykuł dla jednego z czasopism nau-
kowych o jej autorze, w którym tonem nieskoń-
czonej wyższości dowodził, że jest on jednym
z tych chorobliwych szaleńców, co własnych sił
nie rozumieją, a przeto nie wiedzą, czego chcą...

Wczoraj nie zdawał sobie sprawy z tego, że to on sam słów książki nie rozumie, a raczej rozumieć nie chce, broni się nieświadomie ze wszystkich sił przeciw ich zrozumieniu, gdyż to by go wytrąciło z utartej kolei, w którą z takim trudem błędne i gorące niegdyś myśli swe wcisnął...

Teraz trzymał książkę w ręku i patrzył uporczywie na otwartą stronicę... Ale myśl jego była gdzieindziej i długo nie mógł liter połączyć w wyrazy, wyrazów w zdania... Nareszcie powoli, powoli, gdzieś głęboko w duszy zaczęły mu dźwięczeć słowa, z kart książki oderwane, rytmiczne, świecące, tańczące, żywe...

„Niedawno w oczy patrzyłem tve, o Życiel; złoto błyszczało w twych źrenic nocy, — ucichło serce we mnie z rozkoszy:

— złociste czołno widziałem błyszczące na mrocznych wodach, niknące, tonące, znowu wstające, złociste czołno rozkołysane...”

A oto on klęczy na wybrzeżu, wężkiem jak ostrze noża, zasypańcem żwirem czarnym, twardym, wżerającym się w nagie kolana... Serce w nim nie ucichło z rozkoszy, lecz krzyczy z bólu strasznego i tęsknoty i wyciąga ręce, wyciąga z tak strasznym wysiłkiem, że zda się, iż jeszcze

jeden okrzyk, jeden ruch jeszcze, a oderwą się od ramion i pójdą, wewnętrzną jakąś mocą uniesione, nad to morze, ku temu czołnu, co świeci i błyska coraz już dalej...

Kolana mu wrosły w piasek i powoli kamienieją, czuje, jak zamienia się cały w bryłę ołowiu, krzyku już z piersi wydobyć nie może, tylko ręce wyciągnięte drżą i rwą się od ciała nad to ruchliwe morze, tam ku tej gwieździe.

A morze faluje, ciągle faluje, cicho bez łoskotu, z pośpiechem coraz większym. To już nie wiatr je trąca, to już ono samo, jak żywa istota, wydyma się i gniew i rusza i wiję około tego złocistego czołna w oddali...

I w cichem dotychczas falowaniu morza słychać pomruk głęboki, dreszczem przejmujący, jakby skały na dnie mówiły:

„Oto złociste czołno przed tobą, oto w bezkresy życie odpływa...”

Wstrząsnął się gwałtownie i oprzytomniał...

Świece na biurku chwiały płomieniem i topiły się coraz więcej; długie, niewyraźne cienie przesuwają się szybko falistymi ruchami po miękkim dywanie, po ścianach, półkach z książkami i oszklonych szafach. Nogi mu ścierpły, na krzyż założone.

Musi być już późno, pomyślał i uniósł się nieco, aby spojrzeć na zegar, ale w tej chwili osunął się znowu na fotel. Co zależy na godzinie? Wszak tyle ich już zmarnował i bezpowrotnie.

Patrzył przed siebie, na ulubione sprzęty, które go otaczały, na rzadkie i drogie dzieła sztuki, na książki, które latami całemi z zapalem i miłością gromadził — i wszystko wydawało mu się niezmiernie obcem, błahem i wstrętnem... Skąd on się tu wziął i po co tu siedzi? — a nade wszystko: czy to możliwe, że on tu spędził połowę życia, tu w tym pokoju, zajęty pracą — ach! jak mizerną, marną, nic nie znaczącą pracą! Po co? dla kogo? dla czego? — Pracował dla ludzi, dla świata, aby pouczać, podnosić, zachwycać...? Wszakże on sam wie najlepiej, że to kłamstwo, bezczelne, ohydne kłamstwo, które tak długo sobie powtarzał, że gotówby wnet w nie uwierzyć. W istocie ci ludzie, ten cały świat, co to jest? To go nic nie obchodzi, to nie obchodziło go nigdy! Jedyną rzeczą, wartość dlań mającą, to on sam, życie! — I rwał się, targał, oh! jak się targał, aż wreszcie przekonał się, że jest za słaby, aby żyć dla siebie, to jest żyć jednym słowem, i wtedy począł

żyć dla innych, dla świata, dla ludzi, to jest pracować... A! jakże to wszystko marnie! jakże on sam jest marny...

Przymknął oczy i zdawało mu się znowu, że morze ze złocistym czołnem na grzbiecie faluje przed nim i on głos znowu słyszy:

— Odpływa złota łódź rozkołysana, odpływa po falach czarnego morza w kraje, których nigdy nie ujrzysz:

tam, gdzie po stepach, spalonych słońcem, tabuny dzikich rumaków grzmia kopytami i trątuja stare mogiły;

tam, gdzie po pustyniach chodzi wichur gojący i w rozżarzonych piaskach z chychotem się tarza;

tam, gdzie się góry wzbijają w niebo i głośnym rykiem śmiechu odpowiadają na gniew piorunów;

tam, gdzie są w borach stuletnie dęby i świerki dumne pod całunem śniegu;

tam, kędy palmy wieją, jak ptaki, zielonemi skrzydły, a w cieniu ich przeciągają się leniwe, do węzów podobne ciała odalisek;

tam, gdzie wulkany słupami ognia mówią do błękitów i ziemi, która drży pod brzemieniem ich słów płomiennych;

tam, gdzie jest Życiel! — —

Tak, tam jest życie!—a tu?...

Wstał i zatoczył się jak pijany. Straszne, dławiące przerażenie ścisnęło go za pierś;

Tu—śmierć. Powolne umieranie bez celu, bez walki, nawet bez bólu.

Zdawało mu się, że chciałby krzyczeć na lata swe ubiegłe, na zmarnowane siły, na nierozumne porywy i szale, z których śmiał się wczoraj, na młodzieńcze marzenia bezowocne, których wczoraj się wstydził, na przeszłość całą, aby wracała, aby...

Krzyk uwiązł mu w gardle: wszak to na próżno!

Z wyrazem najwyższego zwątpienia opadł na fotel. Życie życie! brzmiało mu w uszach.

I jeszcze raz, z całą okropną, bezlitosną przytomnością, ogarniając jednym rzutem myśli wszystkie swe lata ubiegłe, płodne i dobrej pracy poświęcone w przekonaniu innych, a tak strasznie zmarnowane w jego własnym przekonaniu, — z całą świadomością i szczerością zapytał:

— Czy ja żyłem?...

Gdzie to wulkaniczne wyładowanie sił, które

z posad ziemię rusza, lub przynajmniej wierzyć każe, iż ją poruszy?

Gdzie ta pierwotna potęga uczucia, przez którą w jednej chwili całą wieczność rozkoszy lub bólu się przeżywa?

Gdzie jest ta wiara, która pozwala się chępieć z błędów nawet i upadków?

Gdzie są wzloty, gdzie upadki, gdzie życie?

Rozbił je, rozdrobnił na tysiące chwil, godzin, małych rozkoszy, codziennych bólów, dzieł przemijających, czynów niepłodnych; rozbił, zniweczył siebie samego, a w zamian zyskał—uznanie.

A prawda! i jeszcze jedno: równowagę!

Za cenę życia...

Schylił głowę jeszcze niżej i z ponurą uporczywością, jak człowiek, który strwoniwszy przez nieopatrzność lekkomyślność cały majątek, jeszcze raz przegląda wszystkie skrytki i kieszenie, czy mu gdzie grosz nie pozostał, zaczął przebiegać myślą dzień po dniu, rok po roku, całe swoje życie. Szukał w nim godzin, w których czuł święty dreszcz namiętności i siły, o którychby dziś mógł powiedzieć, że nie były stracone. Całe lata pracy, z których dotychczas był dumny, dnie cichego zadowolenia, o których dotychczas myślał ze słodyczą, wyrzucał z pamięci, jako

rzeczy błahe i marne. Zato drobne wypadki, do których nikt nie przywiązuje wagi, zapomniane porywy młodzieńcze, szaleństwa, chwile obłądu i chwile bólu wielkiego, upadki i namiętności, których świat się wstydzi, stawały mu żywo przed oczyma i rozkoszował się teraz wspomnieniem tych chwil, pieścił się niemi, bo niegdyś czuł w nich, że żyje.

Przypomniawszy sobie dziecinne lata, pełne tajemniczych przeczuć i marzeń dumniejszych, niż marzenia najdumniejszego zdobywcy świata u szczytu potęgi i ciągłą, uporczywą walkę otoczenia z tą bujną naturą dziecka...

I pierwsze, bujne wybuchy chłopięce, które rozsadzały jeszcze te więzy, jakie mu na ręce i duszę nakładano, — wybryki, przez wszystkich karcone, których nawet on sam wówczas wstydić się usiłował, poczynając już wierzyć, że inni mają słuszość, nie on, nie on...

A potem?... Jeszcze marzeń kilka młodzieńczych, kilka szalów nieszkodliwych i niewielkich—i życie jego poczęło płynąć równem, spokojnem korytem. A jeśli czasem jeszcze coś tam w głębi duszy jego zadrgało, to sam tłumił z pośpiechem i lękiem niepotrzebne i niebezpieczne iskry... Zaczęła się dla niego ta uporczywa

i gnuśna walka—nie z życiem, lecz z żądzą życia. Później już i walki nie było. Stał się statecznym człowiekiem i zdolnym literatem. Powodzenie mu się uśmiechało. Nie miał nie-szczęść ani obłądnych radości, — wszystko szło zwykłym, utartym trybem. Mała miłość i małżeństwo szczęśliwe, kilka podróży, tak zwana sława...

Ach! i jeszcze jedno! Tak, to była rzecz straszna... Śmierć żony... Przywiązał się do niej, zżył się z nią i nagle ten grom! To była ostatnia chwila, kiedy czuł, że żyje, czuł przez ból i rozpacz, która nim targała...

Potem już nic...

I to ma być wszystko? To jest cała treść życia? Te kilka marnych okrucich namiętności, szalu lub bólu? Ludzie mu zazdroszczą, cha, cha! ludzie mu zazdroszczą spokojnego, szczęśliwego a urozmaiconego życia! Cha, cha, cha!

Śmiał się bolesnym, spazmatycznym śmiechem.

O! jakże on zazdrości wszystkim szaleńcom, zmarnowanym, nieszczęśliwym, nad którymi świat się lituje. Jakże zazdrości wszystkim, co żyją:

którzy są niewolnikami wielkich pragnień i namiętności i czują w piersiach huczący orkan życia;

k którzy wierzą w rzeczy nieistniejące i niewykonalne i idą dumni na stos za tę swoją wiarę;

k którzy podpierają barkami góry, aby je dźwignąć i ginać pod gruzami skał;

k którzy zmiażdżeni kołem losu podnoszą pięść bluźnierczą ku niebu;

k którzy cierpią, szaleją, buntują się, walczą!

O! cóżby on dał za jedną godzinę, jedną chwilę wielkiej wiary, wielkiej miłości, wielkiego zwycięstwa, bodaj wielkiego bólu lub pogromu! Ale on całe życie pracował—nieświadomie—nad tem, aby chwil takich nie mieć — i jest za to szczęśliwy.

Cha! cha! cha! Szczęście! najohydniejsze, najstarsze kłamstwo ludzkości! Majak i fałszywe bóstwo, do którego się modlą ci, co są za słabi, aby się modlić — życiu!

Straszny bunt wstrząsnął najtajniejszą głębią jego duszy: jakim prawem wypenił ze siebie wszystko, co w nim było siłą i mocą, jakim prawem zapomniał o sobie, aby żyć dla innych i tak nikczemnie się zmarnił! Gdyby spłonąć w jakimś poświęceniu wielkiem i doznać rozkoszy ofiary,—ale nie tak marnie, tak marnie...

Wyciągnął ręce i głosem, w którym brzmiało szaleństwo, począł wołać:

— O, życie! bóstwo silnych! dlaczego odchodzisz ode mnie! —

I ogromne pragnienie, bezmierna tęsknota za tem czemś nieznanem, co jest większe niż szczęście, potężniejsze niż Bóg, świętsze niż wszystkie świętości świata, rozpierała mu piersi, targane wewnętrznem łkaniem.

I zdało mu się, że widzi tajemniczy, olbrzymi orszak Życia. Tysiące szaleńców, półnagich, ochrypłych od krzyku, zlanych potem wysiłku, biczem losu smaganych, ale z płomieniem w oczach, burzą w piersi, wiarą w sercu ciągną rydwan potworny po ziemi, setkami tysięcy ciał zasłanej. Koła rydwanu ciężkie, ostrymi guzami najeżone, całe we krwi, grzęzną w tem żywym mrowisku. Obracają się zwolna, ale z nieubłaganą, fatalną siłą i miażdżą ludzi, którzy się dobrowolnie pod nie rzucili, i ludzi, których przemocą tu przywleczono... Z szaleńcami okrzykami ciągnących miesza się potworny chór jęków, przekleństw, modlitw... Trzeszczą kości łamane, chlupią kałuże krwi, a nad tem ciągły, nieustanny okrzyk szaleńców: *Evoë vita!*

I pędzą, idą na oślep, przez góry, lasy i doliny. Czasem który się potknie i krzyk mu w gardle zamrze i nim się podniesie, już koła

rydwanu przechodzą po nim i miażdżą i idą dalej...

A na rydwanie — Życie, sfinks tajemniczy, nieubłagany, bóstwo z zasłoniętą twarzą... Tysiące rąk się wznosi ku niemu, tysiące modlitw, przekleństw i krzyków, cała burza, huragan cały zmieszanych, bezładnych, rozpaczliwych i tryumfalnych głosów; ale sfinks milczy niewzruszony. Tylko przez zasłonę błyszczą oczy... oczy...

A tam za nim na rydwanie kilku z biczami w rękę, kilku śmiejących się, tryumfalnych bogów ziemi! Różami uwieńczyli skronie, błyskawice pozapalali nad swemi czołami! Dumnem okiem patrzą w przyszłość, dokąd ich rydwan wiezie... W kraj dzieci swoich...

A czasem śmigają biczami i wtedy Życie, sfinks, bóstwo nieubłagane u stóp im się łasi... i skomli... Oni odgadli jego zagadkę...

Wstrząsnął się cały wobec tej wizji.

O! być jednym z tych panów życia, przez dzień, godzinę, chwilę! Być jednym z tych szaleńców, co rydwan jego ciągną!—bodaj jednym z tych, co giną tam pod kołami, zgnieceni brutalnie!

O, jedno mgnienie oka wielkiej mocy, wielkiego szału, lub bólu ogromnego!

Ale dla niego nic... nic... On jest słaby... Życie nim pogardziło! Nie miał siły wdrzeć się na jego rydwan, a ono przeszło mimo niego z olbrzymim, straszliwym tryumfem, w całej promiennej grozie, nie obejrzawszy się nań nawet. Nie wprzęgło go do swego rydwana, nie zmiażdżyło nawet kołami, przeszło tylko i minęło go pogardliwie.

Upadł twarzą na biurko i siwa, błogosławieństwem i sławą otoczona głowa trzęsła mu się w okropnym, ohydny, beznadziejnym płaczu.

ROZMOWA Z DJABŁEM

1901.

Jeden z moich znajomych powrócił był właśnie z wystawy paryskiej. Mieliśmy ją zwiedzić razem, tymczasem jednak różne okoliczności złożyły się na to, że ja pozostałem w domu. Z tem większą więc niecierpliwością wyglądałem jego powrotu; miał mi opowiedzieć o tem wszystkim, co tam widział, co mnie obchodziło, a czego własnymi oczyma widzieć nie mogłem. Przyjechał rozpromieniony, zachwycony, wprost upojony wystawą, miastem, światem. Witając się ze mną, wołał już:

— Żałuj, żałuj, że nie byłeś i nie widziałeś! A takie rzeczy raz się tylko w życiu widzi!

— Więc cóż widziałeś? — zapytałem.

— Co? wspaniałości! Wielki tryumf cywilizacji, tryumf ducha ludzkiego nad martwą przyrodą. Ludzkość widziałem!

Sam nie jestem skłonny do wypowiedzania głośno zachwytów i może dlatego rażą mnie nie-

mile, gdy je słyszę w ustach innych. To pewna, że wykrzykniki mego znajomego wprawiły mnie w najgorszy humor. Obudził się we mnie sceptyczny djablik przekory i już mi nie dał spokoju. Zacząłem przekonywać przyjaciela, że wszystko, co powiedział, nie ma zgoła sensu. Przede wszystkim, mówiłem, cywilizacja, o ile będziemy przez nią rozumieć pewne realne objawy życia i współżycia ludzi, jest wynikiem naturalnego rozwoju, niema więc co mówić o tryumfach, jakie odnosi, zwłaszcza, że nie można jej przeciwstawiać tak absolutnie temu rozwojowi. Zauważyłem następnie nieco szyderczo, że duch ludzki nie jest niczem różnym od tak zwanej „martwej natury“, która ponadto jest żywa, nie martwa; a wreszcie napadłem na zwrot o ludzkości, użyty przez mego znajomego.

— Widziałeś ludzkość? — mówiłem, — co to jest ludzkość? Wszak tego nie można widzieć, bo tego niema! Nie można widzieć nawet dzieł ludzkości, bo ich niema! Jest tylko człowiek i są dzieła człowieka! Gdy mówisz: ludzkość, to tak, jakbyś powiedział: las. Pojęcie zbiorowe, któremu w rzeczywistości nic nie odpowiada, gdyż to, co tem pojęciem oznaczasz, nie jest organizmem, a tylko organizmy jako całość od-

dzielna istnieją! Każdy kamień, każda bryła, którą weźmiesz w rękę, jest więcej organiczną całością, niż ludzkość, bo tu wszystkie części wiąże pewna spójność, a więc oddziałują wszystkie na siebie wzajemnie! O ludzkości nie można nawet tego powiedzieć! Są grupy ludzi, powiązane wspólnymi interesami lub celami i mogące przeto od biedy za organizm, za rzecz istniejącą uchodzić, ale ludzkość cała nie jest niczem związana...

Mówiłem jeszcze długo na ten temat, czerpiąc argumenty, gdy mi już zabrakło własnych, ze Stirnera, Nietzschego, a nawet ze średniewiecznych nominalistów.

Mój znajomy słuchał—naprzód zdziwiony—tego potoku słów, potem zaczął się uśmiechać, a w końcu rozgniewał się.

— A! daj mi spokój z temi finezjami logicznymi, a raczej nielogicznymi, jak jabym je nazywał! Nie na nudną dysputę przyszedłem do ciebie; ale kiedyś mię wyzwiał, to wiedz-że, że to ty nie masz słuszności w tem, co mówisz! Bo zważ tylko...

I zaczął dowodzić, że nie mam ani krztu słuszności.

Cywilizacja, mówił, jest wprawdzie, jako dzie-

jowa konieczność, wynikiem naturalnego rozwoju, ale różni się od niego zasadniczo tem, że jest rozwojem świadomym celu i środków. Tryumf cywilizacji, to przewaga świadomego tworzenia człowieka nad nieświadomem tworzeniem przyrody. Duch ludzki, to właśnie wyraz owej świadomości. Przyroda cała żyje, zapewne, ale mimo to w porównaniu z duchem ludzkim jest martwa, bodaj dlatego, że potrzebuje tego ducha, aby się w nim uświadomić i o własnem życiu dowiedzieć.

A już najsroźsze gromy spadły na mnie za powątpiewanie o realnem istnieniu ludzkości. Na dobitek w ciągu rozmowy nadeszło kilku znajomych i wszyscy, dowiedziawszy się o herezjach jakie wygadywałem, poczęli razem na mnie nastawać. Dowiedziałem się w bardzo krótkim czasie i z wielu ust naraz, że ludzkość jest rzeczą znacznie rzeczywistszą, niż człowiek, bo człowiek przemija a ludzkość trwa wiecznie. (Nie dano mi nawet tyle czasu, bym do owego „wiecznie“ mógł dorzucić: póki się nie skończy). Ludzkość istnieje niewątpliwie jako organizm, bez porównania nawet doskonalszy, niż wiele organizmów, które się znachodzi w przyrodzie, boć przecież mówiąc „ludzkość“, rozumie każdy

przez ten wyraz nie ogół wszystkich obecnie na kuli ziemskiej żyjących ludzi, lecz społeczeństwo ludzi cywilizowanych, które jest bezsprzecznie powiązane organicznie wspólnością interesów, celów, ideałów i odznacza się nadto właściwym organizmom podziałem funkcji. Ludzkość, to nie tylko ci żyjący, lecz także i ci dawno pomarli, których umysłowym dobytkiem po dziś dzień żyjemy.—Przyszedłszy z trudem do głosu, zauważyłem skromnie, że w takim razie owa „ludzkość“ jest w istocie tylko ideją, pojęciem oderwanem, ale zakrzyczano mnie natychmiast, dowodząc zgodnie, że tak nie jest, gdyż duchowy dobytek minionych wieków żyje w dzisiejszem cywilizowanym społeczeństwie całkiem realnie, podobnie jak w każdym organizmie żyje biologiczny dorobek poprzednich stadjów rozwoju. Ktoś jeszcze dodał, że wyrażenie o należeniu zmarłych pokoleń do „ludzkości“ jest obrazową przenośną i nie może być braniem dosłownie.

Dalej jęto mnie nauczać, że życie jednego człowieka nie ma wcale wartości, a zyskuje ją dopiero przez relacje do życia innych ludzi (przytoczono mi mnóstwo dowodów, których dobrze nie rozumiałem), a zatem ludzkość jest rzeczą

daleko ważniejszą dla człowieka, niż człowiek dla ludzkości, ba! nawet człowiek sam dla siebie. Daremnie się broniłem, wołając, że—przynajmniej co do siebie, uważam życie indywidualne wprost za jedyną rzecz wartość mającą, wszystko zaś inne cenię tylko o tyle, o ile dopomaga rozwinąć się temu życiu. Nazwano mnie za to jednostką antyspołeczną (czemu zresztą nie przeczyłem) i dowodzono w dalszym ciągu płytkości i zdrożności wszystkich moich teorii. Gdy powiedziałem, że przecież człowiek jest twórczą istotą, nie ludzkość, przekonano mnie natychmiast, że rzecz ma się odwrotnie: Człowiek nic nie tworzy, człowiek sam jest bezsilny i nieplodny. Najlepsze myśli w nim są wynikiem jego styczności z innymi ludźmi, są zatem dziełem ludzkości, nie człowieka. A cóż dopiero mówić o realnem, praktycznem tworzeniu!—tutaj jeden człowiek jest już zgoła niczem! A to tworzenie jest przecież donioślejsze od jałowego tworzenia w świecie ducha! Chciałem na to odpowiedzieć, że przedewszystkiem dla mnie to „jałowe“ tworzenie w świecie ducha jest daleko ważniejsze od wszystkiego innego, choćby już tylko dlatego, że ono właśnie jest alfą i omegą owej zachwalanej cywilizacji; a na-

stępnie wyjaśnić, że gdy mówię „człowiek“, to mam na myśli nie tę odrobinę kości i mięsa, którą się oczyma widzi, lecz to systematyczne sprzężenie ogromnej części bytu, które w istocie stanowi ducha ludzkiego i samo przez się jest już tworzeniem; — chciałem wszystko to powiedzieć, ale brakło mi odwagi. Słuchałem więc tylko, co mówili moi znajomi, poznający po moim milczeniu, że się czuję zwyciężonym.

Istotnie za pół godziny byłem zwyciężony doszczętnie. Niczem już nie przeczyłem, co najwyżej odważyłem się tu i ówdzie wtrącić pytanie. Wkrótce jednak zaprzestałem i tego, spostrzegłszy, że to gniewa moich nauczycieli.

Znajomi moi z teraźniejszością uwinęli się dosyć prędko. Za nadejściem wieczoru rozmowa zwróciła się ku przyszłości. Mówiono zatem o szczęściu, które oczekuje ludzkość w przyszłości i ominąć jej nie może. Muszę przyznać, że w sposobie malowania tego szczęścia i w wyborze środków, wiodących doń jakoby niewątpliwie, nie spostrzegłem już tej zadziwiającej zgodności pomiędzy moimi przyjaciółmi, która w poprzedniej rozmowie zmusiła mnie do złożenia broni przed nimi. Quot capita, tot census. Dziwiłem się nawet trochę, jak je-

dna i ta sama ludzkość może przez tyle cywilizowanych ust wypowiadać tak różne poglądy. Nie zapomniałem bowiem nauki, że poszczególni ludzie to nawet nie różne objawy, upostaciowania na przykład jakiejś jednej Siły, — nie! to tylko bezwolne i bierne narzędzia wszechwładnej „ludzkości“. Więc jeden z nich mówił, że przyszłości szczęście ludzkości (te dwa pojęcie były nierozdzielne) na tem polega, by wszyscy ludzie czuli się sobie równymi, stali na tym samym stopniu wykształcenia i inteligencji, mieli jednakowe potrzeby i jednakowe cele i zgodnie zawsze działali. Wtedy będzie raj. Drugi nazwał to śmieszną i niedorzeczną mżonką; on był przekonany, że podstawą szczęścia jest uregulowanie stosunków ekonomicznych, polegające na zniesieniu prywatnej własności, i sprawiedliwy podział pracy. Przyszłość to urzeczywistni,—wtedy będzie raj. Trzeci nie chciał się zgodzić na takie stawianie sprawy, zdaniem jego zbyt ciasne i materialne, twierdząc, że do szczęścia ludzie dojdą jedynie przez oczyszczenie i wyidealizowanie swej natury. Gdy na świecie zapanuje sprawiedliwość i miłość—wtedy będzie raj. Inni moi znajomi — a kilku ich jeszcze było—mówili znów co innego. Zapomnieli teraz

o mnie i sprzeczekali się między sobą. Korzystając z tego zamieszania i niezgody moich przeciwników, zauważyłem, że bynajmniej nie widzę konieczności, iżby rozwój, jaki społeczeństwo ludzkie przebywa, miał je wieść wprost do szczęścia; owszem wszystko, co spostrzegam, zdaje się przeciw temu raczej przemawiać. To odezwanie się moje pogodziło ich na nowo i znów przez jakiś czas pouczali mnie tak przekonująco, że wreszcie musiałem ulec.

Gdy się wieczorem wszyscy rozeszli, zacząłem sam myśleć o przyszłości i szczęściu ludzkości. Piękne rozmyślanie mącił mi tylko ciągle złowrogi cień człowieka, który mi się wysuwał wciąż na pierwszy plan. Nie mogłem jakoś interesów jego pogodzić z interesami ludzkości, która, nie wiem dlaczego, przedstawiała mi się jako potwór zachłanny i niesyty. Im sobie ludzkość szczęśliwszą wyobrażałem, tem mi się więcej pożałowania godnym wydawał los człowieka; gdy zaś myślałem o szczęściu, w tej chwili ludzkość i jej pomyślny rozwój traciłem z oczu. Myśli te tak mię znużyły, iż, aby się od nich uwolnić, poszedłem spać wcześniej, niż zazwyczaj. Sen mój jednak był tylko dalszym ciągiem rozmyślań na jawie. Zdaje mi się nawet, że

był od owych rozmyślań ciekawszy i dlatego go tu opowiem.

Śniło mi się, że spotkał jakąś mądrą i chytrą istotę, którą od razu zacząłem podejrzewać, że jest djabełem we własnej osobie. Djabły mogą się śnić nawet najskeptyczniejszym filozofom, a coś dopiero mnie, któremu fantazja poetycka zawsze maści ścisłość rozumowań. Zresztą człowiek nie jest odpowiedzialny za swoje sny.

Otóż ów diabeł zbliżył się do mnie i rzekł przyjaźnie:

— Cieszę się bardzo, że rozmyślasz. Cieszę się bardzo, że rozmyślasz nad stosunkiem człowieka do ludzkości. Gdyby wszyscy to robili, moja reputacja na świecie poprawiłaby się wkrótce i znacznie.

Przyznam się, że nie rozumiałem, co chciał przez to wyrazić, pochwyciłem jednakowoż skwapliwie sposobność dowiedzenia się czegoś, jako że djabły uchodzą wśród ludzi za istoty daleko od nich mądrzejsze, choć złośliwe. Zbliżyłem się tedy do niego uprzejmie i powiedziałem, że rad będę niezmiernie, jeżeli zechce sprowadzić me myśli na właściwe tory, gdyż nie mogę sam dojść do rozwiązania. Oświadczył goto-

wość ku temu, zastrzegł tylko z góry, że wątpi, czy i z jego pomocą uda mi się znaleźć rozwiązanie.

— Ja tylko drogę wskazuje, — mówił, — ale sam rozwiązań nie daję nigdy. Gdybym to czynił, mógłbym łatwo utracić sławę „mądrygo“, którą sobie cenię wysoko, a nadto straciłbym niewątpliwie całe mnóstwo wiernie mi dzisiaj oddanych... Zato stawiam czasem zagadnienia. Czas jest ich wielkim i generalnym rozwiązywaczem.

Jak się pokazało, treść mej rozmowy poprzedniej a nawet myśli moje znał tak dokładnie, jak gdyby był wszystko słyszał. Zaczęliśmy rozmawiać, przechadzając się zwolna.

— Przedewszystkiem, — rzekł, — wiedz, że znajomi twoi w wielu sprawach więcej mieli słuszności od ciebie. Nie można przeczyć, jakieś to ty czynił, istnieniu ludzkości, jako żywego i rozwijającego się organizmu. Twoi znajomi dawali ci bardzo rozumne dowody na to i dobrze, że im uwierzyłeś. To, że owa ludzkość, zorganizowana jako całość, nie wszystkie osobniki rodzaju ludzkiego obejmuje, jest rzeczą podrzędną. W każdym razie nie będzie to złe, jeśli sobie określimy dokładnie, co to jest owa

ludzkość. Lubię ściśle określanie pojęć, którymi się posługuję. Przytem lubię sokratyczną metodę. Będę ci tedy zadawał pytania, a ty staraj się odpowiadać.

— Cóż to jest ludzkość?

Zmuszony do zdefiniowania dość niejasnego dla mnie pojęcia, powiedziałem, przypominając sobie, co mówili moi znajomi, że będzie to chyba zbiorowisko ludzi, oddziaływujących wzajemnie na siebie i dążących do jednego celu.

Djabeł się uśmiechnął:

— Toby było tylko „zbiorowisko ludzi“, ale jeszcze nie ludzkość, jeszcze nie organizm. Ja ci pomogę: ludzkość, to jest idea, która się wciela.

Nie mogłem sobie dać rady, zmieszany do reszty wskazówką, która mi miała pomóc. Wtedy on sam zaczął mówić:

— Każdy organizm jest poniekąd ideją, która się wciela albo się już wcieliła. Bo organizm to synteza, a synteza to idea właśnie. Dopóki synteza nie jest urzeczywistniona a istnieje tylko jako możliwość, ugruntowana w naturze rzeczy, mających się kiedyś złożyć na nią, jest czystą ideją i niczem więcej. W formie idei istnieje już dziś wszystko to, co się ma stać

dopiero aż po skończeniu czasów! — ba, to już istniało w formie idei wtedy, gdy nic jeszcze nie było, prócz kosmicznego eteru, bo w tym eterze była już zawarta możliwość wszystkich późniejszych zjawisk. Dlatego dobrze jest, jeśli mówiąc o jakimś organizmie, weźmiemy naprzód pod uwagę jego ideję. To ułatwia zrozumienie wielu rzeczy...

— Pozwól, — zawołałem, — widzę, że jesteś przeciwnikiem indukcji, — a przecież to metoda dobra.

— Bynajmniej, — odrzekł, — nie myślę jej wartości przeczyć. Tylko za pomocą indukcji jesteśmy zdolni odtworzyć sobie, odnaleźć ideje organizmów; ale indukcja nie wystarcza. Dzięki indukcji przedmiot badania poznajemy, gdy go jednak chcemy zrozumieć, musimy dedukować funkcje jego z ogólnej, indukcją znalezionej zasady. A wszak ty pragniesz istotę ludzkości zrozumieć, czy nie tak?

Przyświadczyłem.

— Otóż, — mówił dalej, — zasadniczą ideją organizmu wogóle jest zupełne podporządkowanie części tworzących wobec całości, która z nich powstaje. Zdolność rozwoju organizmu, celowość i podział funkcji — są tylko prostem na-

stępstwem tego stanu rzeczy. Póki cząstki istnieją oddzielnie dla siebie, choćby były nawet zewnętrznie połączone, mamy do czynienia nie z organizmem, lecz z konglomeratem, który ani rozwijać się nie może, ani nie jest celowy, ani też nie wykazuje podziału funkcji. Zasadniczy pęd do rozwoju, słowem życie, leży już w materjale, z którego świat jest zrobiony. To nawet stanowi istotę tego materiału. Z chwilą więc, gdy pewna ilość cząsteczek dzięki wzajemnemu wpływowi przemoże swą indywidualność, zaczyna się tem samem życie—już nie ich — lecz tego, co z nich powstało, słowem organizmu. Mógłbym ci tu odkryć ciekawe rzeczy, powiedzieć, jak wszystko przewycięża i niszczy siebie, aby wytworzyć coś nowego, — ale spieszo mi przejść do ludzkości, która od wielu wieków jest moją najulubieńszą myślą.

Przyznałem, że sam pragnę usłyszeć zastosowanie tej teorji do ludzkości, która mię w tej chwili najwięcej obchodzi. Mówił tedy dalej:

— To ogólna idea organizmów. Przytem każdy organizm ma swoją własną, istotę jego stanowiącą. Ta idea zależna jest w swej treści od stanu cząstek, które się na organizm złożyły. Gdy się jednak już zrealizuje, staje się

wszechwładną i nie łatwo się zmienia. Nowe, w organizm wchodzące cząstki muszą się pod nią podporządkowywać; według niej stają się nowe organizmy tego rodzaju. — Przypatrzmyż się teraz, jak się ludzkość stawała. Organizm to niezmiernie ciekawy bodaj z tego względu, że powstał z cząstek świadomych, z ludzi. To była trudność nie lada! Istota świadoma nie tak łatwo zrzeka się swej indywidualności. Czasem dziwię się nawet, że wobec tego ludzkość wogóle powstała. Ale to już wasza wina!

— Nasza wina?—więc ludzkość istotnie jest złem?

— Mój drogi, nie zapominaj, do kogo mówisz. Dla mnie niema rzeczy złych ani dobrych, są tylko konieczne. A jeśli mówię o dziwieniu się i o winie, to jest tylko głupie przyzwyczajenie. Zbyt wiele z ludźmi przestaję. A wierz mi, że to niegdyś mogło być zajmującym, ale dziś zaczyna być tylko nudnem. Ale do rzeczy. Ludzkość jest wynalazkiem bynajmniej nie tak starym, jak sądzą niektórzy, a dawne przedhistoryczne społeczeństwa, mimo sprzeczne pozory, były znacznie luźniejsze, niż dzisiaj. Byłem przy narodzinach ludzkości, tak jak byłem przy narodzeniu człowieka i świata. Otóż — pamię-

tam — ludzie... dzicy, jak wy dziś mówicie, stali się ze sobą, potrzebowali się wzajemnie do obrony i do pomocy. Tak się tworzyły pierwsze zbiorowiska. To nie były jeszcze organizmy. Każdy wносił do takiego społeczeństwa swą indywidualność, a jeśli się części praw swych zrzekał, jeśli przyjmował już na siebie obowiązki, to czynił to dobrowolnie, dla zyskania wzajemnej opieki lub pomocy. Gdy zechciał, każdej chwili mógł umowę czynem zerwać, z pałką w ręku praw swych dochodzić, obowiązków nie spełniać. Dziś jest całkiem inaczej. Dziś umowa nie jest dobrowolna i dziś naprawdę nikt jej zerwać nie zdoła. Słyszysz, co mówię?—nie zdoła! Dzisiaj kosztem waszych indywidualności powstała ludzkość — organizm!

— Ale jak doszło do tego!? — zawołałem.

— W bardzo prosty sposób. Ot, pewnego pięknego dnia pojawiła się w pierwotnym społeczeństwie jednostka o bardzo wybitnej indywidualności, człowiek gienjalny. Każdy człowiek przedstawia—a nadto tworzy z siebie—pewną ideję. Dotychczas ideje członków „społeczeństwa“ były prawie równej siły, to też wpływ ich wzajemny równoważył się. Z chwilą jednak powstania pierwszego gienjusza stan rzeczy się

zmienił. Jego ideja była silniejsza od innych i zaczęła zdobywać przewagę. Człowiek silny zapragnął mieć spokój i narzucił innym ideję sprawiedliwości; zapragnął władać i narzucił innym ideję posłuszeństwa. Do tego czasu, jeśli ludzie byli sprawiedliwi i posłuszni, to tylko dlatego, że im to pewne korzyści przynosiło; dlatego, że czuli, iż mogą być takimi. Ale człowiek silny wmówił w nich, że oni tacy być muszą. W chwili, gdy taka pierwsza ideja weszła w skład umysłu wszystkich ugrupowanych razem ludzi, zaczął się tworzyć społeczny organizm. Po pierwszym gienjuszu przyszli inni, wynaleźli nowe ideje i dodali je do pierwszej, przez następne pokolenie już odziedziczonej. Tak rosła powoli treść idei, która stanowi dzisiaj ludzkość. Coraz większa część treści umysłu ludzkiego stawała się wspólną i dominującą kosztem indywidualności ludzkiej, to jest tego, co każdy człowiek w swym umyśle posiadał na własność wyłączną. Ta ideja, zaledwie się zrodziła, od razu zaczęła się wcielać, to znaczy stosunki pomiędzy ludźmi od razu zaczęły się według niej kształtować. Człowiek coraz mniej był sobą, coraz więcej członkiem społeczeństwa, a następnie, gdy społeczeństwa poczęły się zlewać, członkiem ludzkości.

— Ależ to jest zadziwiające, — wtrąciłem, — a byłoby i zabawne, gdyby nie to, że jest smutne: iż stan taki sprowadzili ci, co byli najwięcej sobą, gienjusz—silni, jak ich nazywasz.

— A tak... to jest zabawne. W istocie każdy gienjusz pracuje nad tem, aby przyszłym gienjuszom przyjście i pracę—utrudnić. Wy mówicie wprawdzie inaczej, ale wy wiele głupstw mówicie.

— Tego nie rozumiem...

— Przecież to jasne. Każdy gienjusz, powiększając nowym dodatkiem treść idei, będącej niezmienną własnością wszystkich, stawia zaporę rozwojowi indywidualności. Bo zważ tylko, z ludźmi dzieje się to, co z każdym dzieckiem. Każde dziecko jest gienjalne, to znaczy twórcze. Dziecko miewa pomysły, o które u człowieka dojrzałego już trudno. Stała treść umysłu dziecka jest niewielka i nowy pomysł z łatwością ją przewycięża. (Gdyż zawsze nowa idea musi już istniejące przewyciężyć! inaczej nie jest nowa). U człowieka dojrzałego nie tak łatwo myśli nowa się zrodzi; ustalona treść umysłu przeszkadza jej wybuchowi. Tak jest i z ludźmi w wiekowym rozwoju. Gienjusz są jak gdyby nowymi pomysłami człowieczeństwa...

— Czyli ludzkości...

— Nie; to nie jest to samo. Gdy mówię: człowieczeństwo, mam na myśli naturę ludzką, *genus homo*... Ludzkość, jak widzisz już z tego, cośmy mówili, jest czemś zupełnie innem, jest czemś, co się z człowieczeństwa staje. Otóż im więcej gienjuszów już było, tem mniejsze prawdopodobieństwo, że ich więcej będzie. Przede wszystkim powstanie ich jest utrudnione, bo coraz mniejsza jest indywidualność ludzka, która spotęgowana tworzy gienjalność. Powtórę trudniej być gienjuszem. Więcej rzeczy trzeba przełamać, a tego dokonać może tylko idea bardzo nowa i ogromnie silna. A wreszcie coraz niebezpieczniejszy jest los gienjusza. Rzeczy przełamane mszczą się, a zemsta jest tem sroższa, im potężniejsze było to, co zostało przełamane. Od dawna mieliście zwyczaj krzyżowania waszych proroków. Co prawda, później w imię tych ukrzyżowanych krzyżujecie nowych—ale to już taki zwyczaj.

Urwał na chwilę i patrzył na mnie, rad widocznie z zakłopotania, w jakie mnie jego słowa wprawiały, a potem zaczął znów mówić:

— Otóż masz, jak się ludzkość stawiała! Każ-

dy gienjusz ją przewycięzał, a przewyciężywszy wzmacniał.

— Co za straszna ironja....

— Niema ironji; są jeno rzeczy naturalne i konieczne, które wam się tylko czasem wydają smutnemi. Ale i mnie się wiele smutnem wydaje, choć jestem mędrszy od was... Pomyśl, że świat podobnie się stawał, jak ludzkość, a ja tylko jeden nie poddałem się i zostałem poza światem... Jestem sam. Kochałem was i chciałem, żebyście się i wy nie poddali. W tym celu wzbudziłem w was świadomość. Ale trudno; i ja nie poradzę przeciw temu, co jest konieczne. Świadomość, miast przeszkadzać, pomogła utworzeniu się organizmu... Dziś prawie już niema ludzi, jest tylko ludzkość. Zostałem sam...

— Któż ty jesteś?—zapytałem zdziwiony.

— Ja?—ja jestem siłą odśrodkowa. Lecz dajmy temu pokój. Ty, który nie możesz zrozumieć istoty własnej, jakże chcesz, abyś moją zrozumiał!

Słyszac niechęć w jego głosie, zwróciłem rozmowę na dawne tory,

— Ludzkość tedy,—podjął znowu,—ma swą duszę i swe ciało, jak człowiek, jak każdy organizm. Jej duszą, ideją, są te wszystkie liczne

a niewzruszone pojęcia, odnoszące się przeważnie do porządku pomiędzy ludźmi, które wam już dzieckiem zaszczepiają w umysł. Ciało jej—to wszyscy ludzie, którzy te pojęcia mają, czczą je i podają im się, nieświadomie a czasem nawet wbrew woli...

— A ci, co im się poddają dobrowolnie i świadomie?—spytałem.

— Dobrowolnie i świadomie! na tysiąc wypadków — dziewięciuset dziewięćdziesięciu dziewięciu ludzi się tylko, że to czyni. A uważaj, że ten tysiąc jest już z pośród dziesiątek milionów wybrany!

— Ale przecież są tacy!—zawołałem,—owi tysiacczni. Co oni?

— To ostatni ludzie, rasa już wymierająca. Ale ja i z nich już nie mam pożytku. To są ludzie boży, nie moi.

I znów na chwilę przygnębiający jakiś nastrój zapanował wśród nas. Przekonałem się, że sprawy ludzi zarówno blisko obchodzą diabła, jak i mnie. Chciałem się jednak dowiedzieć czegoś więcej, począłem więc znów pytać:

— Powiedz mi, mistrzu (tak cię nazywam, bo mnie nauczasz, choć wyznawcą twoim nigdy nie byłem), powiedz mi, co zdziała świadomość

przy powstawaniu organizmu ludzkości i jaka dziś jej rola?

— Powinieneś to już być zrozumieć,—odpowiedział. Każda rzecz tem się sama przezwy-
cięża i pokonuje, co jest w niej najwyższe. Człowiek świadomością zabił się na ołtarz ca-
łopalenia dla ludzkości. Gdyby człowiek nie był istotą świadomą, ludzkość byłaby się tworzyła zupełnie tak samo, jak inne organizmy, przez proste wzajemne oddziaływanie jednostek na siebie. Ale świadomość stanęła tu na zawadzie, gdyż podtrzymywała wszelkimi siłami ludzką indywidualność. Dlatego potrzeba było dopiero gienjuszów, którzy swą spotęgowaną świadomością pokonali ją w innych ludziach, narzucając im to, co stworzyli sami. To był okropny podstęp przyrody, którego ja sam nie przewidziałem. Oszukano świadomość i haniebnie wyprowadzono w pole. Dziś jest podobna do małej ptaszy-
ny, która kukułcze jaja wysiaduje. Te pisklęta in-
truzy zajmują ją potem tak, że własnych dzieci wyżywić nie może. Dziś jest wzbogacona, o tak! niezmiernie wzbogacona, ale przeważna część tego, co w sobie mieści i czem świeci, nie jest jej własnym nabytkiem. A ona staje się coraz więcej zbyteczną. Wszakże ona jest na to, aby

tworzyła, a cóż wy tworzyć potrzebujecie? Ży-
jecie tem, co dla was stworzono, wy, stado
przeżuwaczów! Gdyby tak usunąć z umysłu każ-
dego z was wszystko, co jest obcym dobytkiem,
cóżby wam zostało? Strzępów parę i okruchów
niewartych wspomnienia!

— Pozwól!—wtrąciłem,—te okruchy i strzę-
py, jak je nazywasz, wzięte razem stanowią treść
znacznie większą od tego wszystkiego, co było
w umyśle owych sławionych przez ciebie ludzi—
przed powstaniem ludzkości.

— Zapewne, ale zważ: ta odrobina wasza ja-
ką ma przeciwwagę w tem, co nie jest wasze. Tam-
ci pierwotni ludzie umysł mieli ubogi, ale wszyst-
ko w nim było własne. Wy dzisiaj jesteście, jak
posiadacze wielkich fortun—zadłużonych. Tamci
mieli tylko zagony, ale nikt nie miał na nich wie-
rzytelności. Wy nie uwolnicie się już od długów...
chyba zrzekając się całkowicie tytułu własności.

— Więc tak się stać musiało?

— Tak jest. Takim już torem poszedł wasz
rozwój. Te długi to dziś wasz cały dorobek cy-
wilizacyjny, z którego tacy dumni jesteście. I ma-
cie słuszność. Bez nich bylibyście niczem, zu-
pełnie niczem. Takim już torem, powtarzam,
poszedł wasz rozwój. Może byłoby inaczej, gdyby...

— Gdyby—co? Jaka rada?

— Spóźniona. Dałem ją niegdyś waszym pierwszym rodzicom w raju, gdy ich „kusiłem“, aby zjedli z drzewa świadomości. Rzekłem im był wtedy: bądźcie jako bogowie! Ale to widocznie było nad ich siły. Zjedli z drzewa śmierci i dlatego umiera człowiek, aby żyła ludzkość. Wy przed sobą przyszłości już nie macie, wy ludzie; przyszłość należy dziś wyłącznie do ludzkości. Ludzkość będzie żyła, ludzkość będzie szczęśliwa. Człowiek spada już i spadnie wkrótce zupełnie do roli bezwolnego kółka w wielkiej maszynie... Ta maszyna będzie się rozwijała coraz pomyślniej, będzie pędziła coraz chyżej.

— Czyż nie będą wszyscy ludzie szczęśliwi, gdy szczęśliwa będzie ludzkość? wszakże oni ją składają... — odezwałem się nieśmiało, gdyż mówiłem rzecz, w którą sam nie wierzyłem.

Towarzysz mój roześmiał się:

— A tak, to zależy od tego, co szczęściem nazwiemy.

— Szczęście, to zadowolenie...

— Głupstwo! a co jest zadowolenie? czego zadowolenie?

Nie umiałem jakoś na razie odpowiedzieć. Wtedy on mówił:

— Ja wiem, co jest szczęście, ja, którym je utracił, ja, co byłem potęgą twórczą, a dzisiaj pozbawiony swego świata jestem tylko przeczeniem! Szczęście — to możliwość zużytkowania swej indywidualności, to wyrzucenie wszystkich sił na zewnątrz, to tworzenie, to życie! I wam o szczęściu mówić! Wy będziecie „szczęśliwi“ jako kółka maszyny, lecz nie jako samodzielne byty. O! jakże pogardy godne jest to wasze przyszłe szczęście! ileż cenniejsze mi jest moje dumne i samotne... nieszczęście... Czy chcesz wiedzieć, jak wasza przyszłość wygląda?

Istotnie, chciałem wiedzieć.

— Więc słuchaj,—rzekł.—Dzisiaj (a to „dzisiaj“ trwa już kilka wieków) szarpiecie się i nie znacie drogi ani wyjścia. To jest wiek nieszczęścia—mówicie. Rankiem tego długiego, mglistego dnia, który wzeszedł nad światem, jeszczeście mieli w ręku wielką potęgę: czyn. Teraz już i tego nie potraficie. Staliście się ludźmi papierowymi: krzyczycie strasznie po różnych książkach, wołacie, szukacie, a sami nie wiecie czego. Co gorsza, nie wiecie nawet, dlaczego. Ja ci powiem: to ostatnia walka o życie świadomej

indywidualności, która już zanika. Ludzkość was wchłania. Większa część duszy waszej nie jest już wasza. Nie jesteście zdolni do czynu, umiecie tylko pracować—gdyż ludzkość w was nie chce, abyście byli samodzielni, to jej szkodzi. Owszem, ona chce, byście jej byli użyteczni, dlatego pracujecie. Nie miewacie wielkich pomysłów, ale robicie zato wynalazki. Bo ludzkość tak chce; pomysł jest rzeczą nową, wynalazek tylko wyciągnięciem konsekwencji z tego, co jest. Wy już nawet nie tworzycie, wy tylko odtwarzacie i wynajdujecie! Wielkie, święte ognie tworzenia, sztukę i filozofję, wyście nazwali—jedną: odtworzeniem piękna, drugą: wynalezieniem prawdy, wy eunuchy, niezdolni spłodzić piękna ani prawdy! Ale wy się jeszcze bronicie, jeszcze pragniecie czynu, pomysłów, tworzenia! Służycie już ludzkości, a jeszcze chcecie żyć dla siebie! Stąd owe szarpanie, szukanie, niepokój, stąd wasze nieszczęście, stąd owe... książki papierowe, któremi oszukujecie się sami! Stoicie na rozdrożu, ale świadomość wasza już się przezwyciężyła i stacza się po pochyłości; nie bójcie się! będziecie wkrótce „szczęśliwi“! Wiesz, co jest waszą najbliższą przyszłością, waszym ideałem, ku któremu wy bezwiednie

zdążacie?—oto mrowisko, społeczeństwo doskonałe i szczęśliwe!

Oburzyła się we mnie ludzka duma na to porównanie i zacząłem dowodzić, że mrówkom nie upodobniają się nigdy ludzie, gdyż mają świadomość.

Djabeł wybuchnął śmiechem iście djabełskim.

— A skąd wiesz, że one nigdy świadomości nie miały, nim ją straciły, jako rzecz zbyt zbytnią? Owszem, wszystko za tem przemawia. Czy sądzisz, że bez współdziałania świadomości te robaczki dojśćby mogły do tak wysokiej „cywilizacji“? Czyż nie wydaje się wszystko w ich społeczeństwie wynalezionem, umówionem, postanowionem? Może miały świadomość i zwróciły ją ku dobru społecznemu, dobru ogólnemu, a gdy je wynalazły w najwyższej możliwej formie, straciły ją, gdyż nie miały z nią już co robić. Wszak wiesz, że organa nieużywane zanikają. Świadomość tam tylko ma wstępną drabinę nieskończonego rozwoju przed sobą, gdzie jest celem sama sobie, bo tam wciąż działa i wciąż się potęguje, tworząc. „Idź tedy do mrówki a ucz się mądrości, leniwcze!“—Patrzże na ludzi: myślą wszyscy o dobru społecz-

nem, nie dlatego, że tak chcą, lecz dlatego, że tak muszą, bo jak powiedziałem, większa w nich już jest dusza ludzkości, niż ich własna. Osobiste, tak zwane idealne pragnienia olbrzymiej waszej większości już zaspokojo. Gienjusz wasi wynaleźli dla was formy i formułki, stworzyli dla was niezliczone dogmaty, odpowiedzieli na pytania i zabronili pytań dalszych. Zmuszono was nawet do zrzeczenia się swobody czynienia źle i dobrze. Co macie czynić, mówi wam „kategoryczny imperatyw“ moralny, nie będący niczem innym, jak wołającą w was ludzkością. A większość was rada jest, że nie potrzebuje pytać, niepokoić się, szukać, tworzyć. Maluczko — jeszcze wieków kilkanaście, jeszcze kilka gienjuszów spóźnionych, rzadkich a ogromnych — i będziecie wszyscy „uspokojeni“. Nie będziecie mieć duszy własnej, będzie w was tylko dusza ludzkości. I cóż wam pozostanie, jak myśleć tylko o dobru powszechnem? Więc jeszcze przez jakiś czas świadomość wasza będzie pracowała, będzie się wysilać, aby wspólne życie ułożyć „jak najdogodniej“. Zrobicie jeszcze wiele wynalazków i „opanujecie przyrodę“ całkowicie. Dzisiaj skarżycie się czasem, że jest mnóstwo tam, które ludzkość kładzie waszej indywidual-

ności; w przyszłości tamy te znikną same, jako beżyteczne, bo nie będzie już czego ograniczać: indywidualności waszej nie będzie. Staniecie się „wolnymi“ wtedy, gdy już w was umrze to, co tej wolności pragnie i potrzebuje. Zato dobrobyt ludzkości, dobrobyt materialny, społeczny, moralny — będzie wciąż wzrastał. Ale uważaj, że dobrobyt nie należy do tych ideałów wielkich a nieureczywiszczalnych, które są gwiazdami, oddalającymi się w miarę, jak się do nich zbliża. Owszem, dobrobyt można osiągnąć, bo leży on w sferze rzeczy istniejących, jako najdogodniejszy dla człowieka stosunek między rzeczami danymi: nim i światem. Tak, tak — i wyzbycie się świadomej indywidualności należy do rzeczy dla człowieka dogodnych, gdyż uchronia go od walk, które dziś jeszcze musi staczać. Wreszcie osiągniecie ów cel, dobrobyt ludzkości. Wtedy świadomość wasza stanie się zupełnie niepotrzebną, pocnie więc zwolna zanikać. Na wszystko będziecie mieli formuły. Będziecie już znali najlepszy i najdogodniejszy sposób zrobienia każdej potrzebnej wam rzeczy, zadowolenia swych pragnień — i na cóż tu świadomość? Podział funkcji w wielkim organizmie ludzkości ustali się ostatecznie; kto wie, czy

nie zastosuje się do niego i wasza strona fizyczna... jak u mrówek. Będziecie różnorodnymi kółkami w jednej wielkiej maszynie. Oto kres drogi, którą idziecie, oto wasza przyszłość promienna i tryumfalna, oto wasze szczęście! Staniecie się naprzód podobnymi chińczykom, jacy byli jeszcze przed pół wiekiem, nim ich na chwilę obudzono,—później zręcznym a bezmyślnym robotnikiem w wielkiej fabryce,—wreszcie mrówkom, społeczeństwu doskonałemu i szczęśliwemu! Ludzkość będzie dbać o was, abyście byli zdrowi i syci, bo to leży w jej interesie; ale szczęście wasze osobiste i prawdziwe, to znaczy wasze indywidualne, twórcze życie staje owszem w poprzek jej interesom! Tak wygląda w istocie owo zdanie, że wszyscy ludzie muszą być szczęśliwi, gdy będzie szczęśliwa ludzkość.

Straszne przerażenie ścisnęło mnie za pierś,—uczułem zawrót głowy, jak podróżnik, który sądząc, że się wdziera na szczyt, ujrzy nagle pod stopami przepaść nieuchronną, gdzie się musi stoczyć. Ale w tej chwili przyszło mi na myśl, że djabeł kłamie i powiedziałem mu to głośno. Wszakże dobrobyt ludzkości może się stać dopiero podstawą rozwoju ludzkiej indywidual-

ności, może być początkiem niesłychanego rozkwitu świadomej myśli, a nie jej zakończeniem.

— Widzę, że nie chcesz zrozumieć wielu prostych rzeczy,—odpowiedział na to.—W chwili, gdy ludzkość osiągnie dobrobyt, wy już indywidualności mieć nie będziecie, gdyż tylko za tę cenę kupić go można. Póki indywidualność istnieje, póty jest walka i ludzkość póty nie będzie szczęśliwa. Ludzkość zaś chce być szczęśliwą, to znaczy chce żyć, jak każda istota, każdy organizm, który się już zaczął. A ponieważ jest mocniejsza od człowieka, więc człowiek jej ustąpi.

— A dlaczego ma być koniecznie od człowieka mocniejszy.

— Głupi! dlatego, że wszystko, co człowiek duchem dla siebie zarobi, staje się w następnym pokoleniu prawem spadku własnością ludzkości, a nic z tego, co ludzkość posiada, nie wraca na wyłączną własność człowieka, bo ona strzeże dobrze swej hipoteki na waszych duszach! Czyż jeszcze nie rozumiesz rzeczy tak prostej, naturalnej i koniecznej?

— Owszem, rozumiem... niestety. Ale myślę, że może znalazłaby się jaka rada dla odwrócenia tej strasznej przyszłości, którą mi pokazu-

jesz. Ty znasz filozofów,—wszak niektórzy myśliciele, i to nie z najmniejszych, ojcem cię nazywali,—wiesz tedy, że był niedawno mędrzec obłąkany, który nam przepowiadał nadczłowieka i jego królestwo.

— Zaiste był obłąkany, choć to nie był duch mały, który go opętał! Nadczłowiek to jeden z tych papierowych potworów, wylęgłych w mózgu człowieka, broniącego się rozpaczliwie od śmierci. Niech się ludzkość nie obawia: nie będzie nadczłowieka! Wieki całe staraliście się o to, aby go nie było. Powiedziałem już kilkakrotnie i raz jeszcze powtarzam: Indywidualna świadomość jest punktem zwrotnym, sama się przewycięża i niszczy. A zresztą—cóż z tego, choćby się wśród was zjawił nadczłowiek? co z tego, choćby potrzaskał stare tablice wartości, jeśli na ich miejsce napisałby nowe, któreby jeszcze za życia jego stały się własnością ludzkości? Bo pamiętaj, że wokoło niego byłiby tylko—ludzie!

— A może poszedłby na puszcę, rósłby tam w siły i zbierał podobnych sobie nadludzi, ażby wyszli stamtąd jako lwy, jak uśmiechnięte, młode, srogie a szczęśliwe bogi i ujarzmiłby ludzkość i korzystali z niej, założywszy swe

królestwo, jak my dziś korzystamy ze stad wszelkiego zwierzęcia leśnego i domowego.

— Piękne marzenie, ale nie do urzeczywistnienia. Przedewszystkiem, nimby ludzkość podbili, pożarliby się wzajemnie lub staliby się sami ludzkością. Nie jesteś ty z narodu i z kasty, która chciała w nim być poniekąd społeczeństwem nadludzi? Nie jesteś ty potomkiem tych, co nadali sobie osobistą wolność przeczenia powszechnym uchwałom i chcieli być ludem samowładnych królów? A patrz-że, co się z wami stało? Ludzkość była dokoła was, ludzkość, słyszysz? i musieliście zginąć pod jej potopem, zwłaszcza żeście nie mieli sił ani czasu walczyć z nią, boście walczyli sami ze sobą! Czy ten przykład ci nie wystarcza?

— Więc niema rady?

— Powiedziałem już: niema. Wszystko, co jest, jest konieczne i nieuchronne?

— A gdyby, — zacząłem znów, — gdyby... (straszna myśl!) gdyby ludzkość zabić? gdyby potargać wszystkie więzy i nie nawiązywać nowych? gdyby roztrzaskać stare tablice wartości i nowych nie pisać? Co wtedy?

— Naprzód jest to niemożliwe, bo któżby był mocen tego dokonać, kiedy moje siły oka-

zały się za słabe? Powtóre—coby wam z tego dzisiaj przyszło? Uważaj, że potarganie wszystkich więzów równałoby się doszczętnemu i niepowetowanemu zniszczeniu całej cywilizacji, bo ten dorobek cywilizacyjny to właśnie najsilniejsze łańcuchy, które was wiążą. W chaosie tedy, któryby powstał po takim zerwaniu więzów, wypłynęliby na wierzch nie umysłem potężni, lecz silni pięścią. Oni to, te zwierzęta zdrowe, staliiby się na gruzach świata jedynymi dziedzicami życia—i rozpoczęłaby się na nowo ta sama komedia, na którą raz już patrzyłem. Z tych zwierząt tworzyliby się ludzie, a z ludzi powstałaby ludzkość. I powiedz, czy dla takiej „korzyści“ wartoby było burzyć to, co jest? Pamiętaj, że natury ludzkiej dziś zmienić nie można, gdyż jest koniecznym wynikiem całych wieków rozwoju, a przeto los wasz jest nieuchronny. Nie jesteście bogami lecz ludźmi; z ludzi tworzy się ludzkość.

Skończył i przez chwilę głębokie zapanowało milczenie. Myślałem o tem, co powiedział i dziwiłem się, że mówił to wszystko bez sztydziej złości, bez uciechy z upadku dumnego „pana stworzeń“, o jaką go posądzają zazwyczaj. Owszem, smutek był w jego głosie a czasem ból, jakby upadek sprawy człowieka był

zarazem jego przegraną. Nie mogłem się powstrzymać, aby nie wyrazić głośno tej uwagi. Uśmiechnął się znów na to.

— Tak jest, to moja przegrana. Wszakże mnie Złem nazywają, a wy wszyscy, gdy ludzkość już zapanuje wszechwładnie, będziecie dobrzy. Nie lubię w ogóle mówić o złu i dobru. Sprawa to drażliwa, zwłaszcza dla mnie, którego ona zbliżka dotyczy. Cokolwiekbym w tym względzie powiedział, zawsze będę posądzony o stronniczość. Ale to jedno wiedz, że od chwili, kiedy piorun archanielskiego miecza strącił mnie z niebios, to się złem nazywa, co jest wyrazem siły odśrodkowej. A przecież jest to czasem tylko samodzielność. — Co do ludzi, to byli oni dobrzy na początku, gdy jeszcze podlegali bez zastrzeżeń przyrodzie; stali się złymi, gdy skosztowali owocu z drzewa świadomości, a będą znów dobrzy, kiedy ich pochłonie ludzkość, jedna owczarnia... Nie wymagaj, bym się szereg nad temi rzeczami rozwodził; zbyt one mnie bołą.

Znów zapanowało milczenie. Po chwili zapytałem prawie bez myśli:

— Co nam teraz czynić wypada?

— Szaleńcze! — zawołał, — i ty się mnie

o radę pytasz, ty się mojej rady nie boisz? Wszakże ja jestem znany i od wieków przeklęty „zły doradca” człowieka. Ale niechajże będzie: chcesz rady, więc ci powiem. Gdybym nie był tem, czem jestem, radziłbym wam poddać się losowi, powiedzieć sobie: tak być musi, i pracować z zaparciem na szczęście ludzkości. Taby wam oszczędziło wielu walk, wielu rozkrwawień, szamotań, nędzy. Mielibyście przed długą, pogodną nocą zachód pogodny. Gdybym był, jak wy ludzie, naiwny, lubił patos i koturny, radziłbym wam walczyć resztą sił, do ostatka, bez nadziei zwycięstwa, dla próżnej chwały walczenia. Ale to jest dym i śmieszna komedia! — co po niej? Atoli...

Tu zniżył głos i przybliżył twarz do mojej twarzy:

— Atoli ja jestem zły i mądry i dlatego radzę wam...

Z oczu strzelił mu błysk okropny, szatański a z ust drapieżnie wykrzywionych wypadły słowa zgrzytliwe, przytłumione, powiedziane powoli i dobitnie:

— Od powolnej śmierci wybawia... śmierć nagła!

Drgnąłem cały pod ich wrażeniem i — obudziłem się...

Był już dzień; prześniłem całą noc. Wstałem snem znużony i zadumany; długo nie mogłem się opamiętać. Treść snu ciążyła mi zmorą na umyśle. Zdawało mi się, że przyszłość zdradna, która się tak rada stroi oku naszemu w tęczę i promienie, stanęła na chwilę przedemną naga, w rzeczywistej postaci, jako widmo czarne a beznadziejne. Potem zacząłem sobie sen przypominać szczegółowo i nad każdym zdaniem jego się namyślać, wreszcie tłumaczyć całą rzecz psychologicznie: Rozmawiałem wieczorem o ludzkości — i stąd treść tego dziwnego snu; byłem rozmową rozdrażniony, przygnębiony, zły — i stąd w moim śnie odegrała postać diabła główną rolę. A przytem — ileż teraz, na zimno rzecz rozważając, znalazłem luk i nieściskości w owych rozumowaniach diabła, które we śnie tak wielkie wywarły na mnie wrażenie! Zwłaszcza ta nielitościwa przepowiednia o zatacie indywidualności i samowiedzy u człowieka wydała mi się teraz straszylłem na wróble. Wszakże codziennie widzimy, słyszymy, czytamy, że indywidualność wzrasta, świadomość się wzmacnia! A zresztą ta ludzkość,

pochłaniająca tak doszczętnie człowieka — to był chyba nie najlepszy pomysł „starego kłamacy”. Nieugaszona walka o byt nie dopuści nigdy do takiego bożwzględnego zespolenia się ludzkich jednostek. Chyba... chyba, gdyby ta walka przesiliła się kiedyś istotnie, wyrównawszy wszystkie różnice, pogodziwszy wszystkie w indywidualności ludzkiej istniejące dziś jeszcze sprzeczności... Ale nie! przecież ten sen jest śmieszny! nie można go brać poważnie! I wyszukiwałem z prawdziwym wewnętrznym zadowoleniem słabe strony w rozumowaniach widma, co sen mój nawiedziło — i cieszyłem się każdym wyszukanym błędem.

Ale potem znowu opadło mnie ogromne przygnębienie. Myślałem, że może teraz się łudzę i oszukuję dobrowolnie, nie śmiejąc spojrzeć na jawie w twarz prawdzie nagiej a smutnej, która się przesunęła we śnie przed moimi oczyma. I czułem, jak powoli traci wartość dla mnie życie na tym świecie, gdzie nawet najsmutniejsze prawdy są nieodwołalne, gdzie po to szczytu się dosięga, aby tem nieuchronniej stoczyć się w przepaść, gdzie gienjusze pracują nad tem, aby ich na przyszłość nie było,—a złudzenia jedynym są powabem i jedyną okrasą.

I jeszcze długo pozostało we mnie to przygnębienie, jakie wywołuje dostrzeżenie zagadnienia, niedającego się rozwiązać, — choć ludzie, którym sen mój opowiadałem, śmiali się ze mnie i ze snu — nedorzecznego.

Z PAPIERÓW
PO NIEDOSZŁYM SAMOBÓJCZY.

1902



Pan Alojzy Rokoko umarł na raka w żołądku, przeżywszy coś niewiele ponad sześćdziesiąt lat. Kupiłem z jego puścizny kilka książek; w jednej z nich znalazłem zeszyt pózółkły z zapiskami, niestety datą nieopatrzonemi. Wnoszę jednak z charakteru pisma i barwy pobladłego na pierwszych stronach atramentu, że ze czterdzieści chyba lat upłynęło między pierwszym a ostatnim. Zapiski te wydały mi się dość ciekawemi; ogłaszam je tedy: może zajmą również moich czytelników.

Postanowiłem już—i jestem nareszcie spokojny.

Kiedy się to stało?—wczoraj? przedwczoraj? a może tydzień temu? Nie umiałbym w tej chwili oznaczyć dokładnie dnia ani godziny, wiem tylko, że dzisiaj rano, zbudziwszy się, zrozumiałem ostatecznie tę rzecz i jej nieodzowną, niedającą się uchylić konieczność.

Dopiero dzisiaj...

Nie znaczy to jednak, abym dawniej już o niej nie był myślał... Owszem; od lat, od lat...

Tylko że „dawniej” była to myśl, napadająca mnie czasami, może raczej pragnienie, niż myśl, raczej tęsknota, która owładała mną na chwilę, na dzień, na tydzień jeden, szła wszystkimi pulsami moich żył, wkradała się w najniebezpieczniejsze, najgłębsze zakątki mego mózgu, przejmowała dzikim dreszczem pożądania i zadziwiała równocześnie jakimś nieokreślonym strachem, że może się spełnić, dokonać... A potem znikała znowu, aby po pewnym czasie powrócić. Przyzwyczajałem się do niej powoli, jak do widoku na jawie ptaka bajecznego, — witałem ją jak dobrego znajomego, gdy przychodziła, — kiedy odchodziła, mówiłem jej: do widzenia! wiedząc, że powróci. Ale mimo to wszystko nie przedstawiała być dla mnie bajecznym ptakiem, którego nie można schwycić...

Tak było dawniej...

Ale teraz rozumiem, że nie jest to przybysz, gdzieś z zaświata lecący; teraz wiem, że myśl tę noszę w sobie, że wzrosła razem ze mną i prześląskiwała czasem z głębin mojej

duszy, rzucona przed moje oczy, jakby zjawisko niepojęte, niewiadomo skąd przylatujące...

I teraz dopiero jestem spokojny. Nie czuję już dawnego dreszczu pożądania, bo wiem, że myśl tę, tego bajecznego ptaka o czarnych skrzydłach i świecących oczach, mam już w ręku, że przyjdzie, gdy go zawołam, a przez dłuższy czas nie wołany, nie odleci, lecz siedząc na swym gnieździe tam, głęboko w duszy mojej, będzie czekał, pewien, że chwila nadejdzie...

Tak, tak, jestem spokojny i już się tej myśli nie boję; znam ją. Jest dla mnie czymś pewnym, określonym, koniecznym.—Zawsze dziwił mnie ten odruchowy strach, jakim przejmowała mnie rzecz, skądinąd upragniona... Teraz i to rozumiem. Bałem się rzeczy obcej, przypadkowej, władającej mną, która mogła się stać albo nie stać, i niezależnie ode mnie wybrać tę lub ową chwilę, aby się dokonać... Dzisiaj pojąłem jej konieczność, jej pochodzenie odemnie samego i zależność jej od mojej woli. Musi się stać, a stanie się, gdy zechcę—i tak, jak zechcę, bez podniecenia, bez ulegania czemukolwiek, jako naturalne następstwo wszystkiego, co było, z zupełną świadomością i spokojnie, spokojnie...

I wobec tego nawet nie jest mi już pilno.

Wszak to wszystko jedno, czy zrobię to za godzinę, czy jutro, za rok, czy za dziesięć lat... Rewolwer noszę zawsze przy sobie i gotów jestem każdej chwili, — a więc na cóż się spieszyć?—Owszem, mój stan obecnie ma w sobie wiele powabu; nie potrzebuję się już obawiać niczego, gdyż wiem, że nie masz rzeczy, którejbym nie zdołał uniknąć, a wszystko ciekawe, przyjemne, dobre, co mnie spotyka, jest dla mnie zupełnie pozytywnym zyskiem...

To tak, jak gdybym pokonawszy życie, zawarł z niem układ: dopóki mi się podobasz, pozwalam, abyś mi służyło, gdybyś jednak zechciało znowu próbować dawnej, okrutnej przezwagi nade mną, otwieram drzwi — i...

A przy tem wszystkiem — nie mogę powiedzieć, abym miał wstręt do życia. Owszem, kocham je, — kocham je tak głęboko i silnie, że przez tę miłość właśnie...

Nie skończyłem zdania. Coś mi je prze-
rwało i nawet nie pamiętam już w tej chwili,
jaki miał być jego koniec. Naturalnie co do

formy, bo treść jest jasna i czuję ją dzisiaj tak samo, chociaż to przecie parę miesięcy już upłynęło...

Myślałem przez ten czas wiele o swoim postanowieniu i podoba mi się ono coraz więcej. Cała rzecz w tem, aby się wszystko odbyło należycie: bez hałasu, bez tragedji, bez tego całego teatralnego aparatu, który ludzie zazwyczaj w takich wypadkach stosują. Pewnego pięknego poranku albo wieczora, wtenczas, kiedy sam zechcę, strzelę sobie w łeb i rzecz skończona.

A właściwie nawet nie w łeb. Jest to ordynarne i dziwnie brutalne. Należy sobie życie odbierać strzałem w serce. To równie pewne, a nawet pewniejsze, jeśli się tylko dobrze wymierzy. Pod piątem żebrem, trzy palce poniżej brodawki na lewej piersi...

Przed paru dniami wyszukałem sobie to miejsce dokładnie i ściałem brzytwą kawałek skóry. W ten sposób pozostanie blizna i wiem już, że nie chybię. Bo chociaż będę to robił w najzupełniejszym spokoju, to jednak zawsze możliwe jest jakieś chwilowe pomieszenie, jakaś nerwowość lekka, któraby mi utrudniła w danym momencie wyszukanie „celu“...

Bowiem bądź-co-bądź jest to krok stanowczy i dziwny. Nawet nie z tego powodu, że nie wiem, co mnie „potem“ czeka. To rzecz obojętna wobec tego, że choćbym najordynarniej w świecie umierał na łóżku, później dożywszy starości, tak samo nie wiem, co mnie czeka i zawsze w tę niepojętą noc pogrążyć się muszę.—Ciekawą rzeczą w mojem postanowieniu i w czynie, który niewątpliwie po niem nastąpi, jest właściwie ta okoliczność, że dobrowolnie i spokojnie w pewnym punkcie życia odwrócę się od niego i odejdę, jak gdyby ono już nic więcej dać mi nie mogło.

Podkreślam te wyrazy: dobrowolnie i spokojnie, bo są one osią całego mego postanowienia. Samobójcy zwykli nie umierają nigdy dobrowolnie ani spokojnie, choć zapewne łudzą się często, że tak jest właśnie. Afekt, nieszczęście, rozpacz, nuda—to powody zwyczajne, wykluczające same przez się wolny akt woli. Nie mówię już nawet o powodach tak zwanych samobójstw bez powodu, bo tutaj sprowadzająca je zazwyczaj choroba—umysłowe opętanie *sui generis* — jest czemś więcej niż powodem, jest przymusem, wobec którego o woli zgoła mówić nie można.

Ja będę jedynym, który zabije się dobrowolnie i bez powodu.

I to jest właśnie ważne, aby się wszystko stało bez powodu...

Patrzę na ostatnie zdanie, przed dwoma czy trzema laty napisane i przychodzi mi na myśl, że pisząc je wówczas, nie zdawałem sobie nawet sprawy z jego doniosłości. Bo ostatecznie myślałem wtenczas mniej - więcej: zabiję się, kiedy mi się życie przestanie podobać. A przecież toby zależało od życia, nie ode mnie i czyn nie byłby dobrowolny. — Należy powiedzieć: zabiję się, kiedy mi się przestanie podobać — żyć! Rzeczownik zastępuję bezokolicznikiem i to zmienia cały sens zdania. Wtedy wszystko zawisło tylko ode mnie i nie powinno, nie może zależeć od zewnętrznych okoliczności.

Z chwilą, kiedy mam to przeświadczenie stałe, głęboko na dnie mózgu mojego gdzieś wyryte, jestem naprawdę wolny, jestem panem życia i śmierci, szczęścia i nieszczęścia, panem losu nawet.

Mogę odejść, kiedy mi się spodoba,—mnie,

mnie samemu! Zarówno w chwili złej, jak i rozkosznej, zarówno dziś, jak za dziesięć lat! —

Za dziesięć lat! — wątpię, aby mi się chciało tak długo jeszcze bawić się życiem, w drapieźnych szponach moich uwięzionem i mocą własną — nieobjawioną! Prawdopodobnie uczynię to wcześniej, znacznie wcześniej... Po prostu dlatego, że pilno mi uczuć w tej jednej chwili wielmożność swoją i pańskość bezwzględna.

Z dziwnem uczuciem patrzę teraz na ludzi. Żal mi ich. Mówię z kimś na ulicy na przykład i myślę, że jest niewolnikiem, a ma przed sobą jedyne wolnego człowieka na ziemi, nie wiedząc o tem nawet. To bawi mnie nawet do tego stopnia, że czasem przerywam zdania i parskam śmiechem w twarz przypadkowemu towarzyszo- wi, który właśnie przed chwilą opowiadał mi o swoich troskach i kłopotach. A jeśli mnie znudzi gadanina niewolnika, który musi żyć, odwracam się do niego tyłem i odchodzę bez pożegnania, nie dbając często o to, co on o mnie pomyśli.

Mogę sobie pozwolić na to.

Jestem po prostu wszechmocny przez to, że jestem najzupełniej bezkarny. Wolno mi robić, co mi się żywnie podoba. Przed każdą karą

i odpowiedzialnością mogę ujść, wychodząc tylko za drzwi — z uśmiechem i ukłonem, za te drzwi, przez które się już nigdy do życia nie wraca.

Oh! jakże mi się życie podoba, odkąd postanowiłem umrzeć! Doprawdy, że jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej zniknęły dla mnie od tej chwili wszystkie troski, wszystkie przykrości, lęki, niepokoj! Dobrze mi jest, tak dobrze nie- wypowiedzianie!

Znowu długo nic nie zapisywałem na tych kartach, (bo i poco?), ale to wczoraj było zbyt zabawne, aby sobie nie uświadomić całego zdarzenia raz jeszcze, notując je tutaj. —

Właściwie nie podobała mi się nigdy. Jest za chuda i niepokazna, mimo, że przyznać muszę, iż profil ma nadzwyczajny i skórę przedziwnej słodyczy...

Nie wiem, co jej na tem zależy, aby ucho- dzić za kobietę wyzwoloną? W każdym razie zemściło się to na niej. Ja właściwie nie lubię sielanek, a wczoraj wieczorem mżył ponadto drobny deszczyk, tak, że spacer w ogrodzie nie

należał zgoła do przyjemności. Powiedziałem jej, że jest już późno i powinna iść do domu, bo rodzice będą się gniewać na nią. Zdaje się, że to ją oburzyło. (Ludzie, a nawet kobiety, tak lubią wmawiać w siebie, że są wolni!—).

— Jeśli mi się spodoba, nie pójdę wcale do domu! Mam właśnie ochotę całą tę noc przegadać z panem!

— Dobrze, moja pani, ale ośmielam się zauważyć, że deszcz pada. Ponieważ zaś pani o tym czasie przyjąć mnie u siebie nie może, a ja nie mam ochoty wracać do restauracji, gdzieśmy już byli przed godziną (pani pod pozorem, że idzie do teatru), więc nie pozostawałoby nic innego, jak iść do mnie. Na to zaś pani chyba się nie zgodzi...

— Dlaczego?!

Rzuciła to całkiem wyzywająco, ale tak głupio, że mnie aż śmiech w gardle zadławił.

— Ha! jeśli wola...

Nie mieszkam właściwie tutaj nigdzie, to jest stoję chwilowo w hotelu. Pojechaliśmy do rożką. Dryndziarz przypatrywał nam się wcale obraźliwie chociaż dyskretnie, również portjer, który nadto, niby przypadkiem, zaświecił latarnią w oczy mojej towarzysze. Nie okazała naj-

mniejszego zakłopotania; podejrzewam ją, że po prostu nie rozumiała...

W pokoju dopiero zauważyłem, że lęk ją ogarnął. Pokrywała go nieszczerym śmiechem, usiłując przezabawnie znaleźć się „na wysokości sytuacji“ i zachowywać się niby swobodnie. I to ją ostatecznie zgubiło. Było nudno i chciało mi się spać, dla rozrywki tedy począłem ją uwodzić.

Nie byłbym nigdy przypuścił, że w tem mizernem ciałku może się mieścić taka doza temperamentu. Kiedy ją wreszcie pocałowałem, niby żartem, stanęła cała w ogniu. Drżała febrycznie we wszystkich członkach; wiedziałem już, na czym się to skończy.

W pewnej chwili, wskazując mi nieświadomym ruchem dłoni zapinkę od stanika, której ja na oślep znaleźć nie mogłem, wyszeptała przez zacinające się zęby:

— Ale ty mi... nic złego... nie zrobisz?

(Mówiliśmy sobie już od godziny po imieniu).

Zakląłem się solennie, że jej nic złego nie zrobię. W godzinę oddała mi się najzupełniej, a właściwie ja ją wziąłem, bo widzi mi się, że ona nie zdawała sobie zgoła sprawy z tego, co robi.

I tutaj zaczyna się historia najzabawniejsza.

Siadłem przy łóżku, na którym ona w bieliźnie leżała i zapaliłem papierosa, myśląc, że jestem głodny, a nie mam w domu nic do zjedzenia. Ona tymczasem uniosła się na łokciu i patrzyła na mnie szeroko rozwartymi oczyma.

To ja... to ja już naprawdę do ciebie należę? — mówiła z tak szczerem zdumieniem, że musiałem się schylić, aby ukryć śmiech mimowolny. Nagle—i dla mnie najniespodziewaniej—zerwała się i przypadając ustami do mojej ręki, zaczęła mówić bezładnie w dziwnym podnieceniu, że ona mnie kocha, że chce sługą moją być, psem lub czymś podobnym, byłem ja jej teraz nie opuszczał... Włosy rozwiązane zsywały jej się z ramion; widziałem biały, drobny jej kark i plecy obnażone...

Położyłem ją z wolna na poduszkach i pocałowałem jej się znowu przypatrywać. Jest stanowczo zbyt chuda,—a nadto mina jej płaczliwa i zalękniona wcale mi się nie podobala.

— Kochasz mnie? — szepnęła, uśmiechając się przez spadające na usta włosy.

Potrząsnąłem głową.

— Nie.

Nie wierzyła zrazu. Wzięła to za żart. Muśniałem jej powtórzyć wyraźnie:

— Wcale cię nie kocham. Nie podobasz mi się. Nigdy mi się nie podobalaś.

Trzeba było widzieć to niesłychane przerażenie, potem zdumienie w jej oczach! I wstyd, wstyd...

— Więc dlaczegoż... dlaczego...?

Nie dokończyła pytania. Nagle oczy dłońmi zasłoniła i zwinawszy się w kłębek jak zranione zwierzątko, wybuchnęła dzikim płaczem, jakiego nigdy w życiu nie słyszałem...

Położyłem się spać na kanapie.

Kiedy się zbudziłem rano, już jej nie było. Nie słyszałem nawet, jak się ubrała i wyszła.

Jestem dzisiaj niewyspany i zmęczony, ale mimo to mam dziwnie przyjemne uczucie, ilekroć przyjdzie mi na myśl to całe wczorajsze zdarzenie. — Na tej dziewczynie bynajmniej mi nie zależało—i to jest obojętne. Chodzi o to, że stwierdziłem w tym wypadku własną wolność, którą zawdzięczam postanowieniu mojemu...

Gdybym miał żyć, wogóle gdybym żył inaczej, niż teraz, to jest nie uważał, że każdej chwili odejść mogę, wtedy prawdopodobnie oceniałbym takie rzeczy ze stanowiska życiowego i byłbym patetyczny. Powiedziałbym sobie, że to było łajdactwo. Byłby to wynik myśli o kon-

sekwencjach i o możliwym sądzie innych ludzi. Ale mnie obecnie to wszystko zgoła nie obchodzi—i wobec tego myśl ta nie tylko nie przyszła mi przed czynem, aby mnie od niego powstrzymać, ale nawet teraz po dokonaniu go nie pojawia się, czego dowodem brak jakichkolwiek wyrzutów sumienia.

Miałem to już dzisiaj zrobić, ale nie zrobiłem z tego właśnie powodu, dla którego miałem zrobić...

To przed paru dniami było istotnie łajdactwem. Nie jest to „wyrzut sumienia”; to tylko obiektywne i celowe ocenienie pewnego faktu. Ta dziewczyna zgoła mnie nie obchodzi, ale ja sam siebie obchodzę w tym wypadku.

To postąpienie moje było niewątpliwie objawem najzupełniejszej wolności, nieliczenia się absolutnie z niczem. Czy to był jednak tylko przypadek, tak zwany: zbieg okoliczności, że postępując swobodnie, spełniłem łajdactwo? Obawiam się, że nie, — rzecz ma w sobie jakieś głębsze korzenie... A mianowicie dylemat: albo natura moja jest tego rodzaju, że wyzwolona

pcha mnie do czynów bądź co bądź wstrętnych, albo też wogóle taki jest porządek świata i życia, iż tylko w wędzidle i w pętach żyć można pięknie, to znaczy nie czyniąc krzywdy niepotrzebnej nikomu...

Właściwie nie powinno by mnie to wcale dręczyć, a przecież taki dziwny niesmak mnie przejmuje, że po prostu, aby się od tych myśli uwolnić, miałem już zamiar...

Ale kiedy byłem już najzupełniej przygotowany i przykładałem błyszczącą lufkę do blizny pod lewą piersią, zrozumiałem naraz, że nie różnię się w tej chwili niczem od zawiedzionej szwaczki, która ze wstydu wskakuje do wody —

Nie! nie! tak nie można! Niechże moje panowanie nad życiem nie będzie czczym wyrazem! W spokoju, w piękności —! Wyłącznie dlatego, że w tym momencie...

Tu brak kilku kart w rękopisie. Wątpię, by je wydarł sam ś. p. Alojzy Rokoko; przypuszczam raczej, że po jego śmierci już ktoś uszkodził przypadkowo te zapiski, nie zdając sobie sprawy z ich ciekawej treści. Na stronie dalszej znalazłem, co następuje:

...a morze kołysze się cicho w takt przede mną. Myślę o tych długich latach ubiegłych i dziwnie mi czegoś żal: nawet nie młodości, co przeszła, nawet nie tych sił, rozpierzchłych gdzieś i niewiedomo kiedy... Nie powinienem był żyć tak długo. Ale doprawdy, to tak trudno znaleźć moment odpowiedni. Tak trudno zdać sobie sprawę, że właśnie ten moment jest odpowiedni.

Przecież ostatecznie resztę majątku, nadzarganego tamtemi wszystkimi szaleństwami zebrałem i wyjechałem w świat, aby tutaj w południowym słońcu chwycić tę chwilę, bliską niby a ulotną...

Smutek idzie za mną i nie pozwala mi się zabić. Szczególne to, a jednak prawdziwe. Próżno czekam owego natchnienia, owej boskiej beztroski, która pozwala odejść w wieńcu z róż...

Przeoczyłem jakąś chwilę, minąłem ją—i na darmo chcę ją teraz przywołać. Powinienem to był zrobić dawno. Pamiętam: wówczas przed kilku laty na przykład, kiedy wróciłem raz letnim wieczorem do domu z tem niepojętem a rozkosznym uczuciem radości życia, z tem upajającym wrażeniem bezwzględnej swobody... Właściwie zgola bez przyczyny. Dzień był taki, jak wszystkie inne, może tylko jaśniejszy i cieplej-

szy trochę niż zazwyczaj, może trochę więcej złoty od zachodzącego słońca. Pamiętam to tak dokładnie — i tylko nie umiem sobie już dzisiaj zdać sprawy, czy mi wówczas żal było tej chwili, czy jaka inna przeszkoda...

Coś się we mnie przesiliło. Nie umiem już znaleźć drugiego takiego dnia, choć go szukam (może właśnie dlatego?) i chociaż wiem, że odszedłbym wtedy w spokoju.

Mieni się w słońcu morze przede mną, wielkie, rozkołysane, a tak dziwnie, tak upiornie ciche... Gdzież jest moja śmierć? Czy nazbyt długo ją w myśli nosiłem? — tak długo, aż ona...

Nie! nie! — tego nie chcę myśleć.

Przegrałem dzisiaj wszystko w ruletę. Do stanę paręset franków na powrót i—wrócę. Teraz stanowczo nie mogę się zabijać: byłoby to zbyt głupie. Czyż na to tyle lat tę myśl cudowną w sobie nosiłem, aby nareszcie pewnego dnia, kiedy są wszelkie pozory, iż to z powodu przegranej—? Wracam tedy do domu. Byłem niegdyś urzędnikiem, mogę wstąpić napowrót

do służby. A kiedy już będę na stanowisku, wtedy —

Tak, wtedy. Teraz trzeba wracać. —

Doprawdy, że przypadkiem dzisiaj po tylu latach ten zeszyt znalazłem i piszę w nim znowu kilka słów jedynie dlatego, że go znalazłem. — Bo nareszcie coś mogę mieć sam sobie do powiedzenia? Wszystko tak ciężko mi idzie, że trudno się zdecydować — chociaż to czas już ostatni...

Należało nie zwlekać, lecz wówczas, w Monte Carlo... Cóż mnie mógł sąd ludzi obchodzić? Dzisiaj jest sytuacja zupełnie zmieniona. Wół roboczy, który nareszcie zrzuca jarzmo, — takie to wstrętne, takie głupie...

Trzeba jeszcze czekać; — tylko: bo ja wiem na co? Chyba na starość pogodną, która się już zbliża. Tak jest, to, zdaje mi się, będzie najlepiej. Wtedy, kiedy wszyscy ludzie pragną żyć i dni swoich strzegą, — wtedy właśnie będzie czas najodpowiedniejszy. Tak, jak gdyby jesiennym wieczorem, wyrzekając się ostatnich dni słonecznych...

Zastanowił mnie kiedyś ten dziwny zbieg okoliczności, że ja właściwie nigdy nie miałem przyjaciół. — Tak się przeszło jakoś przez życie — w dobrem i w złem zawsze samotnie. Przeszło się! — bo o tem niema co mówić: życie jest już poza mną.

A ze zdumieniem myślę o tem, że jest poza mną, że było wogóle — i to mniej-więcej podobne do życia wszystkich innych ludzi, mimo że ja żył przecież inaczej: dniami i godzinami, które podarowałem sam, wiedząc, że odejść mogę każdej chwili.

Ale bądź co bądź nie odszedłem dotąd i tylko w skutku pokazało się, że nie miałem się czasu z nikim żyć, do nikogo przylgnać, nikogo do siebie przywiązać. — Zapewne, tak musiało być. Któż w oberżach przydrożnych, na jednogodzinnym popasie zaprzyjaźnia się z przypadkowo spotkanymi ludźmi? Jeno, że nie myślałem jakoś, abym miał iść tak długo, w drogę tak daleką...

Czas mi odejść, stanowczo! Jutro to zrobię — albo może jeszcze dziś —?

Właściwie źle się stało, że byłem u lekarza. Ta drobna dolegliwość nie powinna mnie już była nic obchodzić, a teraz — kiedy usłyszałem, że może się długo przeciągnąć, zaczyna mnie naprawdę niepokoić.

Muszę się jeszcze zastanowić, jak postąpić wobec tego wszystkiego. — Czy teraz śmierć moja — niby dobrowolna — nie byłaby raczej tchórzliwą ucieczką przed tą chorobą, przed cierpieniami, jakie mnie mogą czekać? —

Eh, głupstwo! Prawdopodobnie przejdzie wkrótce wszystko i będę mógł nareszcie wypełnić spokojnie... Nie czuję się przecież chorym, a lekarz...

Od paru miesięcy jest mi coraz gorzej. Bóle takie straszliwe i jeść już nic nie mogę. Boję się, boję się...

Rozpacz mnie ogarnia po prostu... Nie mogę już... O, Boże! żeby to mieć dość siły, żeby się to zdobyć na to, co mi się tak łatwym, tak prostym wydawało i uwolnić się od cierpień!

Nie rozumiem tego wszystkiego, ale ręka mi

drży, ilekroć wezmę rewolwer i zimny pot na czoło spływa. Już nie potrafię. Co się stało? skąd? dlaczego? jakim sposobem? Przecież byłem tak pewny, że dość mi chcieć, że to od woli mojej najzupełniej zależy... Czegóżem zwlekał? Może już wówczas — przez całe życie — bałem się, nie zdając sobie tylko sprawy z tego i oszukiwałem się różnymi pozorami? A teraz, gdy chwila nadeszła, ostateczna już chwila...

*Na tem niedokończonem zdaniu urywają się skąpe i fragmentaryczne zapiski ś. p. Alojzego Rokoko. Chorował parę lat i umarł na raka w żołądku, wkrótce po operacji, której sam się dopraszał. Opowiadano mi, że w ostatnich miesiącach życia bał się niestychanie śmierci i błagał wszystkich, aby go ratowali, domagał się lekarstw, albo znów nie chciał ich wcale przyjmować, w strachu, że chcą go niemi otruć.
Panie świeć nad jego duszą.*

OKRUCHY

1896—9

DO PRZYJACIELA.

Czy pamiętasz, mój przyjacielu, te lata razem spędzone, tę wspólność uczuć i myśli, te marzenia dumne i szalone, świat cały promienną siecią oplatające a wszystkie nie spełnione?

Ach! jakżeśmy się wówczas dobrze rozumieli! Wierzyliśmy we wszystko, w co tak trudno wierzyć dziś na świecie: i w siły własne, i w dobroć ludzką, i w przyszłość, w jasną, słoneczną, huczną przyszłość przed nami! A dookoła było tak pięknie, tak uroczo i szeroko — w tym kraju, gdzieśmy byli, u stoku tych gór, nad temi jeziorami ze szkła i błękitu.

Gdzie ów kraj nasz, mój przyjacielu, gdzie nasza wiara, nasze siły, marzenia, gdzie przyjaźń nasza?

Spotykamy się dzisiaj i patrzymy sobie w oczy długo, długo, ale wzrok nasz już do duszy nie

dociera, usta milczą, a przez dłonie złęczone już nie idzie ten prąd potężny i serdeczny, który wiązał nas niegdyś.

I obaj z bólem myślimy o tem (bo wiem: i ty tak myślisz), że powoli stajemy się obcymi sobie.

Ja wiem, co stanęło między nami: oto — wstyd. Wstyd — nie marzeń dawnych i dawnej wiary—lecz tego, że dziś już nia marzymy o niczem i w nic nie umiemy wierzyć.

ŚW. MIKOŁAJ.

Każdą nową prawdę kupuje się za cenę jakiejś złotej bajki, ułudy, która jest zazwyczaj piękniejsza od tej prawdy, co brutalnie i nieodwołalnie jej miejsce zajmuje. Zdobywając prawdę, tracimy wiele, czasem więcej, niż zdobywamy. A przecieź dobrowolnie nikt z tej drogi nie wraca.

Byłem w wieku, kiedy się jeszcze wierzy w Anioły, stojące nocami przy łódeczku i w Świętych, schodzących na ziemię po promieniach zorzy. Wierzyłem i w świętego Mikołaja, który w noc grudniową odwiedza dzieci i zostawia im niepostrzeżenie podarunki pod głową. Ale to już były chwile przełomowe. Skeptyczny szatan zwątpienia, rodzic wiedzy i boleści, coraz częściej szeptał mi do ucha słowa zimne, które rozpalają w człowieku namiętność najgorętszą i najniebezpieczniejszą: żądzę poznania.

On to nie dał mi spać w noc świętego Mi-kołaja. „Zobacz, — mówił do mnie po cichu — a potem uwierzysz”. Bałem się tego podszeptu — zdawało mi się świętokradztwem pilnować z nieufnością chwili, kiedy Święty ma schodzić na ziemię, ale nie mogłem się oprzeć... Czekałem z gorączkową niecierpliwością.

Wtem usłyszałem szelest i lekkie skrzypnięcie drzwi. Serce uderzyło mi gwałtownie: teraz! teraz! Owładnęła mną niepohamowana żądza: zobaczyć i przekonać się — a jednak nie miałem odwagi odwrócić się ani otworzyć oczu. Bałem się tego, co chciałem wiedzieć i czego się spodziewałem. W uszach mi szumiało.

Tymczasem lekki krok zbliżał się ku mnie; usłyszałem szelest poruszonej poduszki, pod którą coś włożono, ale oczu nie otwarłem. Dopiero gdy krok się oddalił i drzwi znów skrzypnęły, przemogłem się, siadłem gwałtownie na łóżeczku i spojrzałem za siebie. Wystarczyło. W zamykających się drzwiach drugiego, jasnego pokoju, zobaczyłem... matkę.

Rzuciłem się twarzą na poduszki i zacząłem gorzko płakać. Ścisnął mnie żal niewysłowny.

Przypominam sobie nieraz ten płacz, zdobywając w życiu prawdy wciąż nowe i coraz smutniejsze.

SEN.

Nieraz myślę, że rzeczywistość jest parodią marzenia. Pierwszy raz doznałem tego wrażenia, wybierając się w Alpy.

Miałem sen.

Pociąg z łańcucha dziwnych, lśniących wagonów złożony, zaprzężony w lokomotywę żywą i rozumną, dał się bez szyn, bez drogi w przepaściste jakieś turnie. Skały dokoła były olbrzymie, kolorowe, a u stóp głazami o fantastycznych kształtach zasiane, u szczytów przeświecające, jak djament, grające całą gamą tęczy barw i blasków. Dicz niesłychana, bezmierna, czarodziejska.

Pociąg sunął ogromnym żlebem ku górze, skakał po głazach, przechylał się, wznosił, opadał i szedł ciągle, sapiąc i świszcząc.

A dokoła krajobraz zmieniał się, jak cienie w magicznej latarni.

Szczyty niebotyczne wyrastały przede mną i nikły, skalisty grunt otwierał się, ukazując doliny marzycielskie, zielone, senne... Czasem skały się rozstępowały i widno wtedy było w perspektywach nieskończonych dalekie morza, gdzieś w dole niebu się śmiejące, i wyspy i miasta białe wśród gajów... I znowu głązy tylko czarne a skały dzikie, przepastne, straszliwe...

W kilka dni po tym śnie byłem na szczycie Jungfrau. Ale wszystkie cuda, które widziałem tam na jawie, zgotowały mi tylko wielki, aż bolesny zawód. Sen mój był piękniejszy od wszystkiego, co zobaczyłem.

Odtąd powtarza się to często. Gdy tylko marzę o czemś, jeszcze niewidzianem, niespotkaniem, niezakosztowanym, o pięknej okolicy, mieście, obrazie, kobiecie: śni mi się ta rzecz w takiej niesłychanej piękności i uroku, że rzeczywistość później nie ma już dla mnie powabu.

Sny trują mi rozkosz życia na jawie. Najpiękniejsze krajobrazy, najczarowniejsze pałace we śnie widziałem, we śnie spijałem najnamiętniejsze i najśłodsze pocałunki.

Czyżby to stąd pochodziło, że siła twórcza duszy jest większa, niż siła twórcza natury?

POCAŁUNEK.

Była to jedna z tych sielanek, które się przeżywa, mając lat dwadzieścia.

Miałem ją w rękę, jak ptaka... Porównanie nie nowe i często nadużywane, ale ona była rzeczywiście jak ptak, który się boi, ale nie odlatuje. Nie odlatuje, bo wie, że daje szczęście, że jest tęczą i blaskiem i wonią nadziemską życiu tego, komu usiadł na ramieniu—w przelocie...

I dzisiaj jeszcze boję się mówić o tem głośno, chociaż jej już niema, jak wówczas bałem się mówić o swej miłości, aby jej słowem nie spłoszyć. Kwiaty mówiły za nas wrześniowe, co na późnych łąkach stały; wiatr tylko lekki, co owoc dojrzały z drzew obfitych strząsał i między ustami naszymi przelatywał wonny, zanosił nam pocałunki, tem czystsze, że wyśnione tylko, tem gorętsze, że tylko wyśnione...

I nadszedł dzień, kiedyśmy się rozstać musieli.

Stałem przed nią, nie śmiejąc jeszcze i wtenczas ust otworzyć, by jej powiedzieć, że ją kocham, że jest dla mnie światłem i majem i ciszą i rajem. Ale ona wiedziała, co chciałem powiedzieć i wiedziała, że dlatego nie mówię, bo jest dla mnie świętością. Mieliśmy oboje oczy pełne łez.

Wtenczas ujęła moją rękę i nim spostrzec mogłem, co chce uczynić, przycisnęła ją do ust, szepcząc: „Dziękuję ci, żeś był dobry dla mnie...”

Upadłem przed nią na kolana i czułem jej dłonie przy mych wargach, a potem jej usta — słodkie, dziewczęce, nigdy nie całowane...

Nie widziałem jej już potem nigdy...

Ale dzisiaj po latach, gdy przymknę oczy i myśli znużone, w walce życia zszargane w czystsze zwrócę strony, widzę ją znów przed sobą: przychodzi jak mgła, jak sen, jak wspomnienie świętości, w blaskach miesięcznych lub błękitnych świtach porannych i głos jej znów słyszę: „Dziękuję ci, żeś był dobry dla mnie...”

I ze wszystkich zaklęć i wyznań namiętnych, słów pieszczotliwych i miłosnych, które później z tyłu ust słyszałem, najdroższe mi są te słowa proste i ciche; ze wszystkich pocałunków, spijanych później, najdroższy mi jest ten pocałunek pierwszy, po którym nigdy nie nastąpił drugi...

ODJECHAŁA...

Odjechała ode mnie.

Mam ją tylko jedną.

Przez lato chodziliśmy razem po górach, po łąkach i nad wodą. Opowiadałem jej różne rzeczy, które są piękne i wzniosłe, chociaż ich w książkach niema. Słuchała mnie i widziałem, że mnie rozumie. Czasami zapytywała, a wtedy powtarzałem to, co chciała wiedzieć.

Niekiedy pokazywałem jej ręką na niebo i na ziemię, na gwiazdy błyszczące i mówiłem, że to wszystko jest Bóg. Mówiłem, że świat jest piękny i dlatego warto jest żyć. Ona wiedziała o tem, ale mimo to słuchała chętnie.

Mówiła, że wierzy w nieśmiertelność dusz. Czytała w jakiejś książce, że dusze z ciała uwolnione wędrują po światach słonecznych i oglądają cuda, których tu na świecie domyślać się

tylko mogą... Uwierzyła w to, a ja jej zazdrościłem tej dziecinnej wiary.

Gdy księżyc świecił pięknie, wychodziła ze mną do ogrodu. U nas w górach bywają wieczory chłodne nawet w lecie. Tulila się wtedy do mnie, mówiąc: Okryj mnie. Nie chciała jednak wracać do domu.

Świat był taki piękny, a ona tak młoda! — Żal jej było spać...

Nieraz w życiu miewałem kochanki. Gdy odchodziły na zawsze, mówiłem im: Bądźcie zdrowe—i szedłem dalej, nie płacząc i nie oglądając się za siebie.

Teraz — płaczę.

I wstyd mię nawet, że pisząc jej imię, wspominałem o innych kobietach...

SPRZEDANA DUSZA.

Czasem zdaje mi się, że dusza moja nie należy do mnie. Sprzedałem ją i nie mam już prawa robić z nią, co mi się podoba. Kupiono ją, a ja o tem nawet nie wiedziałem; dano mi pieniądze do ręki, ja go zgubiłem—ale dusza już nie moja.

Dawno już temu, dawno, bardzo dawno... Ile lat?

Mój Boże!—czyż wszystkie lata i wszystkie godziny są sobie równe?

Niektóre są bardzo długie.

Była to moja pierwsza miłość...

Kochaliśmy się bardzo... Czy mam opowiadać dzieje pierwszej miłości?

Dziwnemi one szły torami i dziwnie się zakończyły. Dzisiaj wiem: to była chora miłość!

Pewnego dnia, idąc do niej rankiem, usłyszałem na schodach wieść hiobową: ona zażyła w nocy truciznę.

Ja temu byłem winien...

Zwołałem lekarzy i uratowali ją.

A potem!

Potem były znowu rzeczy dziwne i dziś nie wiem nawet, w której stronie świata ona się znajduje.

Ale dusza moja nie należy już do mnie; ona kupiła ją w ową pamiętną noc—za cenę swego życia. I wolno jej robić z moją duszą, co jej się podoba. Wolno jej smagać ją tęsknotą, wolno dręczyć wyrzutami. Wolno jej, bo kupiła moją duszę.

A ja nie jestem mocen wykupić swej duszy napowrót. Najwyższa zapłata, jaką dać mogę, życie moje, nie dorówna cenie jej życia, które ona ofiarowała.

ŚMIERĆ.

Dziwna rzecz — często śnią mi się ludzie umierający, a ja za każdym razem przestraszam się, jak gdyby śmierć była istotnie czemś groźnem!

Ale dziwniejsza, że boję się tylko wtedy, gdy sen zabija przede mną innych ludzi, znajomych mi lub obcych. (Umierają oni wszyscy i zawsze śmiercią gwałtowną, z jakąś straszną, krwawą, czerwoną i czarną plamą na czole lub piersi, albo ze straszniejszymi jeszcze zielonemi plamami jadu na licach). Gdy śnię o śmierci własnej, nie lękam się. Jestem wtedy bardzo spokojny i żałuję tylko—nie siebie—lecz tych ludzi, którzy mnie kochali, a teraz zostaną sami... Żal mój ma w sobie coś ze słodkiej, łzawej tęsknoty i dużo próżności i miłości własnej.

Raz tylko — pamiętam — przestraszyła mnie własna śmierć — we śnie. Śniłem, że zażyłem

truciznę i jeszcze nie umierałem. Patrzyłem na zegarek i liczyłem minuty, które mi jeszcze do życia pozostały; czułem, że trzeba je—te ostatnie—wyzyskać, trzeba coś wziąć w siebie, doznać czegoś, na co za chwilę będzie już zapóźno, ale oczu od wskazówek zegarka oderwać nie mogłem—i wszystkie włosy powstały mi na głowie z obawy tego, co się już stało i odstać się nie może.

Po tym śnie wierzyłem, że mogą być ludzie, którzyby się istotnie śmierci własnej bali. — Bo dotychczas gorączkowe noce pokazywały mi wielu umierających okropnie i potwornie, po największej części z własnej ręki lub przez zabójstwo, ale żadne z tych widm krwawych nie bało się: ja się bałem za nie wszystkie — choć czasem okrutny sen mnie samemu kazał być sprawcą ich śmierci.

Czego się bałem? — i czy się będę lękał, gdy będę sam umierał—na jawie?

Z LISTU.

...Tak jest, Ty masz słuszość. Zdania swoje popierasz dowodami niezbitemi; każde Twe słowo jest przekonywające, rozumne, pięknie dobrane i dobre. Mówisz bardzo wymownie i uwierzyłem Ci.

Tak jest, masz słuszość. To, czego od Ciebie żądałem, jest złe i zdrożne. Dobrze robisz, że mi tego odmawiasz. Dobrze. Jesteś bardzo rozumna i cnotliwa. Możesz być dumna ze swej nieskazitelności i możesz patrzeć z góry na tych, których miłość większa jest od rozumu. Jacy oni głupi! — nieprawdaż? — O Tobie świat tego nie powie—Ciebie świat pochwali, a ja—ja sam przyznać muszę, że postępujesz jak należy.

A jednak mam żal do Ciebie.—Bo ja, kochając Cię, nie pamiętam o niczem i nie uważam na nic,—byłbym dla Ciebie gotów palić i zabijać i w nędzy żyć i wrogom się kłaniać, — byłbym

gotów opuścić wszystko i wszystkich, przeszłości całej się wyprzeć i całą przyszłość świetną jak marną rzecz jaką do nóg Ci rzucić,—a Ty... Ty nie jesteś rozrzutna i wiesz dobrze, gdzie są granice tego, co przystoi. Żadnych zarzutów robić Ci nie mogę, ale mam żal do Ciebie. Żal głęboki, lecz głupi i z pewnością niesłuszny, nieuzasadniony, a dowodzący jedynie mojej przewrotności.

Ty sobie jednak nic z niego robić nie będziesz; wszak jesteś rozumna i cnotliwa!...

DOWÓD.

Długo po jego odejściu nie mogłem jeszcze ochłonać. Chodziłem po pokoju i myślałem o tem, co mówił. Przekonał mnie, mimo że nie chciałem być przekonany. Tak, tak, — on ma słuszość, poco się łudzić? Śmierć — to kres niechybny i ostateczny, a wszystkie marzenia o duszy, nieśmiertelności, szczęściu za grobem, to—marzenia tylko... Wyszukiwałem w myśli dowodu pozytywnego, którybym mógł przeciwstawić jego twierdzeniom, ale nie mogłem go znaleźć. Rozbił mi moją piękną wiarę i zniweczył; nie mogłem się uspokoić.

Spojrzałem na nią. Siedziała na krześle, cała zajęta jakąś ręczną robótką, tak jak wtenczas, gdy on rzucał swe śmiałe i druzgocące twierdzenia, które mną wstrząsały i zrywały mnie z miejsca. Na twarzy jej nie dostrzegłem ani śladu walki lub niepokoju. To mnie zdziwiło.

— Czyś ty rozumiała, co on mówił?—zawołałam.

— Rozumiałam,—odrzekła spokojnie.—Dowodził, że niema nieśmiertelności ani nagrody—tam...

— I cóż ty na to?

— Nic. To nieprawda.

— Nieprawda! Ale czyż masz dowód jaki, że tak nie jest?

— Mam.

Mówiąc to, podniosła oczy od robótki na portret, wiszący na ścianie. Przez chwilę patrzyła z miłością na piękną i szlachetną głowę starca o białych jak mleko włosach i dobrych oczach, a potem uśmiechnąwszy się, rzekła z głębokim przeświadczeniem:

— Widzisz, ojciec mój umarł, a był tak bardzo dobry. Musi być zatem w niebie u Pana Boga. Jakżeby wobec tego mogło nie być nieśmiertelności, ani nagrody?

BABIE LATO.

Dzień był pogodny, ciepły, senny — jeden z tych dni, kiedy słońce różowo-złote przesiewa się przez pożółkłe, w ciszy nieruchomo zastygłe i błyszczące liście starych drzew w ogrodzie, a przejrzały, ciężki i słodki owoc na ziemię pada... Wtedy dymy ognisk, w których pastuchy pieką ziemniaki, wloką się leniwo po rżyskach i żółtych, trzecią już trawą porośłych łąkach. Ptaków niewiele pozostało,—zato miljardy drobnych muszek i komarów brzęczą i dzwonią w ciepłem, od słońca aż złotem powietrzu.

Na podwórzu, pod ścianą stodoły, której drewniane boki zdawały się wyginać pod naporem ciężkich snopów — na dwóch na poprzek położonych klocach stały w słońcu sanki. Zima miała przyjść niezadługo.

Myślano już o niej, choć było tak ciepło.

Sanki, wywleczone z wozowni, gdzie kurzem przykryte stały przez lato, wiejski stolarz naprawił i właśnie świeżo pociągnął pokostem. Stały teraz w słońcu i suszyły się.

W powietrzu kłębił się nieprzeliczony rój drobniuchnych muszek. Błyszczały w promieniach słonecznych, jak piasek złoty, przesiewający się przez długie i cienkie struny i słysząc brzęk cichy, melodyjny i nieustanny.

Dziwną fatalnością losu gnane, całą falą popłynęły ku sankom i w jednej chwili lśniący, świeży lakier pokrył się gęstymi, ciemnymi punktami. Muszki uderzały o deski, przylepiały się i marły. Naprzód kilka, potem kilkadziesiąt, kilkaset, tysiące, miliony... W pół godziny już nawet farby z pod nich nie można było rozróżnić.

Ze stodoły wyszedł stary chłop, z gołą głową, boso, w płóciennych spodniach i rozwartej na pierśiach brudnej koszuli. Na plecach miał ogromny kosz plew dla bydła. Koło sanek przystanął i patrzył. Kosz postawił na ziemi i zczerniałym, popryskanym palcem wodził powoli po deskach, pokrytych rojem nieżywych muszek... Na twarzy znać było skupienie i wysiłek człowieka, nieprzyzwyczajonego do myślenia, który chce myśl jakąś schwycić i ująć w zdanie.

Podszedłem ku niemu.

— Trzeba będzie sanki na nowo pomalować,—odezwałem się,—o tem myślicie?

Chłop wstrząsnął głową i uśmiechnął się:

— I... to nie... To się zetrze, jak przyschnie. Ale... ja myślę jeno...

Urwał i znowu przesunął palcem po świeżym, pełnym muszek lakierze. Po chwili podniósł głowę i patrząc mi prosto w oczy wzrokiem, w którym znać było radość, że znalazł wreszcie to, czego szukał, rzekł:

— Tak i ludzie, panie, tak i ludzie... Jak te muchy... Leżą, pchają się tam, gdzie nic dla nich niema, nie wiedzieć po co, i marnieją... mrą...

Zarzucił kosz na plecy i wolno odszedł ku stajniom. Nad sankami brzęczał ciągle rój muszek, jak piasek złoty, przesiewający się przez cienkie i dźwięczne struny słonecznych promieni.



JERZEGO ŻUŁAWSKIEGO

POEZJE:

POEZJE, wydanie w 4 tomach, Lwów 1908.
XIĘGI ŻYDOWSKIE (przekłady z Biblii), Lwów 1905.

PROZA:

NA SREBRNYM GLOBIE, powieść, wyd. III, Lwów 1912.
ZWYCIĘZCA, powieść, Kraków 1910, wyd. II w przygotowaniu.
STARA ZIEMIA, powieść, Kraków, 1911.
KUSZENIE SZATANA, opowiadania, wyd. II Warszawa 1914.
BAJKA O CZŁOWIEKU SZCZĘŚLIWYM, opowiadania,
wyd. II Warszawa 1914.
SZKICE LITERACKIE, Warszawa, 1913.
PRZED ZWIERCIADŁEM PRAWDY, Warszawa 1913.
LAUS FEMINAE, powieść, część I. Powrót — Warszawa 1913.
część II. Profesor Butrym — w druku.
UMARŁE MIASTA, opowiadania — w druku.

DRAMAT:

DYKTATOR, wyd. II. Lwów 1907.
WIANEK MITROWY, wyd. II. Lwów 1912.
EROS I PSYCHE, wyd. IV. Lwów 1909. (na wyczerpaniu.)
IJOLA wyd. III. Lwów 1912.
GRA. tryptyk sceniczny, wyd. II. 1912.
DONNA ALUIKA (La Bestia), wyd. II w druku.
„ZA CENĘ ŁEZ”, Kraków 1910.
KONIEC MEŚJASZA, Lwów 1911.
GRÓD SŁOŃCA, Lwów 1911.
TERAKOJA (przekład), Lwów 1907.



7905